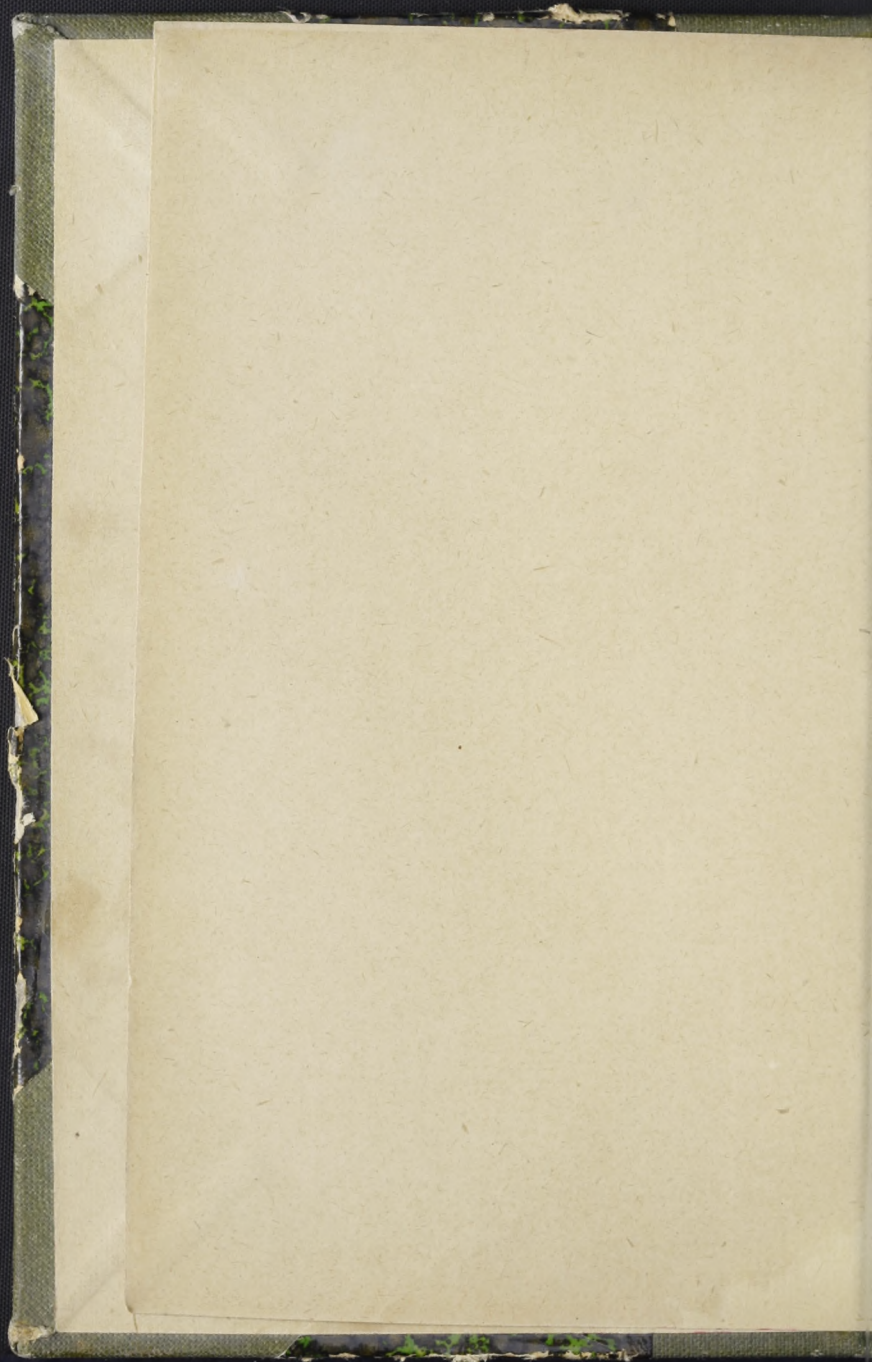




I 1.456.479



POLUBOWNA UGODA





ABGAR - SOŁTAN



POLUBOWNA UGODA

POWIEŚĆ



LWÓW.

JAKUBOWSKI & ZADUROWICZ.

1894.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001013497321



I 4.456.479



Z drnkarni Władysława Łozińskiego. Zarządca W. J. Weber.

2013 K 14711

Stanisławowi Tomkowiczowi

jako dowód szacunku, sympaty i wdzięczności.
pracę tę poświęca

AUTOR.



I.

Upał dochodził trzydziestu stopni.

Cichy, ustronny jar podolski robił wrażenie wąwozu w krajach podzwrotnikowych. Ani jeden liść krzewiących się bujnie na stokach jaru drzew nie zadrgał nawet, rozpalone powietrze było tak spokojne jak gładkie zwierciadło oceanu, w czasie długiej ciszy morskiej.... Rośliny zmęczone upałem i jednostajnością, przybrały pozor znużonych życiem miejskich ludzi — więdły; szerokie, kunsztownie powycinane liście jaworów i klonów potraciły były swe urozmaicone, kończate kształty, a pochyliwszy się ku ziemi, zdawały się skarżyć swem wymownem milczeniem, zdawały się szeptać z westchnieniem: — źle nam!... Olbrzymie, bujne i rozkoszne liście łopuchów przypadły do samej ziemi; pył osiadł na nich obficie; a nawet wszelki owad stronił od nich, bo czuło było

od nich gorycz zatruwającą w około powietrze; — zniechęcone do życia, pogrążyły się one w skrajnym pesymizmie i mściły się za swą niedolę — na otoczeniu.

Cała roślinność w milezeniu i z rezygnacją znosiła los zawistny....

Dla ptaków, zdaje się było to obojętne; one nie narzekały na upał i brak deszczu.... Zapóźniony słowik, od czasu, do czasu wyciągał wysoko namiętne trele, zastępując sztuką, gasnące już uczucie; artysta zwyciężył już w nim kochanka — śpiewał li dla samej już sztuki, nie dla wzbudzenia miłości, która mu się już była sprzykrzyła; — śpiew ten przypominał dźwięki przeżytej poezji dekadentów.

Dudek, ukrywszy się w gęstwinie, zwiędłych od słonecznego waru liści, przedrzeźniał zapamiętałe kukulkę, siedzącą opodal na wierzchołku wysmukłej brzozy i wrzeszczącą po tysiąc razy:

— Kuku! kuku!...

Wyrodna matka cieszyła się, że rozdała wszystkie swe pisklęta ubogim, lecz troskliwym opiekunkom.

Kosy i drozdy świstały bezprzestannie.

Nagle koncert ptasi umilkł; zawstydzony słowik urwał w pół tonu; drozdy i kosa, spłoszone czemś nagle, niby strzały przelatowały pomiędzy nisko rosnącymi krzewami, tylko kukułka, przeleciawszy z brzozy na graba darła się jeszcze głośniej:

— Kuku! kuku! kuku!...

Dźwięk pieśni ludzkiej zagłuszył ptaków świegotanie; słowa tęsknej melancholii i bólu pełnej dumki ludowej rozlegały się donośnie wśród cichego, ustronnego jaru:

*Oj! pidu ja jarom, jarom,
Taj stanu sy pid jaworom,
Pid jaworom zeleneńkim,
Taj z Laszeńkom mołodeńkim.*

Pieśń, jak powiew wiatru przesywała pogrążone w martwej ciszy powietrze; zdawało się, że liście drzew zadrgały pod jej wpływem, że swym szelestem jej zawtórowały... Wszystkie ptaki milczały; spłoszone kryły się w najgęstsze zarośla; tylko uparta kukułka nie chciała uznać wyższości pieśni ludzkiej — przeleciawszy z grabu na szczyt dębu - olbrzyma, darła się coraz wrzaskliwiej:

— Kuku! kuku! kuku!

Głos pieśni wzmagał się ciągle; wyraz wielkiego cierpienia z każdą chwilą wyraźniej się znaczył; jak fala płynął po cichem powietrzu, łamał się na części, echem brzmiał po jarze; odbiwszy się od stromemi skałami najeżonego przeciwnego brzegu, zniżył się aż do dna i tam łącząc się ze szmerem, ubogiego, na pół wyschniętego strumienia, milkł pomiędzy zielenią nadwodnych roślin.

Słowa pieśni były równie smutne jak nuta:

*Swityt misiać, taj ne hrije,
Za Laszeńkom serce mlije;
Za Laszeńkom za harnieńkim
Propaw mij wik mołoděnkij!*

Wreszcie ukazała się niewidzialna dotąd spiewaczka; wyszedłszy z gestwiny, kroczyła po szerokiej, na dno jaru wiodącej ścieżce.... Nawet kukułka, przestraszona widokiem istoty ludzkiej, ukorzyła się i odleciawszy daleko na przeciwną stronę jaru ukryła się i mileżała.

Spiewaczka była piękna..... Szła przed siebie wniosła, prosta i smukła, lecz jakaś

smętna, niby brzoza płacząca. Pięknych kształtów głowa, ozdobiona, bujnymi, splotami płowych włosów cpierała się na zdrowej, pięknie rozwiniętej szyi, na szyi greckich posągów. Twarz ogorzała, bronzowa prawie, miała rysy prawie klasyczne; oczy podłużne szafirowe lśniły dziwnym jakimś, tłumionym ogniem; usta małe i pięknie wykrojone, otaczał smętny, czysto słowiański uśmiech... Szła po strömej ścieżce, niosąc przewieszzone przez ramie dwa duże, drewniane wiadra, ani ciężar, ani trudna do przebycia droga nie tamowały swobody jej ruchów, szła swobodnie, znać od dawna przywykła i do tej ścieżki i do.... ciężaru.... Nawet głos jej czysty, swobodny i spokojny, nie zdradzał ni zmęczenia ni przyspieszonego oddechu. Piers jej wydatna, lecz nie wybujała, pierś Afrodyty miłońskiej wznosiła się regularnie, miarowo; serce znać biło w tej kobiecie spokojnie i równo.

Nagle stanęła w miejscu jakby przykuta czarem jakimś; wiadra wolnym, bezwiednym ruchem położyła u swych bosych, lecz mimo to kształtnych i drobnych stóp; ręce rozpaczliwym ruchem splotła na piersiach, jakby pragnąc przygłuszyć, gwałtownie

niejsze w tej chwili bicie serca.... Słuch wytężyła, oddech wstrzymała; jakiś dreszcz wewnętrzny przeszedł przez całe jej ciało i gnał wrzące krwi strumienie ze wzburzonej piersi ku policzkom, ku czołu białemu, ku skrońiom; i pomimo cery brązowej wyraźnie zarumienił piękne lica, porysował delikatne skronie siatką błękitnych żyłek....

Chwilę mileżała wzruszona i drżąca; wnet jednak znowu pieśń z ust jej popłynęła, lecz była już, tak jak i śpiewaczka, wzburzona i drżąca — namiętna i nieśmiała zarazem, ciekawości jakiejś dziwnej, lecz równocześnie i obawy pełna. Kobieta niby skamieniała z miejsca ruszyć się nie mogła; za to słowa pieśni biegły daleko:

*Abo pidu — z skały wbiu sia,
Abo pidu — utoplu sia!
Nechaj Laszok seje znaje:
Szczu z kochania — smert' buwaje!*

Brzmiała pieśń, niby rozpaczliwe jakieś wołanie, niby skarga boleści i bezgranicznego zwątpienia pełna; zwykła, smętna lecz nie głęboka nuta dumki ludowej, nabierała w ustach tej pięknej — dziwnej, niezwyklej mocy,

odrębnego wyrazu; gdyby kobieta ta była miała wówczas tłumy słuchaczy, była by ich porwała, uniosła, zachwyciła — tym spiewem.... Tłumów nie było — jeden tylko człowiek słuchał tej natchnionej pieśni serca ludzkiego.

Po przeciwnym brzegu jaru, krętą, kamienistą drogą jechał konno młody człowiek. Biały, z pozoru sądząc żywy i szlachetny koń szedł leniwo, noga za nogą; jeździec także głowę zwiesił i żadnym ruchem nie pobudzał konia do raźniejszego kroku. Na pięknej, owalnej i białej twarzy jeźdźca walczyły: zaduma jakaś młodzieńcza, nie pozbawiona pewnego uroku — z nudą straszną, gryzącą.... zabójczą.

Głos pieśni doszedł wreszcie do uszu jeźdźcy; podniósł oczy i ujrzał spiewaczkę, po przeciwnej stronie jaru. Stała teraz niema, weń wpatrzona; ostatnie słowa pieśni skonały przed chwilą; tylko smętne echo powtarzało:

Smert' buwaje!... Smert' buwaje!

Młodzieniec spojrzął i uśmiechnął się wesoło; w uśmiechu tym jednak obok swo-

bodnej wesołości, kryły się: odcień jakiejś ironii i spora doza młodzieńczej zarozumiałości. Prawą rękę podniósł do ust i skinąwszy nią w stronę pięknej spiewaczki, przesłał jej całusa.

W tejże samej chwili, zapatrzona weń dotychczas kobieta oprzytomniała nagle, odwróciła pospiesznie oczy w drugą stronę i schwyciwszy wiadra skryła się po za drzewami, otaczającymi ścieżkę wiodącą w dół ku strumieniowi. Młody jeździec nawet nie starał się ściagać ją wzrokiem; pograżył się znowu w poprzednim odrętwieniu i długo jeszcze widną była pochylona, apatyczna postać, siedząca na zleniwiałym, znudzonym koniu. Gdy kręta drożyna wyszła z pomiędzy skalistych brzegów jaru; gdy koń i jeździec znaleźli się na równinie, wówczas do uszu, wracającej już pod górę z wiadrami pełnymi wody kobiety, doleciał pospieszny tętent kopyt końskich, zmieszany z dźwiękiem jakiejś nieznanej, cudzoziemskiej spiewki. Mimowolnie zwróciła oczy w tę stronę: piękny panicz, w pełnym galopie zniknął w tej chwili z widnokregu; koń migał już po przeciwległej płaszczyźnie, pędził po szerokiej

równej drodze, wiodącej do bramy woydałowskiego zamku.

Gdy znikł już zupełnie, gdy zamilkło nawet echo tętentu kopyt, kobieta westchnęła smętnie i pnąc się w górę zaczęła spiewać znowu :

*Nechaj Laszok seje znaje :
Szczę z kochania — smert' buwaje!
Smert' buwaje! Smert' buwaje!*

Rozlegało się żałośnie po dzikim, ustronnym jarze. Wreszcie wyszła na górę i spiewać przestała; ptaki powróciły do swych przywilejów: słowik rozpoczął znowu swymi trelami kłamać miłość; kosy i drozdy święgotały jeszcze donośniej niż pierwej; dudek dał się jak żyd na jarmarku, a kukułka zajmąwszy napowrót swe pierwotne miejsce na białej brzozie, starała się przedrzeźniać głos ludzki, krzyząc bez przestanku :

— Kuku! kuku! kuku!

Kobieta, z wiadrami pełnymi wody, wyszedłszy na równinę, znalazła się tuż przed wrotami wiodącymi na dziedziniec, zasobnej, porządnie zabudowanej, wiejskiej zagrody. Wokoło dziedzińca wznosiły się, symetrycznie

ustawione i mocno z dębowych dylów zbudowane gospodarze budynki; pośrodku nich, wprost dębowych wrot, widniała niska, pochylona chata, pokryta słomianym dachem, na którym kilkadziesiąt generacji butwiejących mchów dawały pożywienie swym zielonejącym teraz i bujnie rosnącym praprawnikom.

Obok spichrza stojącego na prawo od wrot, przy warstacie ciesielskim, siedział młody jeszcze i potężnie zbudowany człowiek, wbijając systematycznie sprychy w głownie przyszęłego koła; u jego nóg spał olbrzymi, bury pies.

Gdy młoda kobieta z wiadrami pełnymi wody weszła we wrota, kołodziej podniósł swą szeroką, ponurą twarz i małemi przenikliwymi, szaremi oczami spojrział na nią badawczo. Ona odwróciła oczy w przeciwną stronę i chciała go minąć w milczeniu.

— Hanka! — zawołał kołodziej gwałtownie. — Gdzie cię czart nosi?... Gdzie ty po pół dnia siedzisz?... Słuchaj mnie Hanka, ostrożnie ze mną! ostrożnie!... A nie.... to....

Bury pies zbudzony gniewnym głosem pana, podniósł kudłaty łeb i ukazując sze-

reg białych, potężnych zębów warknął ponuro....

— A jak nie — to co? — odpowiedziała porywezo piękna śpiewaczka, a kładąc pełne wiadra wody na ziemię i przybierając zuchwałą postawę, zawołała porywezo: — To co? To co?... Po licha ciężkiego ty mi wymyślasz Ambroży... Za co?... Za to, że sama wodę dźwigam pod taką górę, żeby koń ustał... Za to mi wydziwiasz?!

— Milez gadzino! — syknął przez zęby chłop, wbijając nową sprychę. — Milez! milez! — wołał gwałtownie, a głos jego zlewał się w jedno z uderzeniami ciężkiego cieleckiego młota.

Pies warczał także w takt ponurej cieleckiej muzyki.

Kobieta, myśląc, że już skończyła się dzisiejsza połajanka małżeńska, schyliła się, aby wziąć wiadra i zanieść je do chaty, lecz Ambroży, wbiwszy sprychę do miary, spojrział znowu na nią i zawołał:

— Czekaj! Czekaj gadzino! Nie bierz na siebie figury gałąbki, bo ci nikt nie uwierzy, a tem mniej Ambroży Pinkasiewicz bywszy

zwodny*) grenadierski, a teraz twój mąż, jaszczurko fałszywa.

— Ambroży, czego ty czepiasz się do mnie! — odparła kobieta podnosząc wiadra.

— Zostań i słuchaj! — krzyknął wściekle — gołąbki przedemną nie udawaj, bom nie taki dureń, żebym wierzył.... A to słuchaj i pamiętaj Hanka! pamiętaj, że jak cię na jakich konszachtach z tym psim synem złapię, to kości i tobie i jemu połamię! Słyszysz Hanka!

— Ambroży! Ambroży! Milcz ty raz! — zawołała młoda kobieta, unosząc się gniewem. — Co ci za myśli przychodzą? Sam już nie wiesz, co mówisz!.... Jakie masz prawo na mnie, na Hankę córkę Jana Zurkowskiego taką obelgę, taką nieprawdę nawodzić.... Ambroży, Bóg cię ciężko pokarze! Niepodsuwaj ty mnie grzesznych myśli.

I zamikła, wspaniała w tym gniewie słusznym, w tem wzburzeniu głębokiem; z jej oczu iskry się sypały; usta wyschnięte, z gniewu i zmęczenia czerwieniały się ciemną

*) Były podoficer.

purpurą, niby nozdrza szlachetnego bieguna ;
piers falowała gwałtownie i nierówno.

— Bogiem mnie nie strasz! — odparł
mąż, hamując jednak trochę ton głosu. — Co
Panu Bogu do takich jak my tychołatów,
czynszowników, On ma dość roboty z pana-
mi, z „księżdami“, jaśnie wielmożnymi.... Bo-
giem nie mnie strasz, bo On dla ciebie strasz-
niejszy, niż dla mnie!... Czy ty myślisz, że
ja nie widziałem tego pogańskiego syna?
Jechał niedawno, po drugiej stronie jaru!
Na schadzki do ciebie podjeżdża, do ciebie
Hanko, córko Jana Zurkowskiego, pańskiego
lizuna, pańskiego zausznika.

— Milcz! milcz nieszczęsny! — krzy-
knęła kobieta i postawiła znowu wiadro na
ziemi tak silnie, że aż woda bryznęła obficie
na suchą, spaloną od słońca ziemię. — Milcz!
Za język mnie nie ciągnij! — mówiła, prze-
rywany, drżącym głosem — bo ja wiem
jakie to ty praktyki u nas zaprowadzasz, z
kim kompanię utrzymujesz? Nie wynoś się,
nie wychwalaj swoim grenadierskim „czy-
nem*), bo ja wiem co ty po nocach robisz!

*) Stopniem.

— Co? — zawołał chłop, a kudłaty, długi i gęsty włos najeżył mu się na głowie jak szceć na grzbiecie wilka; żyłastą, potężną ręką podrzucał niby dla zabawki duży drewniany młot, którym zabijał przed chwilą sprychy; z jego małych, ukrytych pod krzaczastemi brwiami oczu strzeliły w strony młodej kobiety nienawistne, ponure błyski. — Co wiesz? — powtórzył posepnie.

— Wiem wszystko! — odpowiedziała Hanka, która nie zdolna już była zapanować nad wzburzeniem i gniewem — wiem, że drzewo z pańskiego lasu nocami wywozisz! Wiem, że trawę z pańskiej łąki kradniesz! Wiem, że konie w pańskich zbożach pasiesz!... Wiem! Wiem, że hańbę na naszą chatę, na nasze uczciwe imię naprowadzasz!... Ot co ja wiem!

— Głupiaś! — odparł, śmiejąc się ironicznie. — Głupiaś, bo nie wiesz co na świecie się dzieje!... Kiedy wy to ze starym, w tej Woydałowsczyźnie gnili, to ja świat schodził; był w Riazaniu, był w Tule, był w samej „Moskwie matuszce“; słyszał ja tam ludzkie gadanie....

Zamilkł na chwilę, zamyśliwszy się głęboko; wyraz gniewu iskrzący się przed chwilą na jego twarzy, zmienił się obecnie w jakąś uroczystą, głęboką zaciekłość, — twarze o podobnym charakterze spotyka się na portretach sekciarzy religijnych, angielscy purytanie, żołnierze Cromwela w ten sposób patrzyli. Żona zdziwionem okiem spojrzała na niego; dotychczas takim go nie znała. Po chwili milczenia, podniósłszy znowu głowę przemówił:

— Masz wiedzieć Hanka, że się już pańskie panowanie skończy!... Skończy się nie długo. Ziemię roboczym ludziom rozdadzą tylko co nie widać jak „słuszny czas“ przyjdzie i sprawiedliwość się na świecie wypełni.... Z różnych gubernii ludzie w naszym grenadyerskim pułku byli i od północnego morza, gdzie lody cały rok boży ziemię świętą cisną i od „persickiej“ granicy, gdzie zamiast śniegu deszcz w zimie pada, a róża na Nowy Rok kwitną.... I wszyscy oni to samo mówili i zgoda była na to, że „słuszny czas“ już niedaleki.... Tylko ten ziemię będzie dzielić, kto sam, swoją ręką do roboty się przyłoży.... Panom i różnym grafom ją odbiorą

a nam rozdadzą.... Rozumiesz teraz, że jak z pańskiego biorę, to nie kradnę.... rozumiesz mnie — nie kradnę, tylko biorę, to co do mnie będzie kiedyś należeć.

Hanka zrazu słuchała z uwagą, później coraz bardziej twarz się jej chmurzyła, czoło marszczyło, oczy gniewem płonęły i przy ostatnich słowach męża wybuchnęła:

— Złodziejska nauka! — zawołała. — Złodziejska nauka do złodziejskich postępków prowadzi!... Nie tumań ty mnie jakimś tam „słusznym czasem,“ nie zagaduj sołdackimi wymysłami.... Jak ci kiedy dadzą pańską ziemię, to ci wtenczas dopiero ów „słuszny czas“ przyjdzie i do używania będziesz miał prawo przystąpić.... U nas na takie roboty, ksiądz proboszcz mówi, że to kradzież! Zresztą, czy to tylko z pańskiego? A te konie co tu ten rudy żyd z Baru przyprowadza, a ty je przechowujesz.... Czy ty możesz wiedzieć, czyje one?... Czy pańskie, czy szlacheckie, czy chłopskie?

Twarz Ambrożego bladła, w miarę słów żony i stawała się szara, zielonawa prawie; z oczu padały spojrzenia nienawiścią i gniewem strasznym przesycione; pięści zaciskał

kureczowo.... Wreszcie, gdy Hanka bryznęła mu w oczy ostatniem pytaniem, przyskoczył do niej wołając:

— Milez bo ja ci! — tu pogroził jej pięścią — bo ja ci pokażę moje prawo.... Ja ci dam konszachty z dziedzicem, z jasnie wielmożnym!... Mało poganinowi dziewczek w piekarni, mało chłopskich bab, mało żydówek w Barze; zachciało mu się szlachcianki, zachciało żony Ambrożego Pinkasiewicza I tobie i jemu kości połamię!

— Ambroży! Ambroży! — zawołała kobieta, łamiać ręce — nie doprowadzaj ty mnie do waryacyi, bo dalibóg, że nie wytrzymam... Jak tylko jeszcze raz mi to powiesz, to sama pójde do „stanowego“ i o twoich praktykach mu opowiem, sama hanbę na swoją chatę naprowadzę!

Ostatnie słowa Hanka zagłuszył odgłos potężnego policzka, który jej wściekły mąż wymierzył.

— Masz tobie fładro! — wrzasnął wściekle.

Kobieta się zachwiała; z jej ust wyrwał się okrzyk dzikiej, bezbrzeżnej rozpacz; nie było w nim słów, tylko dźwięk jakiś tak

groźny i złowrogi, że nawet wściekły mąż zrozumiał go i wstrzymał drugie uderzenie, które już był wymierzył.

Na głos rozpaczliwego wołania kobiety, wybiegł pospiesznie z chaty siwowłosy starzec; w kilku sekundach znalazł się on przy swarzących się małżonkach i grzmiącym głosem zawołał:

— Ambroży, gdzie twoje słowo, gdzie twoja przysięga?... Przysięgałeś mi, że ręki na nią nie podniesiesz, dokąd wam Bóg pozwoli zażywać tego małżeńskiego pożycia... Gdzie twoja przysięga?...

Chłop potrząsł zuchwale kudłatą głową i spozierając hardo na starca, wybuchnął udanym, dziwnie brzydkim śmiechem.

— Jej się zapytaj stary grzybie, co z przysięgą zrobiła? — wołał, śmiejąc się ohydnie. — Jej się zapytaj: po co na schadzki z panem biega?.. Córós sobie wychowałaś.. ladacznicę! Za żonęś mi ją dał i szanować kazał! Bić bronisz!... Bodaj was obojga piorun trzasł!...

I znowu podniósł rękę na żonę, lecz nim ją spuścił, potężna dłoń starca oparła się na jego ramieniu i rzuciła na kolana.... Sta-

ry Jan Zurkowski był w tej chwili piękny, wspaniały.... Postać zgarbionego przed chwilą starca wyprostowała się w tej chwili, twarz zarumieniała się obfitszym krwi przyływem, rozwiany biały włos niby aureola otaczał suchą, ostrą lecz rasowo piękną twarz.... Usta starca drżały gniewem, który na próżno stłumić pragnął; ręką cisnął kark kłęczącego zięcia ku ziemi.

— Nogi jej całuj żebraku! — wołał, zapalając się coraz bardziej. — Nogi całuj i prosz niech ci przebaczy słowa, któreś jej śmiał powiedzieć.... Nogi całuj!

Hanka stała ciągle na tem samym miejscu, jeszcze pochylona; oczy jej patrzyły na ojca i męża, lecz nie widziała, słów nie słyszała, organizm jej zamrtwiał, zdrewniała pod wrażeniem wyrządzonej jej, a tak niesłusznej obelgi.

— Dziadem, żebrakiem cię z gościńca wzięłem — krzyczał, uniesiony gniewem starzec. — Zrobiłem cię gospodarzem, na człowieka cię wykierowałem, a ty mnie hańbę będziesz na nasz dom naprowadzał... Słyszałem coś mówił... Dam ja ci „słuszny czas,“ dam ja ci złodziejskie nauki.

Ambroży, gnieciony silną ręką zginał się zwolna, lecz nagle spróbował wydobyć się z tego żelaznego uścisku, szarpnął on i oswobodził kark z dłoni groźnego starca; z nim jednak zdołał powstać na nogi, dłoń ta znowu spoczęła mu na ramieniu i tak ścisnęła, że aż jęknął z bólu straszniego; w mgnieniu oka klęczał powtórnie u stóp wystraszonej kobiety.

— Nogi całuj! — krzyknął teraz starzec, dając folgę tłumionemu dotychczas gniewowi; krzyknął tak, że głos jego zagrzmiął niby huk gromu i echem rozbrzmiewał pomiędzy ścianami budynków i zadrgał w powietrzu po nad jarem całym, głusząc spiew ptaków leśnych; krzyknął tak, że aż ogromny bury pies Ambrożego się przeląkł i już nie warezwał, tylko skuliwszy ogon pod siebie umknął za wrota i tam zawył żałośnie.

— Nogi jej całuj! — grzmiał straszliwy w swym gniewie starzec. — Głowę posyp popiołem! Życie odmień, bo ja się do ciebie wezmę! Ja ci dam konszachty! Ja ci dam narady w karczynie na „taborzysku!“ Wszystko wiem, ale milczałem do czasu...

Teraz dopiero twój „słuszny czas“ przyszedł!
Ukorz się! Ukorz się!... Nogi całuj!

Ambroży wił się z bólu, twarz jego mieniła się z upokorzenia i fizycznego cierpienia, opierał się jednak i głowy zgiąć nie chciał dość długo. Jednak nadludzka siła starca zwyciężyła opór, głowa Ambrożego coraz niżej chyliła się, coraz była bliższą drobnych, bosych stóp oniemiałej ze zgrozy i oburzenia kobiety; wreszcie poznał, że nie zdoła oprzeć się woli starca błysnął ku niemu złowrogo małemi oczami i szepnął, zgnębionym, pokornym głosem:

— Puśćże stary! Ukorzę się, ukorzę!...

Tymczasem gniew starca, jak groza burzy letniej, minął rychło; spokojny już i panujący znowu nad sobą, puścił zięcia i skrzyżowawszy ręce na piersiach, rzekł spokojnie i dobitnie:

— Niech tego więcej nie będzie!

Ambroży tymczasem powstał i usunawszy się o kilka kroków wlepił oczy w ziemię i słuchał.

— To, coś ty tu rozpowiadał, to wszystko nieprawda! Wszystko oszukaństwo! Wszystko wymysł złych ludzi, próżniaków! —

mówił starzec, a twarz jego przybierała jakiś dziwny, natchniony wyraz. — Czy ty wiesz — zapytał nagle, spoglądając na zięcia — wiele my tu lat siedzimy?.... Tu w tej chacie, na tym czynszowym gruncie?.... Ty tego nie wiesz, ja ci powiem!.... Tyle co nasi panowie w zamku.... Pierwszy dziedzie Woydałowski, po wygnaniu z tej ziemi Turków, zamek na tych gruntach pobudował, wsie i slobody założył, a swego kozaka wiernego, Szymona Zurkowskiego, tu na czynszu osadził.... Osmym już dziedzie siedzi teraz na zamku, a ósmym ja czynszownikiem na żurkowskim jarze.... Syna mi Bóg nie dał, ciebiem za syna sobie przysposobił, pamiętaj, żebyś mnie nie pohańbił, żebyś wiary panom dawnym nie zламаł, bo, bo.... — tu starzec przybrał znowu groźny wyraz — bo Bóg cię pokarze! Pokarze i mnie, żem niegodnego zięcia wziął.... Myślałem, że będziesz dobry.... pracowałeś jak mrówka, o moje dobro dbałeś.... Córkę ci dałem.... córkę!

Głos starca przechodził w szept prawie, wreszcie urwał się zupełnie, i stary Jan milcząc, odwrócił się i odszedł ku cha-

cie, szepeząc coś sam do siebie, ale tak cicho, że nikt tego nie mógł dosłyszeć; szedł, chwiejąc się prawie, znać gniew srogi i wysiłek zmogły go bardzo.

Mąż z żoną pozostali znowu sami; spojrzeli na siebie; w ponurych oczach męża tlał gniew tłumiony i wstyd fałszywy i zapowiedź zemsty; ona patrzyła nań z — pogardą.

— Popamiętasz! — mruknął mąż.

— Złodziej! — szepnęła Hanka, — i zabrawszy wiadro z wodą, skierowała się do chaty.

Gniew i upokorzenie żarło duszę ambitnego czynszownika: nie mógł już spokojnie oddawać się robocie. Ociosał kilka jeszcze sprych, zaczął je wbijać, lecz nie udawało mu się to jakoś, jedna się rozkłuła, druga krzywo szła w głównię; zniecierpliwiło go to; rzucił młot, wziął za pas siekiere i wyszedł za wrota.

— Widzi tato, znowu idzie kraś do lasu! — szepnęła do ojca Hanka, która dotychczas, mileząc, krzątała się po izbie.

— Nie drażnij psa! — odparł stary — mężem ci jest, Bóg przykazał, by mąż z żoną żyli w zgodzie.

Młoda kobieta, przy tych słowach starca, skłaniała się powoli, i usiadłszy na ławie pod oknem, wybuchnęła nagle bolesnym, rozdzierającym uszy płaczem.

— Lepiej mnie było utopić, niż za niego dawać! — zawołała, szlochając.

— Samaś chciała! Pytałem.

— Czy ja wiedziała, jaki on? Chwaliście, że on pracowity, że dobytku przysparza, że naszych majątków nie straci, tom i poszła za dla waszej przyjemności.... A dziś co? Jaki z niego mąż, drzewo pańskie kradnie, jeszcze bije!.... bije!.... bije! — wołała przez łyzy, i znowu zaniosła się spazmatycznym, chorobliwym łkaniem. — Mnie, Hanke, Janową córkę bije!.... bije!.... bije!.... — wołała znowu, lecz już nie płakała, tylko śmiała się sucho, kureczowo.

— Bóg z tobą doniu! — zawołał przestraszony starzec, zbliżając się do niej i kładąc jej rękę na rozpalonej głowie. — Bóg z tobą! W lesie on nie kradł, brał, bo mu się zdawało, że mu się do czynszu w dodatku należy, a ja, żeby go nie drażnić, poszedłem sam do pana leśniczego i za każdy pa-

tyk, co on wziął, zapłaciłem, zapłaciłem ciężko zapracowanym groszem.

Śluchając słów ojca, uspokoiła się trochę Hanka, łązy tylko gradem ciekły jej z oczu; łkając jeszcze z lekka, rzuciła znowu staremu pytanie:

— A te konie, co żydzi tu po nocach wodzą?

— Bóg jego wie! — mruknął Jan. — On powiada, że to jego znajomi kupcy na noc się wpraszają.... Może i prawda? bez dowodu sądzić bliźniego, nie dopiero męża — grzech.

— Uderzył mnie! — zawołała znowu, a oczy się jej zaiskrzyły, jak gwiazdy w mroźną noc styczniową; twarz spłonęła suchym gorączkowym rumieńcem. — Ja mu tego nie zapomnę! — dodała po chwilowym namyśle.

— Gniewu bożego nie wywołuj! — zawołał starzec, prostując znowu swą pochyloną już wiekiem, niezwyčajnie wysoką postać. — Żoną mu jesteś, znieść musisz! Jego prawo!

— Czego mi hańbę w oczy zarzuca?

— Przyczyny córko mu nie dawaj! — rzekł wpatrując się bacznie w jej oczy. —

Nasz dziedzic terazniejszy, Boże mu przebacz i daj opamiętanie, nie taki, żeby uczciwa kobieta mogła się z nim wśród lasu spotykać.

— I wy tatu także! — zawołała porywczo młoda kobieta, zrywając się gwałtownie z ławy i stając przed ojcem wspaniała w swem oburzeniu, piękna, cała drżąca.

— Widziałem go przejeżdżającego! — szepnął, zmieszany głosem Jan.

— To i co? Jeździć on może, ale nie do mnie, nie do waszej córki, nie do cudzej ślubnej żony.... Zresztą, ani mu to w głowie, nie patrzy nawet na mnie — szepnęła smutnie. — Ma innych, wiele zechce.

I opuściła znowu piękną głowę na piersi, z pobladłych ust wyrwało się mimowolnie ciężkie westchnienie. Po chwili przypadła do ojca i całując go z jakimś niezwykłym rozczuleniem po rękach, zawołała błagającym głosem:

— Zmiłujcie się nademną! Nie naprowadzajcie wy mnie takich myśli do głowy.... Ojcze! ojcze powiedzcie i jemu i.... Ambrozemu, niech on mi nie gada takich rzeczy, niech nie nawodzi takiej dumki, która nie

postała w mej duszy, w mojem sumieniu! Niech do grzechu nie pobudza, bo ludzieśmy wszyscy grzeszni, a dzień na dniu a myśl na myśli nie stoi.

Pochyliła się jeszcze niżej, ukłękła prawie i obejmując kolana starca, całowała je namiętnie, nerwowo.

Stary zadumał się głęboko i tak pozostali chwil kilka, tworząc grupę godną dłuta wielkiego mistrza: ona klęcząca, w płaczu pogrążona, rozszalała bolem, rozpaczą i walką wewnętrzną, ukrytą, lecz nie mniej przez to męczącą; on zadumany, odgadujący co się w duszy jedyne, ukochanego dziecka działo.

Wreszcie starzec pierwszy przerwał milczenie:

— Niech ci Bóg Wszechmogący dopomaga, doniuz ty moja droga! — szepnął przez łzy; pochyliwszy się ku niej, podniósł płaczącą i na białem, gładkiem czole wycisnął spokojny, ojcowską miłością przepełniony pocałunek.

Ona objęła jego wyschniętą szyję i swe gwałtownie bijące serce przycisnęła do jego wychudłej piersi.

— Nie mówił dziś z tobą? — spytał jeszcze raz starzec.

— Ani dziś, ani nigdy bez oczu ludzkich nie gadaliśmy z sobą! Tak niech mi Bóg Wszechmogący dopomoże! — odpowiedziała córka.

I znikł cień od jakiegoś czasu dzielący ojca od córki.

II.

Stary Jan dużo w życiu doświadczył.

Przymglone dziś oczy starca wiele rzeczy widziały, uszy jego wiele słyszały, lecz z dzieciństwa już miał taką naturę, że nie lubił opowiadać, co widział lub słyszał. Zaleta ta Janowa sprawiała, że w swej młodości, za życia jeszcze nieboszczyka chorążego, ojca dzisiejszego dziedzica był ulubieńcem dworu, był człowiekiem używanym do spraw wymagających największego zaufania.

Choć nigdy nie był etatowym sługą dworskim, choć zawsze uważał się za wolnego czynszownika na „Żurkowskim jarze“, jednak najczęściej gospodarstwa sam nie dozierał — prowadziła je matka jego, stara Żurkowska; on zaś ciągle był w zamku, albo z nieboszczykiem chorążym w kniejach przy łowach pomagał, albo ze znaczną sumą pań-

skich pieniędzy jeździł na dalekie besarabskie jarmarki, woły dla „Skarbu“ kupować; nawet kilka razy chodził z „ławkami czumaków“ do Odessy — sprzedawać pańską pszenicę.

Inni szlachejce czynszowi, z Woydałowskich dóbr, zazdrościli Janowi i łaski pańskiej i zaufania, jakim go dziedzie obdarzał.

— Obławia się na pańskiej służbie, kabzę nabija skarbowymi „karbowaniami!“ — mawiał zazdrosny Wojciech Pielaski, który dawniej te same usługi dworowi oddawał, lecz został przez Jana wyparty z pańskiej łaski.

Jan nie nadużywał pańskiego zaufania, lecz mimo to nie źle mu się działo; pan był hojny i o zaufanym szlachejcu pamiętał... Porosłszy w pierze, Jan sam począł z pańska jakoś wyglądać; szlachecki siermiężny „czuhaj“ zmienił na delikatną, z cienkiego sukna czamarkę i buty nosił takie same jak „pan rządea“ lub „pan leśniczy“, konia wierzchowego miał z pańskiej łaski takiego, że by na nim i nie byle jaki dziedzie z sąsiedztwa mógł się przejechać, bez szwanku dla obywatelskiej godności.

W zabawie i na pańskich usługach szybko upływała młodość Jana Żurkowskiego; dobiegał już trzydziestu lat, wąż miał sumiasty, wzrost dęba-olbrzymia, spojrzanie czułe — a nie żenił się dotychczas... Za dziewczętami przepadał, bałamuctwa lubił... Nie raz bywało panna Agata, jeszcze „wyprawna“ pani chorążyny, ochmistrzyni na Woydałowskim zamku skargi na utrapionego Jana do „jaśnie pani“ nosiła, groziła, że z urzędu swego skwituje, na „łaskawy chleb“ się przeniesie, jeżeli temu zbytecznikowi pan chorąży jakiego końca nie zrobi.

— Skaranie boskie i głowy urwanie! — skarżyła się przed panią piędziesięcioletnia „panna wyprawna“, rumieniając się przy tem jak szesnastoletnia dziewczyna. — Z tym Janem wstrzymania nijakiego nie ma! Rozpusta i gomorstwo straszne.

— Coż tam nowego? — zapytywała dbała o moralność pani.

— Zawsze jedno — odpowiadała ochmistrzyni. — Aż gadać wstyd! Z romansami jego wstrzymania nie ma! Wszystkim dziewczętom w głowie przewraca. Kilka dni temu przydybałam go aż w samej garderobie, do

Baśki Wrońskiej oczy zawracał; dziś rano, patrzę: Anielka gdzieś szczezła, czekam — nie ma, no już ja przez tych ośm lat naszego tu w zamku panowania poznałam wszystkie wykręty tego Jana, idę prosto w kląb za oranżeryę, a tam Boże odpuść... sodomstwo, gomorstwo !... Piekielnik ten moją Anielkę, obejmuje a całuje, a ona ladaco nawet od ceremonii się nie broni... Dałam ja jej romans, pono z tydzień sińce ponosi.... A z tym Janem to już do sprawiedliwości samej jaśnie pani się udaje.... Niech pan chorąży także osmagać każe, dla przykładu.

— Dobrze Agato! dobrze — wołała oburzona pani.

— Tylko żeby pan dobrze bić kazał — dodawała stara panna. — Zły przykład jak zaraza !... Nawet już kozacy do piekarnianych dziewczek podłażą; stara Nastka, gospodyni, nie może ich warzochwią odpędzić.... Zwyczajnie za szlachtą i chłopstwo sobie rozbiera.

Po takiej konferencyi szła za zwyczaj pani chorążyna do męża i ze zgrozą a oburzeniem powtarzała mu słowa ochmistrzyni. Pan Henryk śmiał się tylko wesoło, bronił swego ulubieńca.

— Młody chłopak — mawiał — wyszumi się jeszcze.... Gorącą ma krew. Szlachcie! szlachcie! Pan Zurkowski — dodawał z powagą....

— To niech się ten twój szlachcie już raz ożeni! — molestowała pani. — Sam przyznasz, że nie można na rozpustę w domu pozwalac!...

— Ożeni się jeszcze, ożeni! Choć zdaje mi się, że teraz nie będzie czas na żenienie, kto wie czy nie przyjdzie pójsć... z konikiem od żłobu!

I po tych słowach zapadał zazwyczaj pan chorąży w głęboką zadumę; wzdychał ciężko i z dziwną żalością spoglądał na młodą piękną żonę. I ją w takich chwilach żal jakiś srogi chwycił i serce uciskał i łzami oczy szafirowe perlił; odgarniała wówczas z białego mężowskiego czoła bujne tu i owdzie już siwiejące włosy, i na tem drogiem czole składała ciche, smętne pocałunki. Oboje wówczas zapominali o Janie „zbyteczniku“, tylko objawszy się czule, wzdychali smętnie i szeptali z cicha:

— Co to będzie? Co to będzie? Co nam przyszłość przyniesie?

A przyszłość była ciemna i ponura! Niby chmury gradowe, czarne i brudne, nadciągała groza na kraj cały i w górze szum złowrogi, przechodzące błyskawice, zapach siarki i wichry jakieś straszne, niszczące — zapowiadały straszną nawalnicę i w dole burzyło się wszystko, zrozpaczeni ludzie rozum tracili i zamiast kryć się i nieszcześnie w spokoju i przezorności gdzieś przeczekać, rwali się do obrony, do walki. — Z rydlami i cepami w dłoniach cheieli odeprzeć pioruny, powodzie i grady straszliwe — kosami zamierzali godzić w chmury.

Wkrótce nastał taki czas, że Jan, choćby nie chciał to musiał o miłośkach zapomnieć. Do własnej chaty nie zaglądał już nawet, a w zamku woynałowskim gościem bywał tylko.... I to, gdy nocą zdronony, często obmokły lub obmarznięty przyjeżdżał, to nawet nie szedł do ochmistrzyni o posiłek prosić, tylko kazał Piotrowi chorążego budzić, i tak zmoczony, do dyabła bardziej niż do człowieka podobny, szedł do pańskiej sypialni i godzinami całemi tam czasem przesiadywał. Co oni tam z sobą robili? Tego nikt w zamku nie wiedział. Czasem pan

dzwonił i kazał Piotrowi przynosić co najstarsze wina i pańskie potrawy.... Raz nawet przez drzwi Piotr zobaczył, że Jan jak długi leżał rozciągnięty na kanapie i chrapał, chrapał w obec jaśnie pana, a on, sam dziecko, poduszkę mu pod głowę podsuwał.

Po takim nocnem przybyciu, nigdy prawie Jan do rana w zamku nie dosiedział: zazwyczaj zmieniał konia i nim słońce zaszło jechał gdzieś znowu.... wówczas już i koniuszy Bazyli złorzeczył Janowi, że mu wszystkie najlepsze konie pozajeżdża.... Ohmistrzyni zaś Agata, broniła go utrzymując: że to w pańskiej służbie, więc niech lieho i konie nawet bierze.... wszak konie są pańskie nie Bazylego.

Dziwne to i tajemnicze życie nie służyło Janowi: wychudł strasznie; wysoka jego, lecz tęga i rozrośnięta postać, zmieniła się do niepoznania — stał się podobny do tyczki długiej a cienkiej; twarz ogorzała od słońca i wiatrów, zbiegła się, ściemniała — zrobiła się podobna do uschniętego owocu.... Dziewczęta już za nim nie szalały — Agata nie narzekała....

Niezwykłe to wreszcie były podróże, w których on czas przepędzał, dziwnie mu się też w nich wiodło: razu pewnego przyjechał postrzelony w bok, na okulawionym — przez pchnięcie lancą — koniu; innym razem koń, na którym przyjechał, koń piękny i wielkiej wartości, padł zgoniony w zamkowej bramie i zastygł w kwadrans potem, a pan chociażby nawet słowa za to nie powiedział...

Ludzie najrozmaitsze opowieści snuli sobie na ten temat... Byli i tacy, którzy „coś wiedzieli“, dla których postępowanie Jana nie kryło się w cudackiej formie nocnych awantur; byli jednakże i tacy, którzy go o różne niegodne zajęcia posądzali i dziwili się bardzo, że dziedzic do tego dopuszcza a nawet dopomaga...

Wreszcie tajemnica stała się jawną dla wszystkich.

Chmury ściągające się ze wszech stron zebrały się razem w jeden, zniszczeniem brzemienny wał, który zawisnąwszy nad biedną ziemią — zionął gradem i gromami... Wojna się rozpoczęła! Wojna straszna, zażarta, bratobójcza! Na wojnę tę szli starcy, szły i dzieci... szły niewiasty nawet... Od gór wy-

sokich, hen w dal aż po modre fale mórz, po czarne ściany puszczy rozległ się głos rozpaczny, głos zemsty bezsilnej.... Napróżno starsi wstrzymywali, napróżno błagali — nie pomogło.... Wojna się zaczęła.

Na tę wojnę poszedł dziedzic woydyłowskiemu zamku i przyległych włości, pan chorąży; Jan poszedł z nim.... Poszło wielu innych panów i szlacheiców i dworskich kozaków. Poszli najbliżsi, najmiłsi zamkowi sąsiedzi: szwagier pański, pan Karol Odrowąż, pan Antoni z Hrehorówki, pan Adam z Hoholnik.

Poszli, poszli i.... niepowrócili.

Pani chorążyna, pani Odrowążowa, siostra chorążego i kilku jeszcze innych dzieci z okolicy, prawie ciągle w zamku woydałowskim przesiadywały.... To szarpie darły, to popłakiwały z cicha, tak, żeby jedna drugiej nie widziała — to u wąskich okien stojąc, w dal zapatrzone, nasłuchiwały, czy gdzie działa nie grzmia? Czy nie ma gdzie w pobliżu bitwy? Czy się gdzie opodal krew nie leje?...

Nadsłuchiwały, najdrobniejszy szelest uchem łąwiły, w nadziei, że może to goniec z pola bitwy, z krwawego majdanu, niesie wieści wesole o zwycięstwie, o wygranej.

Tygodnie płynęły, miesiące mijały — żaden goniec od najdroższych sercu nie przybywał.

Niewiasty te czuły, że mężowie ich, ich rycerze — weszli jakby w morze krwi, i fale się tego straszego purpurowego oceanu zamknęły za nimi, a opar straszny, ruchomy, unoszący się ponad wezbranymi nurtami dojrzeć nawet nie dozwalał, co się z walczącymi działo?

Aż pewnej, strasznej nocy listopadowej, gdy panie, siedząc przy jasno płonącym ognisku na kominie, zajęte były przygotowaniem szarpi, wszedł Piotr kamerdyner i rzekł pani chorążynie, że Jan bardziej do upiora, niż do człowieka podobny, przywłókł się przed chwilą i chce się z jaśnie panią widzieć.

Wszystkie kobiety wydały jeden głos przerażenia; wszystkie zbiegły się, zacisnęły się w jedną gromadkę, jak pisklęta, którym jastrząb grozi srogi.... Przed tem, nim Piotr

wprowadził do pokoju Jana, ani słowa z sobą nie zamieniły, nawet starały się nie spojrzeć na siebie.

Wszedł Jan.... Nie ten to już był piękny młody szlachcic, postrach i zmora Agaty ochmistrzyni, przedmiot westchnień gardero-bianych, panien w zamku, nie! teraz wszedł do salonu woynałowski straszny, obszarpany żebrak; twarz miał w ohydny sposób poranioną, popekaną w długie, zaognione bruzdy; od brudnych łachmanów woń szła ohydna; nogami suwał z trudem niby starzec, na jedną nawet zupełnie utykał, a ze szmat, w które miał poobwijane stopy, krew się żywa sączyła.

Patrząc nań kobiety, powtórzyły znowu okrzyk zgrozy, żadna jednak nie miała odwagi pytać.

Straszny człowiek zbliżył się do ogniska i bezwładny prawie padł na fotel obok kominka stojący.... Kobiety patrzyły nań z czią religijną, jak na męczennika.... Dzieci tylko się poprzestraszały.... Oleś, syn chorązgo, przyszedł dziedzic zamku i włości, krył się za matkę, wołając :

— Nie chcę dziada! Nie chcę! Kazio i Jadwisia pani Odrowążowej płakały cicho, szeptały: biedny! biedny!

Straszny człowiek tymczasem rozkoszował się ciepłem, płynącym z komina i wodził bezmyślnym wzrokiem po zgromadzonych, jakby nie umiał zdać sobie sprawy: co to za ludzie? i czego chcą od niego? Wreszcie z widocznym natężeniem zawołał:

— Dajcie mi pié! Dajcie jeść!... Pié!... Wódki!

Za chwilę Piotr przyniósł butelkę starki, przeszłowiecznej, kawał zimnego mięsa i bochen chleba. Oczy Jana zaświeciły strasznym ogniem, wprost zwierzęcą pożądlivością. Chwytał butelkę z rąk Piotra i przechyliwszy ją pił, pił długo — połowę zawartości pewno wypił od razu; oczy mu się uspokoiły, mniej już chciwie, więcej po ludzku zabrał się do jedzenia....

Chorażyna tymczasem obesła wszystkie sąsiednie pokoje, pozamykała wszystkie drzwi; czyniła to z dziwnie zimną przytomnością z zupełną na pozór obojętnością; sama, później opowiadając o tym dniu twierdziła, że zrobiła

to wszystko bezwiednie, machinalnie. Tylko Piotr i Agata, ze służby pozostali w pokoju.

Jan tymczasem dogryzał kości, gdy skończył, padł na kolana przed panią, stopy jej całując.

— Niech Bóg błogosławi, gdyby nie ta wódka i ta strawa, już bym był zginął.... Jużem był gotów!

Wszyscy patrzyli nań jak na opętanego, na pozbawionego rozumu. Piotr go podniósł, bo sam wstać nie mógł.... Pani podszedłszy wówczas tuż do niego i patrząc mu surowo w oczy, krótko zapytała:

— Janie! co się dzieje z panem? Gdzieś go zostawił?

— W polu szerokiem! Na krwawym majdanie! Pod darnią zieloną!

Pani jęknęła tylko i skłoniła głowę na piersi pani Odrowążowej.... Chwila słabości krótko jednak trwała, wnet pytała znowu:

— Jak to było, opowiedz Janie!

— Usiąść pozwólcie! — szepnął i nie czekając pozwolenia padł znowu na fotel i zaczął dziwne, straszne opowiadanie. Alkohol, który wypił przed chwilą, gorączka straszliwa od dawna już tkwiąca w jego organizmie

i ponure okropne wspomnienia wojny i niewoli stworzyły z opowieści tego zwykłego szlachcica zagrodowego całość godną stanąć obok rozdziałów piekła Dantejskiego.

Drzał cały, febra nim rzucała, mimo to zapatrzywszy się w tlejące główne na kominie, opowiadał o rzeczach strasznych. Wokoło zasiadły słuchaczki blade i tak przejęte grozą opowieści, że nawet o swej zapomnialy na chwilę niedoli i nieszczęściu.

W dramacie, który rozsnuwał gorączką trawiony Jan, dziwne się rzeczy mieściły: działa grzmiąły, świst kul się rozlegał, płynęły całe rzeki krwi rycerskiej, konie w strumieniach tych brodziły po kolana.... To znowu duchy jakies niezemskie unosiły się po nad majdanem i po nad wojskami drugą batalię w powietrzu staczały; boginki niezwykłe po namiotach nocą się snuły i zagładę a śmierć wojsku, rycerstwu przepowiadały.

— Nie od szabli zginął! — zawołał nagle Jan, zwracając się wprost do pani chorążyny. — Nie! Zmogliśmy wszystkich, jak orły rozbijają całe émy lętkiwych gołębi, tak myśmy zgnietli niezliczone tłumy nieprzyjacielskiej konnicy.... Aż od ognia pie-

kielnego zginęliśmy; sam ponoś czart najstarszy zionął na nas pożogą i zniszczeniem i zagładą wszelkiego życia.... Tam padł cały nasz pułk, ani jeden cały nie wyszedł!

Chorążyna znowu głośno załkała, a on nie zważając na to, opowiadał dalej. Majaczenia już to były gorączkowe, pełne okropnych obrazów: ran, katuszy i śmierci. Opowiadał jak w noc ciemną na pobojoiwisku uczył wracające życie do ranami okrytego ciała; naśladował wycia psów i wilków gryzących się nad trupami; krakał jak wrony i kruki, zawodził złowrogim głosem puszczyków. Słuchaczom krew w żyłach stygła; nikt nie śmiał przerywać tej dzikiej, bezładnej opowieści, nikt pytaniem nawet nie przerywał wątku tych piekielnych rojeń; — niedola ogólna zagłuszyła osobiste cierpienia.

I jeszcze raz tej nocy wróciła Janowi prawie zupełna samowiedza; spojrział na panią Odrowążową, wpatrzył się w nią z dziwnem skupieniem ducha, jakby przypominając sobie coś usilnie i wreszcie rzekł cichym, do głębi dusz ludzkich sięgającym głosem:

— Wasz żyje! Tak samo jego jak i mnie zabrali z pobojuwiska, zakuli w kajdany i w niewolę srogą gnali.... Patrzcie! — zawołał, wyciągając przed siebie ręce, na których znaczne były ślady kajdan, brązowe niby wypalone obrączki. — Do jednego łańcucha nas byli skuli! Ja uciekłem! On nie mógł, choroba go była z nóg zwała; w nieprzyjacielskim obozie go zostawiłem.

W oczach pani Odrowążowej, przy tych słowach Jana błysnął żar nadziei i zapału w zapłakanych oczach; przyskoczyła do Jana i chwytając go za poranione ręce, okrywać je zaczęła gorącymi pocałunkami.

— Powiedz człowiecze! Powiedz chrześcianinie! gdzie on? — wołała gwałtownie — Na rany Chrystusa: powiedz?

— W obozie go zostawił! — szepnął i wnet znowu bredzić coś zaczął i rzucał się niby w konwulsjach i wołał: krew! krew! Zagłada życia wszelkiego!

Dzieci znowu płakać głośno zaczęły, a Oleś krzyczał jak pierwej.

— Nie chcę dziada! nie chcę.

Jan głos usłyszał i treść wołania dzieciniego zrozumiał, wyciągnął ku malcowi

ręce i zawołał tak donośnie, że dzieci przestraszone od razu zamilkły i drżące przycisnęły się do matek.

— Nie mów tak paniczku! Nie mów pański synu.... jedynaku! Ten dziad krew z twoim ojcem przelewał, ten dziad błogosławieństwo ci ostatnie od tego ojca przynosi!

I zaczął znowu szeptać w gorące:

— Syna błogosławie.... Śmierć w powietrzu czuje.... Na ciężką drogę żywota go błogosławie.... Niech zakon boży trzyma, ziemię rodzinną kocha! Niech kocha ludzi, którzy ziemię tę uprawiają, swym potem zraszają.... Pot z krwią się miesza, razem połączone zbawić nas w przyszłości muszą!

Oczy chorego mgłą zachodziły, twarz chwilowo rozgrzana od trunku i ognia zbiałała była jak chusta; z wysiłkiem nadludzkim zawołał jeszcze:

— Tak mówił dziedzie na godzinę przed bitwą.... przed śmiercią! — I runął na ziemię omdlały.

Kobiety rzuciły się ku niemu, sądząc że z tego wyprężonego i kostniejącego ciała dusza już uleciała.... Nie! Jan żył, i żyć

miał jeszcze długo.... Odniesiono go do gościnnych pokoi, pielęgnowano jak człowieka do rodziny należącego; chorował długo; przez cały miesiąc majaczenia, sny okropne i gorączka go nie opuściły i z wiosną dopiero młode siły zwyciężyły straszną chorobę.... Powstał, lecz powstał innym człowiekiem; swawolny, lekkomyślny młody szlachcic został tam daleko na krwawym majdanie, do Woydałowa powrócił złamany, ponury człowiek, siwy przed czasem, w trzydziestym pierwszym roku życia.

Powstawszy z choroby podziękował dziedziec za opiekę, powlókł się do własnej zagrody „na żurkowskim jarze“ — pustki tam zastał; matka staruszka w czasie jego wojaczki zmarła, rodzina rozdrapała co po niej zostało, nieobsiane pola, zniszczony sad i walące się budynki, powitały wracającego gospodarza.... Nie zastraszyła go pustka; z dziką zawziętością wziął się do pracy, dziedziczka dopomogła, z folwarku zamkowego dano mu parę koni, dwie krowy i trochę drobniejszego inwentarza.... Do jesieni pola już były obsiane, budowle poprawione; na gospodarzu jednak samym, ślady wojny i tru-

dów nie zatarły się — pozostał zgarbiony, złamany i siwy.

Tegoż samego roku, w jesieni, po naderdzie z księdzem proboszczem i panią chorążyną, „zaswatał“ ową Baśkę Wrońską, do której — jak twierdziła ochmistrzyni Agata — już dawniej „oczy zawracał“... Dziedziczka pobłogosławiła; Baśce wyprawę w zamkowej garderobie sporządzić kazała i do wyprawy dodała i grosza sporo i różności wszelakiej, która na nowem gospodarstwie młodej parze zda się; dała tak żeby starczyło i na dziś i na jutro.... Jan był jakiś czas zupełnie szczęśliwy, żonę kochał, ona nawzajem ginęła za swoim „starym“ — tak już Jana i wówczas ludzi zaczęli nazywać — wiodło mu się we wszystkim, aż ludzie już mu zazdrościć zaczęli.

Nie długo tego było! W rok zaledwie po ślubie, Baśka umarła, pozostawiwszy malutką dziecinę, kilkodniową sierotkę — Hanę.... Jan spochmurniał do reszty: skarżyć się ludziom nie lubił, współczucia i litości nie wymagał... zamilkł w nieszczęściu swem, zamknął się w sobie, ludzi unikał i rozmową się brzydził.... Dziecinę

tylko pieścił i o jej przyszłości myślał. Z dawnego oczajduszy i bałamuta zrobił się — sknera i skąpiec....? O groszu tylko myślał i zbierał z chorobliwą zawziętością.

Dla dworu tylko pozostał zawsze jednaki, zawsze życzliwy i przychylny. I teraz tak samo jak dawniej za życia nieboszczyka chorążego, w ważniejszych sprawach używano pomocy Jana; on zawsze pojechał i zrobił, lecz przyjmował już zapłatę za czas stracony w dworskiej sprawie; biorąc pieniądze, niby dla tłumaczenia, choć mu nikt tego za złe nie brał, powiadał:

— To dla Hanki na posag zbieram.

Po kilku latach takiego gospodarstwa wzbogacił się znacznie; już ludzie zaczęli rozpowiadać o jego „majątkach....“ Nie pogardzał bo żadnym zyskiem, handle różne prowadził; jak żyd po jarmarkach jeździł i bydłem a nierogacizną targował; dwa „wakanse“ przylegające do swoich pól, od dworu na czynsz wzięł, a pieniądze zdobyte w tych przemysłach do księdza proboszcza odnosił i do kasy kościelnej chował, grosza nikomu na procent nie pożyczył, twierdząc, że

to żydowska rzecz i że wrogów sobie za własne pieniądze kupować nie ma zamiaru.

Jedynaczka Hanka rosła tymczasem i piękniała przedziwnie. Śliczne to dziecko posiadało wielką łaskę pani chorążyny; kazała ją sobie przyprowadzać do zamku i lubiła żeby mała Hania bawiła się w jej pokojach; podarunkom zaś najrozmaitszym końca nie było.... Zwyczajem już było stałym, że zawsze jak Jan gdzieś w interesach dworskich w drogę wyjeżdżał, to mała jego jedynaczka zostawała na cały ten czas w zamku.

Przyszły dziedzic, może dwunastoletni wówczas chłopiec, nie lubił tej dziewczynki, zazdrościł jej przywiązania, jakim darzyła ją jego matka; za to dzieci pani Odrowążowej, które zostawały pod opieką ciotki, wówczas gdy ich matka w dalekiej stronie dzieliła losy swego męża, przepadały za małą Hanią i bawiły się z nią jak z równą, jak z krewną.

Wśród pieśszot i dostatku Janowa córka dorosła lat dwunastu.... Dzieci w zamku już nie było; pani Odrowążowa wróciwszy z obcej ziemi, po śmierci męża, córeczkę swą zabrała i zamieszkała niedaleko od Woydało-

wa; w swym nie dużym posagowym majątku; panicz, przyszły dziedzic wraz ze swym cioteczynym bratem od kilku już lat byli oddani do dalekiego miasta na naukę. Osamotniona dziedziczka tem silniej przywiązała się do ładnej i dziwnie poczeiwej szlachciancezki, córki człowieka, który był przy śmierci jej męża, który wraz z nim, w jednej sprawie życie ważył.... Opowiadano już nawet w zamku, że pani ma zamiar dać Hani pańskie wychowanie, że nauczycielkę do niej ma sprowadzić.... Na gadaniu pustem się skończyło!

Ciężka żałoba nawiedziła wkrótce potem woydałowskie dobra!... Niespodziewanie, nagle, w kwiecie wieku umarła bogobojna i miłosierna pani. Hania miała wtenczas trzynaście lat a rozwinięta była tak, jak inna w szesnastym tak nie bywa; śmierć ukochanej pani odczuła strasznie, żal dziecięcy pokrył bladeścią jej rumiane policzki, wypłakała się tak, że łez już w jej pięknych oczach brakować zaczynało — łkać już tylko mogła.

Zjechała się była cała pańska rodzina; przyjechali obaj panicze, słusznij już i prawie dojrzałij, pani Odrowążowa z córką zajmo-

wała się urządzeniem żałobnej uroczystości, był i pan marszałek Różycki, opiekun młodego dziedzica. Naród cały płakał; i sąsiedni panowie i chłopci i szlachta czynszowa szczerze wszyscy żalowali za dobrą sąsiadką, za miłosierną, na nędzę ludzką czułą — dziewczką.

Ciało tydzień cały spoczywało na katafalku w olbrzymiej zamkowej sali, zanim się zjechali ci wszyscy, którzy chcieli nieboszczece cześć ostatnią oddać.

Ostatniej nocy przed samą już eksportacją zwłok do kościoła, późno, gdy już goście wszyscy na spoczynek się byli udali — wszedł młody, osierociały dziedzic do żałobnej komnaty, spojrzeć raz jeszcze na ukochane rysy zmarłej. Piękny był: blada, klasycznych rysów twarz, okolona puklami ciemnych, z lekka zkędzierzawionych włosów, duże szafirowe oczy, łzą smutku prawdziwego przesłonięte, usta wykrojone na wzór ust bożków greckich — czyniły zeń porywająco piękne zjawisko.... Postać jego wyniosła i gibka, chwiała się pod ciężarem boleści, jak gną się młode dęby pod podmuchem burz i huraganów.

Gdy zbliżył się do stopni katafalku, dwie zapłakane postacie niewieście usunęły się na stronę i stojąc bez ruchu, tamując nawet oddech mocniejszy, starały się nie mącić i nie przerywać synowskiej boleści. Młody pan długo klęczał; czy modlił się, czy pograżył się w dociekaniu przeznaczenia ludzkiego na ziemi; z młodej, życia pełnej piersi wydobywały się żalosne westchnienia, aż kiry czarne drgać zaczęły.... Wysoka jego, w żałobę przyodziana postać, przypadła kornie do czarnych stopni; z ust zaciśniętych nerwowo, wyrwał się pierwszy, rozdzierający duszę jęk.... pierwsza skarga; rękoma chwycił konwulsyjnie zimne stopnie katafalku, usta zbieleły cisnął do straszego całunu; łkania suche, konwulsyjne młodem tem ciałem podrzucać zaczęły i prężyć go dziwacznie, strasznie — znać z bólu samowiedza go opuściła.

Wówczas dwie te postacie niewieście stojące dotychczas, na uboczu i przejęte do głębi współczuciem dla synowskiej boleści, zbliżyły się doń i słabemi rękoma, rękoma staruszki i dziecka starały się podnieść go i słowami do przytomności doprowadzić. Dotknięciem rąk tych zbudzony ze snu bole-

snego młodzieniec, sam o własnych siłach powstał i zdumionem okiem spojrzął na obie kobiety. Starsza, zgrzybiała już prawie była to Agata ochmistrzyni.... Kto była młodsza? niewiedział. Mimo boleści prawdziwej, mimo dziwnego znieczulenia i przyémienia siły spostrzegawczej, jakim podlegał od kilku dni, młody pan dostrzegł piękność nieznanego dziewczęcia i zdumiony niezwykle doskonałością i czystością rysów jej twarzy, wpatrzył się w nią z uwagą.... W chwili jednak, gdy wzrok młodego dziedzica spotkał się ze spojrzeniem dziewczynki, wybuchnęła ona głośnym, spazmatycznym płaczem i wśród szlochań z dziwną jakąś chorobliwą żalością wołała :

— Biedny! biedny! biedny panicz!

— Czyja ona? — spytał młody dziedzic Agaty, z czułością przytem popatrzył na rozpłakaną dziewczynkę. — Czyja ona?

— Jana Żurkowskiego — odrzekła starszka, i zwróciwszy się wnet do płaczącej dodała porywczco. — Cicho bekso!... Cicho!... I bez twego płakania się tu obejdzie i bez twego żalu, godniejsze tu są teraz oczy do płakania, usta do żalowania.... Patrzcie ją.

Młody człowiek stał zapatrzony ciągle na prześliczną twarzyczkę dziewczęcia, i ona z uwielbieniem i religijną prawie cześcią spozierała w piękne oblicze młodzieńca.

— No chodźże raz głupia! — gderала Agata. — Kłopot prawdziwy napytałam sobie z tą durną dziewczyną i spokoju nie dawała, płacze a prosi: „zaprowadźcie mnie panno Agato jeszcze raz do nieboszczki!“... Zaprowadziłam biedę, teraz mam za swoje — tryjater mi tu przedstawia.... No chodź Hanka!

— Idź, idź dziecko! — przemówił wreszcie pan Aleksander łagodnie i niezwykle rozczulonym głosem. — Idź spać mała, a gdy będziesz szła za mąż, to przyjdź po błogosławieństwo prosić.... Przyjdź do zamku!... Będę o tobie pamiętać!...

Płaczącą wyprowadziła wreszcie Agata.

Wspaniały pogrzeb pani chorążyny odbył się nazajutrz; w kilka dni potem państwo się porozjeźdzali.... Młodego dziedzica, wraz z jego ciotecznym bratem, panem Kazimierzem Odrowążem, odwiózł stary zamkowy furman Dynys do kolei, pani Odrowążowa z córką wróciły do swego Głuchowa — zamek opustoszał zupełnie.... Rządy wziął

w swe ręce jakiś obcy, stary rządcą, przysłany przez pana marszałka Różyckiego; wszystko się zmieniło — niestało owej duszy, która wiązała nowe czasy z dawnymi.... zabrakło miłościwej dziedziczki.

Jan osowiał jeszcze srożej; zabrał zaraz po pogrzebie dziewczynę do domu i z trudnością przyszło mu ją uspokoić.... Żalność jakaś okrutna zmogła była młodą duszyckę pięknej Hanka, i tak ją przygnębiła, że nie pomagały perswazy, niepomagały prośby ojcowskie, nawet gniew nie robił wrażenia. — Hanka płakiwała całymi dniami i nocami....

Niezwykła jakaś czułość i rozbujałość wyobraźni opanowały dziewczynę; wszędzie widziała przed sobą — wysoki katafalk, tyśiące świec wokoło, w górze pod sufitem prawie, woskowo białą twarz p. chorążyny, a obok katafalku, cudownie piękne oblicze syna zmarłej, dzisiejszego dziedzica wydałowskiego zamku. O tem, że widzi katafalk i postać zmarłej pani mówiła ojcu nieraz; jakiś dziwny, bezwiedny wstyd nie pozwalał jej przyznawać się przed ojcem, że w halucynacyach tych widuje i młodego pana.... Nie! widzia-

dło to, ta mara wyobraźni sprawiała jej rozkosz niewymowną, a bała się, że zniknie raz na zawsze, gdy o niej rozpowie komu....

Niezbadane i najdziwaczniejsze są halucynacye dziewcząt, zbliżających się do epoki dojrzałości; opanowywane bywają one przez sny jakieś z mgły i fantazyi zrodzone i mary te prześladową częstokroć przez długi czas młodocianą, rozigraną wyobraźnię.... Hanka na jawie przymykała oczy i miała najzupełniejsze złudzenie, że rozmawia z młodym dziedzicem, że patrzy w jego prześliczne, podłużnie wycięte szafirowe oczy, że widzi dziwny uśmiech okalający jego rumiane usta.... Jan domyślał się tego, martwił się, radził się księdza: co robić; ksiądz kazał do spowiedzi przyprowadzić i do roboty naganiać a jak grzechu śmiertelnego strzedz się próżnowania.... Rada księdza dobry skutek przyniosła, dziewczyna wkrótce do pozornej równowagi wróciła; policzki jej zarumieniły się znowu, wesoły śmiech się rozlegał po opustoszałej zagrodzie, po sąsiednim jarze, po zielonym lesie.... Stary się uspokoił.

W tymże samym czasie, wnet po po-grzebie ś. p. pani chorążyny do zagrody sta-

rego Jana przywłókł się jakiś „sałdat odstawny; ¹⁾ w „bilecie,“ który miał przy sobie było wypisano, że obowiązkowe lata służby odbył w pułku sybirskich grenadyerów, że ma lat dwadzieścia sześć i nazywa się: „odnodworzec“ ²⁾ Ambroży Pinkasiewicz, rodem z sąsiedniej gubernii.... O nocleg prosił. Jan, pamiętny swych przygód na wojnie, nie odmówił biednemu wędrowcowi.... A straszliwie był ten wędrowny żołnierz zbiedzony, z poranionych nóg krew mu ciekła; oblicze miał wymizerowane tak, że oczy małe a przenikliwe, niby światełka z jakichś głębokich jam połyskiwały. Gdy mu dziewczka słuźebna dała jeść, to rzucił się na strawę jak wilk zgłodniały i zjadł za czterech zwykłych ludzi.... Przed jedzeniem i po niem nawet nie przeżegnał się.

Stary Jan przypatrywał się żołnierzowi z wyraźnem współczuciem, a gdy skończył jeść, zapytał go wprost:

1) Dymisyonowany żołnierz.

2) „Odnodworzec,“ szlacheć, który nie mógł się wylegitymować dokładnie ze swego pochodzenia. — „Odnodworce“ nie byli właściwie szlachtą, nie byli też i chłopami.

— Jakim sposobem tak-eś się oporządził?

Żołnierz zanim odpowiedział, skłonił się staremu do kolan prawie i rzekł głosem, w którym czuć było szczerą, prawdziwą wdzięczność.

— Za chleb, za sól, za słowo dobre i serce chrześcijańskie przyjmijcie gospodarzu podziękowanie!...

I obejmował staremu kolana; Jan się rozczulił, podniósł biedaka i spytał znowu:

— Przez jakie przyczyny zszedłeś człowiecze na taką niedolę, na taką nędzę?

— Długo gadać! — odparł niechętnie żołnierz.

— Powiedz! Zznał i ja w życiu nie jednego, może radę ci dam.

— Kiedy nastajecie, to już wam opowiem — rzekł wędrowiec i zbliżywszy się do ławy, usiadł na niej.

Stary siadł naprzeciw na niskim zydlu;... Jasno płonące łuczywo na piecu oświetlało oblicze opowiadającego; Jan wpatrywał się weń bacznie i żaden, najdrobniejszy choćby wyraz zjawiający się na tem wynędziałym obliczu nie uszedł pilnej uwagi starca.

— Historya krótka! — mówił Pinkasiewicz. — Sześć lat temu wzięli mnie w *sał-daty*.... W domu ostawiłem był ojca, matkę i brata młodszego;... dobra wszelakiego było tyle, że stary Pinkasiewicz był najbogatszym szlachcicem w całych dobrach ilińskich.... Choroba ciężka jakaś naszła na całą moją familiję.... „tyf“ czy jak ją tam doktory nazywają.... Wymarli co do jednego.... Mnie dopiero w dwa lata później przez *wołość*¹⁾ o tem nieszczęściu znać dali.... Krewniaki, *bratczyki* koło grafskiego plenipotentą potańcowali, coś mu tam w łapę wsadzili; grunt na *wakans* zapisali, a po roku między siebie rozdzielili.... Bodaj grom pobił.... i ich i dwór cały!

— Nie kluj nieboże, ciężki grzech na duszę bierzesz! — szepnął stary Jan. — Cóż dalej?

— Nie kluj! Dobrze wam mówić gospodarzu, jak macie wszystko, co ezłowiekowi potrzeba.... Przez pięć lat służył ja w grenadyerach jak żebrak ostatniejszy.... Groszam z domu nie miał; nie, tylko *żało-*

¹⁾ Gmina.

wanie¹⁾ po trzydzieści kopijek w kwartał... Wysłużył swoje lata, dali *szenel*²⁾; buty podarte i z tem i z dziesięcioma palcami otprawił się ja z Riazania, *na rodinu*, w wołyńską gubernię... Zebrany chlebem doszedłem, *bohomołnegom*³⁾ przed narodem udawał... Przyszedłem do własnej zagrody — siedzi brat niby stryjeczny, nie brat a.... pies; wygnał kijem, własnymi naszymi psami poszczuł... Idę do dworu: — „poszedł won“! — wrzeszczy na mnie rządca, — za drzwi wypchnęli, nawet gadać czasu nie dali... Ot gospodarzu moja dola!.. Drugi już miesiąc po własnym kraju brodę jak wilk, po obcej puszczy gdzie przyjdę to pędzą, czasem chleba dadzą, a na nocleg nigdzie nie przyjmą; gadam, żem uczciwy człowiek, żem cesarski żołnierz, „bilet“ pokazuję; odpowiadają: — nie nam do twego biletu, możeś gdzie ukradł; na *katorżnika*⁴⁾ prędzej patrzysz niż na ce-

1) Pensya, żołd.

2) Płaszcz żołnierski.

3) Pielgrzym.

4) Skazaniec na przymusowe roboty w Syberyi.

sarskiego grenadyjera.... Macie gospodarzu, coście chcieli — taka moja sąładacka, sieroca dola.

Jan siedział zapatrzony w opowiadającego żołnierza; prosta ta opowieść o niedoli ludzkiej zmięczyła zmartwiałe jego serce, żal mu się zrobiło biednego, bezdomnego wędrowca. Powstał nagle i spoglądając w oczy opowiadającego, rzekł:

— Jeżeli pracować umiesz, to zostań u mnie; chleba ci nie pożałuję i zapłatę dam.... I tak starzeję się już.... *najmyt*.... mi się zda!

Ambroży został, jako parobek, u staro Jana. Po kwartale Żurkowski obejść się już bez niego nie mógł; pracował jak czarny wół, gospodarskiego dobra strzegł jak pies najwierniejszy, a rękę miał tak szczęśliwą, że czego się dotknął to mu się dwoiło, troiło w oczach.... Po roku służby, stary Jan polubił ponurego *najmita* niby syna rodzonego.

Czas upływał — Hania dorastała. Ze wszystkich stron zaczęli się szlacheccie czynszowi, ba i nie czynszowi, ekonomowie, leśniczowie dowiadywać o młodą jedynaczkę bogatego Jana. Wszystkim miał stary coś do

zarzucenia. Hani także żaden z nich nie podobał się; choć zdrowa i rumiana, choć niby na ziemi żyjąca Janowa córka — nie zapomniała snów i marzeń dziewczęcych; czasami w noc ciemną blada twarz o dużych płomiennych oczach, piękna twarz młodego dziedzica stawała przed oczami jej młodej rozmarzonej duszy. W skutek przestroż i nauk księdza proboszcza żegnała się wówczas i odmawiała modlitwy dla odpędzenia.... pokusy; pokusa jednak nie znikwała. Dwa razy w kościele, podczas letnich miesięcy widziała pięknego dziedzica.... Widziała go siedzącego w kolatorskiej ławce; patrzyła nań, wraz z całym narodem jak na jakiego pomazańca bożego; szeptała wraz ze wszystkimi dziewczętami całej parafii:

— Jaki on piękny! Bo piękny był w samej rzeczy, gdy pochylał głowę, całując „pątynę,” podawaną mu przez księdza proboszcza....

W trzy lata po śmierci ś. p. pani chociażyny, gdy jesień nastawa, drzwi w chacie starego Jana się nie zamykały, co dnia nowi swatowie się zjawiali.... Hanka o żadnych słyszeć nie chciała. Ambroży tymczasem spo-

chmurniał i zdziczał do szczytu. Stary Jan głową tylko potrząsał i mruczał coś sam do siebie. Wreszcie sam na osobności pogadał z Ambrożym; potem córkę zaprowadził do księdza i tam we dwóch coś długo z nią rozmawiali i nagle gruchnęła po całych woydalskich włościach nieprawdopodobna na oko wieść: — że *najmit* Pinkasiewicz żeni się z jedynaczką Żurkowskiego.... We trzy tygodnie później, jakoś na tydzień przed adwentem wieść się sprawdziła — Ambroży ożenił się z Hanką.

Na dzień przed ślubem córka całując nogi ojcowskie i szlochając głośno mówiła :

— Żaden z tamtych nie był mi miły!... Tego wezmę, bo wiem, że się wam ojcze nada, że pracowity i wam życzliwy.

— Nikt cię *doniu* nie siłuje — odpowiedział był, przestraszony smutnem brzmieniem jej głosu, stary. — Czekaj! Może miłszego się doczekasz.

— Nie! pójdę! — odpowiedziała uśmiechając się żałośnie. — Ni gwiazdy z nieba, ni słońca jasnego, ni miesiąca srebrnego nie dadzą prostej szlachciance.... A mnie słońca się zachciewało.

Zamilkła i stary nic jej na to już nie rzekł. Tylko dwa westchnienia zlane w jedno razem uleciały w przestwór, w dal.

Ambroży słyszał te westchnienia żałośne.

III.

Młody dziedzic zamku woydałowskiego i licznych folwarków, lasów i osad zamieszkałych przez czynszową szlachtę, po spotkaniu z Hanką Pinkasiewiczową myślał o niej — przez całe dwie minuty. Gdy wyjechał z jaru na równinę, a dźwięk pięknego, czystego głosu leśnej spiewaczki nie dochodził już do jego uszu — zapomniał znowu o jej istnieniu.

Pan Aleksander Woydałowski w ostatnich latach swego pobytu w miastach uniwersyteckich nudził się strasznie; wrócił do rodzinnego zamku, myśląc, że wieś da mu rozrywkę, tymczasem po trzech miesiącach pobytu przekonał się — że nudzi się jeszcze mocniej.... Administracya rozległych dóbr nie dawała mu pola do działania; objąwszy ojcowiznę zastał wszystko ujęte w ramy starej rutyny, pamiętającej jeszcze czasy niebosz-

czyka chorążego, a wzmocnionej następnie przez ś. p. jego matkę i ostatecznie doprowadzonej do względnej doskonałości przez opiekuna, marszałka Rożyckiego. Dochody były ogromne, gospodarstwo, choć staroświeckie, ale zasobne, szło tak, że ludzie z dalekich nawet stron wskazywali na Woydałów, jako na wzór do naśladowania. Zrazu młody dziedzic czuł jakby jakąś religijną cześć dla tej starej maszyny gospodarskiej, tknąć jej nie śmiał; później zjawili się doradcy przyjaciele, którzy zniszczyli w nim ten pietyzm do przeszłości; zmieniono też wiele, wiązanie jednak pozostało to samo... Pochlebcy, przyjaciele i dworacy jak muchy do miodu zbiegali się do młodego pana; jedli, pili, bawili się i przesiadywali w zamku, jednak w rolach li doradców; urzędowych stanowisk nie mieli.

Nie mieszając się zbytecznie do zarządu majątkiem, pan Aleksander wyszukiwał sobie zajęcia, dające mu jaką taką rozrywkę; to przez jakiś czas trenował konie, żeby błysnąć nimi na prowincjonalnej arenie; to zajmował się hodowlą szlachetnej rasy psów; teraz interesowała go najmocniej nowo zało-

żona bażantarnia... Z bażantarni właśnie wracał, gdy ujrzał po przeciwnej stronie jaru Hanke i piękny jej śpiew zwrócił jego uwagę. Był zgniewany i niekontent — nie kontent z miejsca, które na bażantarnię wybrał, niekontent z Czecha, który miał wybredną zwierzynę hodować, niekontent wreszcie z ludzi wszystkich, z siebie samego, z całego świata... Nudził się.

Wyjechawszy z krętej, po nad stromy jar wijącej się drożyny na równą topolami obsadzoną aleję, wiodącą wprost do zamku, ziewnął przeciągle i mruknął przez zęby:

— Pies by się urwał!

Ścisnął potem łydkami boki szlachetnego araba, zebrał krótko cugle i wydawszy nosowy dźwięk — „gooon!“ ruszył galopem po równej, jak stół drodze. Arab znudzony wolnym ruchem, zniecierpliwiony muchami, które obsiadłszy jego boki gryzły go tak, że aż krew wystąpiła — rwał teraz z kopyta niby huragan rozhulany po bezbrzeżnym stepie. W pięć minut później pan Aleksander wstrzymał wierzchowca w bramie zamkowej.

Pleśń jakaś wiekowa krzewiła się na tych szarych ciosowych, murach; powaga

jakaś dziwna, niepochwytna, a jednak narzucająca się gwałtownie widzowi, otaczała tę niezwykłą w naszych czasach budowlę. Zębem czasu nadszczerbione mury, po których tu i owdzie rosły nędzne karłowate drzewiny; fosy głębokie, na wpół krzewami zarosnięte i zacienione wysokimi jak sosny pokrzywiskami, robiły wrażenie pustki. — Obszerny, murami otoczony dziedziniec, wyspany piaskiem i czysto zamieciony; okalające go wspaniałe stajnie i poważny, stary, lecz dziwnie dobrze zachowany gmach mieszkalny — przenosiły myśl widza w dawne jakieś, rycerskie czasy, i czekał on niecierpliwie, czy nie otworzą się szerokie bramy zamkowych stajen, i nie wyjadą z nich zakuci w stal rycerze — na turniej; czy na zamkowym krużganku, tam pod pańskim herbem, nie ukaże się zastęp dziewię pięknych, z wieńcami w dłoniach — na „dank“ dla rycerzy?...

Nie! Szlachetnych dziewię nie było, tylko na ciosowej platformie, zastępującej zamkowy ganek, siedziało kilku młodych ludzi i strzelali do jaj kurzych, które podrzucał w powietrze starszy już człowiek, ro-

biąc przy tem dziwnie komiczne ruchy i skoki.

— Nie strzelajcie! — zawołał pan Aleksander — bo mi konia spłoszycie! El-Hakim nie znosi strzałów.

Słuszny, blady młodzieniec, trzymający w tej chwili pistolet w dłoni, spuścił lufę ku ziemi, nie wystrzeliwszy; jajo spadło na kamienną posadzkę i rozlało się w brzydką, żółtą plamę.

— Zkąd wracasz amfitryonie? — zawołali razem wszyscy zebrani na platformie młodzi ludzie, zbliżając się ku gospodarzowi, który w tej chwili zląził z konia.

— Oprowadzaj konia tak długo aż ochłodnie, — rzekł pan Aleksander do masztalerza, odbierającego z jego rąk zziąjanego konia, i nie zwracając nawet uwagi na pytania młodych ludzi.

— Jowisz dziś gniewny! — zawołał drwiącym tonem długi i chudy baron Kneipp.

Odpowiedzi nie było.

Białe, w żółtawy odcień, niby z kości słoniowej wyciosane czoło barona poorzało się całym szeregiem bruzd głębokich; od kiedy przybył do woydałowskiego zamku, to pierw-

szy raz mu się zdarzyło, że gospodarz nie odpowiedział na jego pytanie. Niegrzeczność gospodarza uczuł tem dotkliwiej biedny polsko-niemiecki baron, bo wnet uprzytomniły mu się możliwe następstwa złego humoru pana Aleksandra, Olesia — jak go z czasów uniwersyteckich jeszcze nazywał — wykrzywiona twarz nędzy i ponure oblicze pracy mignęły mu przed oczami; baron bowiem stracił już był wszystko co miał, lub mieć mógł; — w Woydałowie pełnił niby rolę agronomicznego doradcy, lecz w rzeczy samej żył na łasec dawnego kolegi.

Innych nawet nie obraziły: zły humor i brak grzeczności ze strony gospodarza; stali, pospuszczawszy głowy, niby winowajcy.

Pan Aleksander, z nieukrywanym wstrętem spojrzął na gładką powierzchnię platformy, pokrytą teraz potłuczonymi jajami, rozbryzganemi żółtkami i całą masą nadszczyrbionych skorup, i zwracając się do owego człowieka, który podrzucał owe nieśczęsne jaja, z gniewem prawie zawołał:

— Cóż to za koncept przyszedł ci, panie Błażnicki? Pfe! obrzydliwość! Chcesz przyrządzać jajecznicę, to idź to kuchni!

— Jaśnie wielmożny pryncypale... —
zawołał z emfazą Błaźnicki, kłaniając się przy
tem z ironiczną trochę pokorą. — Jaśnie wiel...

— Błaźnicki nie błaznuj! — przerwał
mu gniewnie pan zamku. — Mówię dziś na
seryo i proszę bardzo, żebyś mi tego więcej
nie robił!... Róbcie co chcecie, ale zanie-
chlując zamku nie pozwolę!

Wszyszey zamilkli grobowo; jeden tylko
Błaźnicki szeptał półgłosem:

— Nie moja wina, panie hrabio, nie
moja wina!... Panowie kazali; sam pan baron
proponował!...

— To można było gdzie indziej, w ogro-
dzie, a nie tu na ganku! — mówił Aleksan-
der, miękącym głosem.

— Jowiszu! Zeusie! rozmarszcz swe
boskie czoło! Usuń chmury gniewu z twych
promiennych oczu! — rzekł żartobliwie ba-
ron, zbliżając się do gospodarza i opierając
mu poufale rękę na ramieniu.

— Tobie zawsze żarty w głowie,
Kneippie! — odpowiedział, uśmiechając się
Aleksander. — A to doprawdy, że już trudno
wyrzycić... Coby ludzie powiedzieli, gdyby
tak kto nadjechał?

— Kogo tam ma licho nieść?... Przyznaj się lepiej wprost, żeś się czemś zirytował i tu na nas, na swoich przyjaciół i gości — wyraz ten wymówił z przyceiskiem — gniew swój spędzić pragnął.

— Przepraszam! — odparł gospodarz, z pewną ceremonialnością i skinął głową ku wszystkim zgromadzonym. — Wybaczcie, ale doprawdy jest od czego zwaryować! Czech, świnia pijany dziś jak bela; małe bażanty nie jadły od wczoraj; indyczki z jaj pouciekały.... Do dyabła plunę na to wszystko i wyniosę się gdzieś do cywilizowanego kraju.

— I tę już biedną ziemię zaczynają przenikać promienie cywilizacyi, skoro ma takich synów jak ty gospodarzu! — przemówił milczący dotychczas mężczyzna, najstarszy może z całego tego grona.

— Co ty tam kwilisz poeto? Co spiewasz Piórciu?

Nazwany Piórciem, potrząsł swą długą kędzierzawą, a miejscami już znacznie posiwiiałą czupryną i z większym jeszcze patosem zawołał:

— Nie godzi się tobie opuszczać tej ziemi, tobie, który jesteś jedną z najjaśniejsz-

szych pochodni, którą Bóg zesłał, by w tych ciemnościach narodowi przyświecała.... Tyś jeden jeszcze z wielkiej epoki romantyzmu, inni to już tylko filistry.... pasibrzuchy!..

Zapadła pierś pana Piórkowskiego wznosiła się teraz gwałtownym ruchem; chwycił powietrze, tchu mu ze wzruszenia zabrakło.

— Piórciu, uspokój się! — przerwał ten potok poetyckiego uniesienia, młody człowiek z rudawą w klin przystrzyżoną bródką. — Oleś pomyśli, że dziś drwisz z niego! Uspokój się ty ostatni z Mohikanów zmarłego romantyzmu.

— Ja drwię z Aleksandra?!.. Romantyzm zmarł!.. Boże! — zawołał zapalając się coraz mocniej „nadworny“ poeta. — Romantyzm żyje! Żyje silniej, niż myślicie, wy czciciele cielea złotego!.. Ktoby drwił z Olesia, to spotka się z moją kulą.

— Czy tak jak te jaja, do których pan Piórkowski dobrodziej chybiał tak zawzięcie — wmięszał się do rozmowy Błażnicki, który zbliżył się już do grupy rozmawiających, ale zawsze z pewną obawą spoglądał na pana zamku.

— „Błahy strzelec uchodząc szyderstw towarzyszy“ — zadeklamował bolesnym głosem poeta.

— Eh! co tam pan, panie Piórkowski pleciesz smalone, romantyczne duby — ozwał się piąty ze zgromadzonych, młody człowiek, średniego wzrostu, krępy, o dużej okrągłej głowie i energicznej, ożywionej twarzy, okolonej czarną, bujną brodą. — Szanowny panie! — zwrócił się do gospodarza domu. — Nie czas słuchać tych romantycznych bzdurstw; wartoby się już zająć sprawą „aktualną“, pozytywną.... Wczoraj zbadałem brzegi strumienia Wyczółka.... Węgiel jest z pewnością, jest na szlacheckich pastwiskach.... Trzeba czynszowników wywłaszczyć i eksploatować. Miliony! Miliony!

Pan „inżynier górniczy“ Poślisko siedział już od dwóch lat w woynałowskim zamku i co dnia badał teren, obiecywał miliony i nawoływał do zajęcia się „aktualnymi“ sprawami.

— Miliony! Miliony! — powtórzył, lubując się samym dźwiękiem czarodziejskiego słowa.

— Dobrze, kochany inżynierze! Dobrze! — odparł śmiejąc się wesoło i swobodnie Aleksander, inżynier zawsze go w najlepszy humor wprowadzał. — Teraz chodźmy na śniadanie, a po niem zajmiemy się aktualną sprawą i zdobędziemy — miliony!... miliony!... No, Błaźnicki ruszaj naprzód.

Wszyscy udali się za Błaźnickim w głąb zamku...

Błaźnicki był w rzeczy samej zamkowym — błaznem. Ubogi, drobny urzędniczek przedtem w sąsiednim powiatowym mieście, umiał się podobać młodemu dziedzicowi Woydałowa i stał mu się teraz niezbędnym; stale już mieszkał w zamku i spełniał funkcyę prawnego doradcy. Pozwalał na najboleśniej-sze drwiny ze swej osoby, przytem miał dwie słabe strony, kurował chłopów na wszystkie choroby miksturą Pirogowa i „naprawiał“ strzelby źle bijące, za pomocą „rozwiercania“ luf, specjalnie w tym celu sporządzonym świdrem; — kto nie wierzył w skuteczność mikstury, lub wątpił w dobre skutki „wiercenia“ luf, był jego osobistym wrogiem... Obeznani z rzeczywistym stanem rzeczy, utrzymywali, że Błaźnicki w czasie swe-

go dwuletniego „urzędowania“ w zamku zebrał już wcale okazały kapitałik.... Pan Aleksander trzymał go, bo miał z niego zawsze wesołą zabawę, a nawet — jak utrzymywał — pomoc w interesach.

Inni „goście“ zamkowi należeli mniej więcej do tej samej kategorii co baron i Błażnicki.

Piórkowski był synem właściciela ziemskiego i nawet dalekim kuzynem pana zamku; w szkołach jeszcze dał się opanować obłędowi „powołania poetyckiego“; szkół nie skończył, majątek odziedziczony po śmierci ojca stracił, w kilku latach; z biedy puścił się był na „guwernerkę“ prywatną po obywatelskich domach, lecz i w tej karyerze nie wiodło mu się — wszędzie przeszkadzało mu romansowe usposobienie i serce aż na zbyt kochliwe.... Gdy Aleksander osiadł w Woydałowie, wygnany haniebnie z ostatniej „kondycyi“, pan Eugeniusz Piórkowski, zwiózł się do zamku wraz z kuferkim, pełnym starych szpargałów, zrazu niby to czasowo, wkrótce jednak osiedlił się w zamku na stałe, i został — nadwornym poetą t. j. zajął miejsce

o jeden szczebel w drabinie hierarchii zamkowej wyższy niż Błaznisio.

Młodzieniec ów, z rudawą, w klin podstrzyżoną brodą, który żartował z „Piórcia“ zwał się: — Alfons Suchekomnaty - Koniński; był artystą malarzem. Pan Aleksander w czasie swych wędrówek po zagranicznych stolicach poznał się z owym malarzem, poprzyjaźnił i przywiózł z sobą w celu portretowania swych koni; od tego czasu pan Alfons siedział w zamku, kłócił się z urzędem z całym dworem; w chwilach uniesienia darł podmalowane płótna i twierdził że takich szkap jak są konie woynałowskie nie warto „unieśmiertelnić“ jego pędzlem.

Historia „górniczego inżyniera“ Posliski była zupełnie analogiczna z przeszłością „artysty-malarza“ za to też nie nawidzili się nawzajem, inżynier reprezentował demokratyczno-postępowy żywioł — artysta był przedstawicielem starej „wymierającej“ — jak Poslisko twierdził — szlachty i wielbicielem tradycyi rodowej; pan Aleksander, gdy był w dobrym humorze, lubił różnić z sobą obu tych antagonistów i bawił się wybornie ich

zawziętymi sporami, które najczęściej kończyły się zajadłą kłótnią.

Z ganku do sali jadalnej, która mieściła się z drugiej strony zamku, w parterowym drewnianym, przez młodego już dziecica zbudowanym pawilonie, przechodzić potrzeba było przez kilka sklepionych i od starości poczerniałych izb. Pierwszą była, sień olbrzymia, w której połowę prawie jednej ściany zajmował kolosalny komin z pięknie rzeźbionego marmuru wykonany; rogi jelenie, łby dzików i t. p. trofea myśliwskie, przez ciąg kilku pokoleń panów Woydałowskich zbierane, stanowiły piękną ozdobę tej sali....

Błaźnicki idąc przodem podrygiwał komicznie i z kłownowskim zacięciem kłaniał się to przed łbem dziczym, to przed rozłożystymi rogami jelenimi.

— To był mój braciszek! — rzekł, wskazując na najbardziej rosochate rożyska.

— Nie poniżaj pan godności człowieka, Pana stworzenia! — przerwał mu z oburzeniem poeta.

— Nie wiedziałem, że pan do baranów należysz — dorzucił, śmiejąc się inżynier.

— Nie lepszy byś i pan był! — ryknął gniewnie w odpowiedzi Błażnicki — ożeń się, to zobaczysz!... Moja gołąbka, pies by ją tam jadł... w miesiąc zaraz po Sakramencie przyprawiła mi była rogi jeszcze wspanialsze niż te... Teraz Bogu dzięki „odpekałem“ się baby; wziął ją jakiś piechotny kapitan; na niebo biedaczysko pracuje, bo musi z nią mieć piekło na ziemi.

Pan domu, baron i malarz szli razem, w jednym rzędzie i nie mieszała się do tej roznowy, pan Aleksander był ciągle zachmurzony i nie rad z całego świata, obaj zaś „przyjaciele“ milczeli, rozmyślając nad sposobem rozweselenia amfitryona. Przechodzili przez dziwne pokoje, na wpół ciemne nisze, w których ściany obwieszane były staroświeckimi makatami — zdobyczą na pogańskich wrogach krzyża; lampy niezwyklej konstrukcyi zwieszały się u zakopcanych sklepień, rdzą nadgryzione pancerze i druciane koszulki spoczywały na misternie tkanych gobelinach; — jakieś technienie przedwiekowej powagi wiało z tych ścian i sprawiło, że nawet Błażnicki przestał bawić towarzyszy swym kosztem, nawet pan Poślisko zamyslił

się głęboko. Za chwilę urok przeszedł; przez duże, dębowe drzwi weszli do widnej, obszernej sali jadalnej.

Pokój to był wysoki i przestronny; trzy ogromne włoskie okna otwierały ztąd widok na pełen zieleni i woni park zamkowy, rozciągający się wzdłuż szerokiego jaru; — strumień cicho szemrał na dole parowu.

— Olesiu, napij się starki! Napij się w moje ręce! — pierwszy przerwał uroczyste mileczenie baron, zmuszając się do kłamane go uśmiechu.

— Pij, Knajpphoffie! — odrzekł gospodarz; i wszyscy poweseleli, bo był to znak dobrego humoru u gospodarza, jeżeli barona nazywał imieniem dawnej posiadłości jego przodków.

Szkló zabrzęczało, brązowy płyn zaiskrzył się w rznętych staroświeckich kieliszkach, gwar, zrazu przyciszony, później coraz głośniejszy, zapanował w sali.

— Cudowną masz wódkę, Olesiu! — zawołał baron, po wypiciu kieliszka.

— Cudowną, cudowną! — powtórzyli inni.

— Nektar boski! — zakonkludował poeta.

Stali rzędem, i jeden po drugim wypijali po kieliszku. Błaźnicki, wypiwszy jeden kieliszek, cofnął się na koniec szeregu, i czekał, aż znowu kolej nań przyjdzie; mawer ten powtórzył kilka razy, i udał mu się zawsze wybornie; alkohol podziałał: małe oczki szanownego zastępcy prawnego ożywiły się dziwnie, zabłysły jakimś ponurym, niemiłym ogniem, twarz pokryła się chorobliwym rumieńcem; fioletowe centki wystąpiły na nosie i policzkach, z cicha począł nucić jakąś hulacką piosnkę.

Ogólne podniecenie oddziało i na gospodarza; chmura nudy usunęła się z jego czoła, uśmiech swawolny, pusty, rozjaśnił mu twarz, i zwracając się do Błaźnickiego, zawołał nagle:

— Hej! mecenasie, utnij no nam kózaka.... Posłuży ci to przed obiadem; ruch przyspieszony doda ci apetytu.

Pan Błaźnicki nie kazał sobie dwa razy powtarzać tej propozycyi pańskiej, skurczywszy się dziwnie, jednym skokiem odsadził się od zgromadzonych przy bufecie, i

zaczął w zabawny sposób podskakiwać i przysiąść do ziemi, podrzucając nogami i wybijać siarczyste prysiuły. Od czasu do czasu wykrzykiwał zuchowato:

— Hu! ha! hop!

Twarz jego szeroka i płaska zaczerwieniła się apoplektycznie i pokryła się obfitymi strumieniami kroplistego potu.

— Ostrzej, mecenasie! Ostrzej — krzyczeli młodzi ludzie, śmiejąc się wesoło.

— Błaźnicki, śpiewaj! — krzyknął pan Aleksander, wybijając nogą takt kozaka.

Na ten rozkaz siwowłosa kłown, zwolnił trochę tempo tańca, a wzięwszy się za boki i podrzucając zawadyacko głową, począł śpiewać:

*Oczeret triszczyt i woda pluszczyt,
A kum do kumy sudaka taszczyt!
Sudaka taszczyt! Taszczyt! Taszczyt!*

— Bravo! bravo, Błaźnicki! — wołał pan zamku, a za nim całe zgromadzone towarzystwo — dalej! dalej!

Błaźnicki kilka razy przysiadł do ziemi i równocześnie z dziwną lekkością odrzucał

jedną nogę w bok; później wolnym posuwistym krokiem zataczał koła i śpiewał dalej:

*Oj, kumciuż moja, hoj hołubko moja,
Zwary meni sudaka,
Szczoby juszka buła,
I juszeczka i petruszeczka!
Kumo moja, kumo luba,
Kumo duszeczka!
Duszeczka! Duszeczka!*

Całe grono było huczne brawa; gospodarz najzawzięcej. Błaźnicki aż siniał od zmęczenia i gorąca, lecz nie ustawał; co raz to nowe i odmienne od poprzednich wyprawiał skoki, coraz zabawniejsze strofki śpiewał. Wreszcie pan Aleksander widząc już zmęczenie zawołał:

— Stój!... dość, dość Błaźnisiu! Tęgi z ciebie chłopiec! Słowo daję, że *matadiec!* No napijże się jeszcze wódki?

— Jak wasza łaska, jasnie wielmożny grafie! — odrzekł tancerz, sapiąc jak miech kowalski i z trudnością wymawiając słowa.

— Wart! wart! — wołał baron i inni za nim.

— Mateusz! — krzyknął Aleksander —
podajno butelkę starego koniaku i kieliszek...
ten duży, od czerwonego wina.

Błaźnicki stał obok pana domu, oddychając z wielkim trudem, ręką oparł się na krawędzi wspianego dębowego bufetu; twarz jego pokryła się kroplami potu niby obfitą rosą; nogi pod nim drżały chorobliwie, że ledwie mógł się na nich utrzymać.

— Mateuszu! prędzej koniaku! — wołał pan.

— Nie dawaj mu tyle, bo się strąbi! — rzekł z przestrogą baron.

— Niech się pan baron nie obawia! — podchwycił szybko Błaźnicki, rzucając na mówiącego zjadliwe spojrzenie z pod bujnych, długich rzęsów — słowiańska u mnie panie baronie, łepeta; wypić mogę beczkę.... Od tego, czem się inna nacya, choćby i germańska, strąbi, to naszemu bratu słowiańskiemu nawet dobrze we łbie nie zaszumi!... Ho, nie ma w świecie, jak nasz brat Słowianin!...

— Masz za swoje Kneipphoffie, masz! — zawołał, śmiejąc się spazmatycznie, gospodarz — nie zaczepiaj mego Błaźnisia, bo

gotów cię na pojedynek wyzwąć!... Czy nie prawda Błaźnicki?

— Na rozkazy pana hrabiego! — odparł stary kłown i wypił wnet potem ogromny kielich złotawego koniaku. — Albo to mnie nowina pojedynek — prawil zuchowato dalej, obcierając rękawem obwisłe, zmoczone wąsy — bijałem się za młodo nawet z kawaleryjskimi oficerami... Ho! ho! szabla dla palestry to nie nowina.

Pan Aleksander uśmiechał się ironicznie, słuchając tych słów i patrząc na twarz barona, która mieniła się pod rozmaitemi wrażeniami; żyły na bladych skroniach nabrały i stały się podobne do siatki z grubego szpagatu, usta zbladły zupełnie; — здаваé się mogło, że baron lada chwila wybuchnie gniewem strasznym. W tem stary Mateusz zawołał uroczystym głosem:

— Proszę panów usiąść! Zupa rozdana.

Błaźnicki pospieszył na „ostatnie“ miejsce przy stole i nie czekając na nikogo zasiadł i począł pospiesznie, ze zwierzęcą prawie pożądlivością połykać duże łyżki pasztowej zupy.

— Bydlę! — szepnął przez zaciśnięte gniewnie usta baron. — A ty rozzuchwalasz go do niemożliwości! — dodał zwracając się do Aleksandra.

— Jak pozwoli sobie kiedy zanadto to dostanie nogą w tył i pójdzie do dyabła.... Dziś bawi mnie jeszcze.... no i jest mi użyteczny.

Powiedziawszy to ostrym, stanowczym głosem, pan domu usiadł na pierwszym miejscu i grzecznym ruchem ręki wskazał towarzyszom miejsca obok siebie.

Tuż przy panu domu siedzieli: na prawo baron, na lewo „kawaler“ Alfons; poeta i inżynier sąsiadowali z Błażnickim.

Zupę zjedzono w milezeniu; dopiero wyborna madera rozwiązała języki.... Pan domu rozparł się wygodnie w szerokim poręczowym krześle, na szczycie którego widniał herb domu, wyrzeźbiony w starej zecerńskiej dębinie i rozpiąwszy dwa dolne guziki u kamizelki rzekł wesoło, zwracając się do Błażnickiego.

— No, zacny mecenasie! Dwa talerze zupy zjadłeś, po kozacku wysapałeś się do-

statecznie, gadaj więc: co tam nowego u nas słychać?

— Są dobre i złe wiadomości panie hrabio — mówił krztusząc się Błażnicki, bo usta miał zapchane całym pasztecikiem.

— Naprzód dobre!

— Wedle rozkazu!.. Jest telegram od adwokata Zerarda z Petersburga, że proces z naszą szlachtą wygrany w senacie.

— Niepodobne! — zawołali razem pan Aleksander i inżynier.

— Zaczniemy pracować aktualnie! — dodał inżynier.

— Pozbędę się nareszcie tych złodziejów zwierzyny — szepnął gospodarz. — Czy można ich będzie natychmiast wyrzucić? — zapytał wnet głośno.

— Nie! Wyrzucać ich zupełnie nie można! — odparł śmiejąc się sucho Błażnicki. — Niech się jednak hrabia nie boi, sami pouciekają.... Wyrok senacki naznacza im nową tenetę za ziemię, po dwieście rubli za dziesięcinę, wypada po sześć rubli za nasz morg.... Żeby z głodu szelma zdychał, to jeszcze tyle z tej zбочystej gliny nie wydusi.... Sami jasny grafie uciekną!

— Tylko niech pan dobrodziej nie zfolguje! — dorzucił demokratyczno-liberalny inżynier. — Przeczuwam już te płacze i lamenty, a tu musimy ich usunąć bo węgiel jest... jest... Miliony w tej uboczy! Miliony!

— Zostawię to Błażnickiemu — odparł gospodarz i wnet zwrócił się znowu do staro-
rego prawnika z zapytaniem: — Jakież znowu masz smutne wieści?

— Eh, aż mówić wstyd — odrzekł przybierając zgorzszą minę Błażnicki. — Pan Kazimierz z Głuchowa znowu wydziwiacie zaczyna.

— Cóż tam znowu mój braciszek spłatał? — przerwał śmiejąc pan Aleksander.

— Dobrze się hrabiemu śmiać! — prawił dalej Błażnicki — a tu dur głowy się bierze... Jak ma być pomiędzy chłopstwem i drobną szlachtą ład, jak obywatele sami buntują?... Żeby on nie był kuzynem jaśnie wielmożnego pana, tak, żeby mi nie wiem co zrobić mieli, a to dałbym znać o tem do policyi... Prosto nihilista!... Takie rzeczy gada, że aż przeciwnie powtarza.

— Nie bój się, powtórz!

— Wola pańska !... Przedwczoraj się cała ta hałastra zebrała u księdza po Mszy; byli wszyscy „urodzeni“ z tym gałganem starym na czele, z tym Janem Żurkowskim, takim to, a takim synem... Naturalnie, że i pana Odrowąża nie brakło; on na każde nabożeństwo pierwszy jedzie... Zrobili tam sejm; ach psie syny, ja bym im dał sejm. Rada była wielka, a on im gadał, żeby się niczego nie bali, że ziemia do nich należy, bo ich ojcowie i dziadowie na niej siedzieli, ją uprawiali i za nią krew przelewali... Słyszał kto kiedy, ażeby szaraki krew przelewali...

— Przelewali! — przerwał nagle potok Błażnisiowej wymowy baron Knaipp — wiele rodzin z waszej szlachty czynszowej na polach bitew zdobyły senatorskie godności.

— Jedź pan baron do pana Odrowąża i wraz z nim idź rozpowiadać takie brednie tym bosonogom — odparł sapiąc namiętnie Błażnicki. — Ale nie o pana tu chodzi, grunt, co szlachta postanowiła zrobić: Po całej tej naradzie wszysey te bosonogie senatory uradzili iść tu do zamku, prosić zmiłowania pańskiego; pragną wyżebrać dobro-

wolną ugodę, znać jaśnie wielmożny ich proktor pan Kazimierz zważał pismo nosem i przeczuwał, że ta hołota w senacie przegrać musi.

— A jabym tej szlachty nie wyganiał! — ozwał się znowu z pewną niecierpliwością baron, podnosząc pochyloną dotychczas głowę w górę i wpatrując się w oczy gospodarza domu. — Zawsze to potomki waszych żołnierzy, waszych wasalów.... No i śliczne są pomiędzy tą szlachtą kobiety — dodał śmiejąc się wesoło — sam widziałem kilka tak pięknych, że na cesarskim dworze możnaby nimi zaimponować.... Tylko umyć i ubrać.... Nawet maniery już z urodzenia mają dystyngowane. Gdyby tak odemnie zależało, to nie niszczyłbym ostatnich szczytków feudalizmu.

— Eh! co też pan baron mówi? — huknął inżynier. — Także rozum by był, dla jakichś tam strzępków feudalizmu zostawiać tym darmozjadom pół darmo ziemię, w których jest napewno węgla... i miliony.

— Wierne wasale! — zasyczał Błażnicki. — Śliczne rady pan baron daje naszemu panu.... Zobaczysz baron, że nie minie

kilka lat, a tych wasalów rząd uwłaszczy i naznaczy „wykup“ podług płaconych w ostatnich czasach czynszów.... Ot będzie śliczny feudalizm.... Ładna zabawa, po trzy ruble za dziesięcinę, skapitalizują tak jak chłopów na pięćdziesiąt rubli.... Pięćdziesiąt rubli za dziesięcinę egipskiej ziemi.

— Która ma w swem czarnem łonie węgiel i miliony! — dorzucił inżynier i zaśmiał się sucho ironicznie.

— Pozbyć się ich muszę, bo hultaje kradną zwierzynę! — szepnął, niby usprawiedliwiając się sam przed sobą Aleksander.

— Ująć w kluby posłuszeństwa lecz nie wyganiać! — ozwał się sentencyonalnie długowłosego poeta. — W szczątkach tych naszego drobnego rycerstwa są kopalnie niewyczerpane poezyi, w ich duszach romantyzm tli jeszcze.

— Poeta ma rację! — huknął artysta. — Co za typy pyszne?.... Ten Ambroży, co to mieszka tuż pod jarem, który ma taką śliczną żonę.... co to za typ! Salwator Rosa mógłby go malować! Istny bandyta kalabryjski!

— Prosty złodziej! — szepnął przez zęby Błaźnicki. — Drzewo ze skarbowych lasów kradnie, a ponoś nawet daje u siebie schronienie szajce końskich złodziei.

— Dość już tego! — zawołał grzmiąco pan domu. — Nudzić mnie już zaczyna cała ta szlachta i procesa z nią.... Przyjdź kiedy Błaźnicki z odnośnymi papierami, dokumentami do mojej kancelaryi, to ostatecznie postanowimy co mamy zrobić....

Przerwał nagle; przy stole zapanowała chwilowa cisza; nikt nie próbował przerwać jej pierwszy, żaden bowiem ze współbiesiadników nie mógł odgadnąć: co zrobi na amfitrionie miłe wrażenie, co go potrafi rozweselić?

Kłopotliwe i dość długo trwające milczenie przerwał sam pan Aleksander:

— Coż tam słyhać Knaipphofie — rzekł zwracając się do barona — z projektowaną wycieczką do ruin klasztoru w Zalużu?... Czy nazbierali choć trochę niewieściego narodu?

— Oporem idzie — odparł zapytany — głupie szlachcianki łączy mi jakieś stroją; są wprost impertynenckie.... Ta tyczkowata

Złośnicka wręcz mi w oczy powiedziała, że jej córki nie nadają się do tak pańskich rozrywek.... Rozumiesz.... pańskich rozrywek.... A szkoda, trzy pannimenty jak łanie.... mógłby nasz artysta mieć z nich modele, gdyby chciały pozować.... Najmłodsza choć do miłośkiej para.

— No a jasnie wielmożna imci pani Mekecińska? — pytał dalej szyderskim głosem Aleksander.

— Byłem tam przedwczoraj; baba rozpływała się w grzecznościach, prawiała komplimenty, ale koniec końców powiedziała: że jej aniołki mają za delikatne płuca, aby je można było narażać na wycieczkę do wilgotnych ruin.... Z mężatkami nie lepiej, każda się wymówiła, jedna tylko Polankowska przyjedzie, no, ale ta jeździ i bez wycieczki.

— Dobrze, że choć ta będzie, urządzimy jej taką owacyę, że mówić będą o tem aż w trzeciej gubernii... Lubię tę Zofię, odważna babina i nie sobie z głupich plotek nie robi.

— Nie będzie ona jedna — mówił dalej baron — zaprosiłem dla niej cały, liczny dwór; wszystkie panny i mężatki z dwóch

okolicznych fabryk cukrowych i z miasteczka obiecały przybyć na wycieczkę.... Będzie bal nie lada!

— Knaipphofie jesteś genialny! — zawołał, wybuchając szalonym śmiechem Aleksander. — Ha! ha! ha! Cudowna myśl! Dwadzieścia pięć dam.... Zobaczą głupie szlachecianki, że się obejść bez nich możemy.... Mateuszu! Podać zaraz szampańskiego wina, ponalewać do szklanek, niech wzniosą zdrowie nieocenionego mego przyjaciela barona Knaippa z Knaipphofu.... No spiesz się stary!

Wkrótce strzeliły korki, z lekka zarmieniony perlący się napój zakipiał w szklankach; humory podniosły się do najwyższego stopnia podniecenia.... Błaźnicki wkrótce rozpoczął drugą edycję kozaka; poeta deklamował poszarpaną dumę na cześć woynowskiego emira, artysta malarz kreślił łyżeczką od musztardy po białym obrusie projekt swego arcydzieła, które go wyniesie ponad wszystkich polskich malarzy; a inżynier popijał zwolna szampańskie wino, wpadł prztem w jakieś dziwne, na wpół senne na wpół melancholijne rozmarzenie i szeptał z cicha:

— Miliony! miliony!

Pan zamku z szalonej wesołości przechodził z wolna w stan jakiejś smutnej zadumy; głowę podparł na obu łokciach i bezwiednie, półgłosem powtarzał słowa hulackiej piosnki, którą spiewał zupełnie już pijany Błażnicki. Wreszcie i temu tchu w płucach zabrakło, zatoczył się i upadł jak martwy w kącie sali.

— Balet! Balet! — zawołał nagle pan Aleksander. — Zawołać zaraz Zawieruchę, niech gra na teorbanie, dziewczęta niech tańczą!

W mgnieniu oka, jakby oczekiwał rozkazu, zjawił się w sali stary kozak z teorbanem w ręku i wnet zabrzęczały dziwnie tęskne tony tego prastarego instrumentu; sześć dziewcząt, ładnych, zalotnych i zuchwałych, zaczęły w takt muzyki wykonywać jakiś oryginalny taniec, to podrygiwały powolnie, rytmicznie, to znowu wpadały w szalony jakiś mistyczny prawie i rzucały się konwulsyjnie niby bajadery indyjskie, lub tancerki misteryów eleuzyjskich...

Muzyka i taniec oszołomiły do reszty podochoconych już i tak należycie biesiadni-

ków; wkrótce i panowie wmięszali się pomiędzy tancerki i ruszali się w takt muzyki; szklanki z perlistym napojem przeniosły się do rąk tancerek. — Rozpoczęła się orgia na dobre.

W pół godziny później pan zamku, trzymając w objęciu najpiękniejszą z tancerek, znikł w drzwiach leżącego tuż obok sali jadalnej — sypialnego pokoju. Inni poszli za jego przykładem.

W zamku woydałowskim zapanowała cisza nocy.

IV.

W samym centrum dóbr Woydałowskich stała karczma „na taborzysku“.

Ktokolwiek udawał się ze wsi lub osad szlacheckich, do klucza woydałowskiego należących, czy to do zamku, czy do miasteczka, musiał przechodzić obok gościnnie rozwartej bramy „austeryi“. Na karczmie tej siedział od niepamiętnych czasów żydowski ród Wucherbildów; brali oni karczmę tę niby w spadku, syn po ojcu, a zazwyczaj najmłodszy z rodzeństwa zostawał przy tej aren-dzie. Obecnie rezydował tam Jojna Wucherbild, żyd stary już, bogaty i na pozór pełen biblijnej powagi.

Jojna był filozofem; w całym tego słowa znaczeniu — żydowskim filozofem. Nigdy mu się noga nie potknęła, w najtrudniejszych okolicznościach umiał się wykreśćić bez szkody, lawirował tak, że zawsze i dwór i rząd, na-

wet chłopci i szlachta czynszowa byli zeń kontenci i mieli go za swego najlepszego przyjaciela. Z filozofią tą Jojnie było bardzo dobrze i liczna jego rodzina rozsnuwszy się po całej okolicy wzbogacała się coraz bardziej, on sam należał do najmajątniejszych żydów w całym powiecie; a choć mówiono że miał udziały w kilku znacznych interesach dzierżawnych, mimo tego taborzyskiej austeryi nie porzucał; sam wódkę chłopom nalewał, i nie rzadko od podochoconych szturehańców nabrał.... Opłacało się to jednak; w żadnej karczmie takiego tłumu pijących nie bywało; a gdy się trafił dobry jarmaczny dzień, to do kasy szynkowej chowała Rifka Jojnowa nie rzadko i całą setkę rublówek.

Rozgoryczony obejściem się teścia i żony Ambroży Pinkasiewicz poszedł do lasu, nie długo tam jednak popasał, bo już o południu znalazł się w szynkowej izbie u Wucherbilda.

Gdy wchodził, powitały go radośnie dwa głosy i dwaj ludzie powstali na jego przyjęcie.

— Dobrze, że cię nareszcie przyniosło!
— zawołał pierwszy, sążnisty chłop, o niedźwiedzich barach i żelaznych ramionach,

w stary wojskowy szynel, mimo upału odzia-
ny; oberwana wojskowa czapka bez daszka
tkwiła zaledwie na czubie olbrzymiej głowy....
Był to Teofil Szaruga, szlachcic woynałowski
odstawny żołnierz preobrażeńkiego pułku.

Drugi lokator szynkowej izby szeptał
cicho i jakoś dziwnie ostrożnie, oglądał się
w koło siebie; używał złamanego ruskiego
języka, a do przybyłego wyciągnął rękę na
powitanie, tak jak to zwykli robić panowie
pomiedzy sobą.

— Jak się macie Iwanie Timofiejewi-
czu! — rzekł Ambroży chwytając podaną
sobie dłoń dziwnego człowieka. — Czy sły-
chać co nowego?

— Psst! cicho! — odparł przygarbio-
ny mały człeczyna i swe dziwnie pokręcone
palece przyłożył do bladych szerokich i wstrę-
tnych ust; w małych zielonych oczach za-
migotały niezwykle jakieś płomienie....

Ambroży rozkaz ten zrozumiał, zamilkł
i poszedł za obydwoima tymi ludźmi do al-
kierza, który znajdował się tuż po za izbą
szynkową. W alkierzu usiedli na brudnej,
obszarpanej sofie, przygniatając swym cięża-

rem wydobywające się z poza podartego płótna pokrzywione sprężyny.

— Żydzie wódki! — zawołał po rusku Ambroży.

Na to hasło wsunął się do alkierza małegoletni wnuk Jojny — Abramko i postawił na zabrudzonym stoliku dużą, kwartową flaszkę wódki i miskę pełną świeżo ukwaszonych ogórków i nie mówiąc ani słowa, zniknął za drzwiami.

Iwan Timofiejewicz wstał ostrożnie z sofy i nie mówiąc ani słowa obszukał cały alkierz, później przekonawszy się, że nikogo tu nie ma, podszedł do drzwi i przymknąwszy je cicho powrócił do swych towarzyszy.

— Kiepska sprawa! — szepnął nachylając się do Ambrożego. — Psi syn sprawę w senacie wygrał... Pieniędzmi znać forsuje.... Kiepska sprawa!

— Cóż? Wyrzucić nas będzie? — wybuchnął gwałtownie Ambroży.

— Nie! Gorzej jeszcze!... Wyrok senacki rozporządza, żeby czynszowników pozostawić na ich osadach, daje mu jednak prawo brać z was po dziesięć rubli za dziesięcinę.

— Płacić nie będziemy, niech spróbuje wyrzucić! — mruknął ponuro Ambroży.

— Koguta czerwonego mu puścimy! — dorzucił olbrzym w żołnierskiej czapce, wychylając pełną czarkę cuchnącej wódki.

— Milcz Szaruga! — przerwał mu rozkazującym tonem mały połamany człowieczek. — Głowę masz ogromną a rozumu w niej i za małe dziecko nie ma.... Czy ty nie wiesz, że nawet za samą groźbę podpalenia sądzą na zsyłkę w Sybir.... Żle ci tu siedzieć?

— Cóż, może dobrze! — odparł przekornie olbrzym. — Ty Kociurbów obiecujesz nam złote góry, ostatni grosz z nas ciagniesz a później donosisz, że każą nam płacić po dziesięć rubli za dziesięcinę.... Dziesięć rubli!... To jest równo cztery razy tyle co było dawniej za chorążyny.... Czart by was pobił!

— Czart by was pobił! — jak echo powtórzył Ambroży.

— Głupcy jesteście, głupcy! — zawołał szyderczo Kociurbów. — Teraz właśnie najlepsza pora przychodzi, teraz nasza wygrana.

— Ta jak? Nowe oszukaństwo, nowa składka — rzekł na to, pesymizmem przejęty dziś, Szaruga.

— Słuchajcie tylko uważnie — mówił, nie zważając na słowa Szarugi, mały człowieczek, a mówił powoli i bardzo poważnie, kładąc na każde słowo nienaturalny akcent: — Posłałem Antka Burdysza, Wojtka Spuchalskiego i Kośka Zborowicza po wszystkich osadach i kazałem się zejść szlachcie tu na *schod*,¹⁾ nim ciemno się zrobi, będzie tu w karczmie tej waszej szlachty ze sto sztuk.... Cała rzecz, żeby umieć z nimi pogadać.

— Gadaj z nimi sam! — mruczał niechętnie Szaruga. — Gdyby rozum mieli, to boków by ci natłukli i do zamku poszli jałmużny zebrać.

— Wolałbym surową ziemię gryść, niż tego poganina o zmiłowanie prosić! — zakrzyczał Pinkasiewicz.

— Masz rację! — odpowiedział, przykładając Kociurbów. — Cała rzecz na tem polega, żeby żaden czynszu nie zaniósł, rozpocznać nowy proces, zechcą z sadyb was

¹⁾ Zebranie.

wyrzucać, wtenczas pójdziemy z „żałobą“ do samego cesarza. ojca najlepszego...

Zapanowało w alkierzu chwilowe milczenie; dwaj szlachcice: Pinkasiewicz i Szaruga, zamyśliwszy się, podparli głowę dłońmi; mały, przebiegły adwokat wzrokiem badał, co się w ich duszach dzieje... Po chwili powolnym, cichym głosem zaczął znowu mówić:

— Wy ludzie ciemni! Nie wiecie, co się w świecie dzieje... Panowie byli zatumanili naszych monarchów... Panowie i popi koło nich się kręcili i na swój ład wszystko robili... Ale nasz ojciec miłościwy, cesarz najjaśniejszy wie już teraz, jak trawa rośnie i spostrzegł od razu, że nie dobrze idzie, i zaczął się rozpytywać, dowiadywać, co panowie z narodem chrześcijańskim wyrabiają... Miał koło siebie *diadk'a*, co mu buty cesarskie czyścił, zaczął i jego rozpytywać; *diad'ko* mądry, a z małego bity, nie chciał zrazu gadać, ale potem, jak go cesarz zaczął prosić — wszystko rozpowiedział... Ot i dzieło całe... Teraz już monarcha wie, i przez tego starego dał znać pomiędzy chłopów i drobną szlachtę, żeby się jeszcze trzymali,

a on wkrótce „słuszny czas“ sprowadzi i panom ziemię odbierze, a ludziom pracowitym darmo rozda.

— A czemuż każe po dziesięć rubli czynszu płacić? — pytał uparcie niewierny Szaruga.

— Nie on to, a panowie, co w senacie siedzą!... Zobaczycie, że słowa cesarskie nie plewa, że „słuszny czas“ wkrótce nadejdzie.

— Zobaczycie go, jak swoje ucho!

— Nadejdzie! Nadejdzie! — zawołał milczący dotychczas głucho Ambroży. — Wszędzie, gdzie tylko ze swoim grenadyerskim pułkiem był, a włóczyłem się po całej imperyi, i po chrześcijańskich i po czerkieskich, i po tatarskich i innych pogańskich ziemiach — to wszędzie naród pracowity niby na Mesyasa jakiegoś nowego, czeka na sprawiedliwość carską, imperatorską, na słuszny czas.

— A widzisz, że moja prawda! — przeważał tryumfująco Kociurbów -- carska wola spełnić się musi.

— Spełni się! spełni — prawil zapalając się coraz mocniej Ambroży. — Wi-

działem chłopów w moskiewskiej gubernii, którzy wykupów płacić nie chcieli, nadzieją swoje poporzucali, ziemi się swojej rodzonej wyrzekli, i teraz po fabrykach gwoździe kuja, ale nadziei nie tracą i dzieciom swoim szepeczą, że nadejdzie taka doba, w której wszystką ziemię pańską chłopom za darmo rozdadzą, i podatków żadnych, ani powinności, ani wykupów już nie będzie, bo cesarz sam ze swej *kazny*¹⁾ za naród pracowity zapłaci.

— Słuchaj Ambroży, ty najrozumniejszy człowiek w tym powiecie — szepnął adwokat przybierając słodką minę i uśmiechając się pochlebnie — gdy się ta wasza głupia szlachta tu zejdzie, rozpoviesz ty im to wszystko.... Jak ty ślicznie gadasz, żaden ksiądz, żaden adwokat tak gadać nie potrafi.... Mnie samemu wodę za tobą nosić.... Ty masz wielki rozum, nie chłopem ci być.

Tożem i nie chłop przecież, a Pinkasiewicz, szlachcie z antenatów — odburknął gniewnie Ambroży i spojrzzał tak na Kociur-

¹⁾ *kazna* kasa państwowa.

bowa, że małego człowieka dreszcz przeszedł od stóp do głowy.

— No, tak jest — odparł drżącym głosem — tak jest, ty panie Ambroży jesteście szlachcic, równy każdemu panu, tylko to chciałem wam powiedzieć, że wam nie za pługiem by chodzić, nie hreczkę siewać, a między uczonym narodem siedzieć i słowa piękne im prawić.... Ot co chciałem powiedzieć! Nie gniewaj się panie Ambroży, złyj myśli nie miałem.

— Bóg tam z wami Iwanie Timofiejewiczu, obrażać się na was nie mogę, długoście ponoś w służbie po obcych miastach bywali to i zapomnieliście, jaka jest różnica pomiędzy chłopem, a szlachcicem.... A nasi panowie, żeby ich grom jasny pobił, starają się jak mogą, żeby ze szlachty chłopów porobić.

— Pinkasiewicz, nie wierz jemu! — szepnął, śmiejąc się idyotycznie — na wpół już pijany Szaruga. — Nie wierz jemu, ty nierozumny — a głupi! Głupi!

— Dla czego? — zapytał gniewnie Ambroży i zaciśnięte pięście wyciągnął ku mówiącemu.

— Dla tego, że sam niewiesz, co mówisz!... Jeżeli cesarz rozda ziemię darmo tak szlachcie, jak i chłopom, to znaczy, że chłop będzie taki sam przed nim, jak i szlachcie.... Teraz rozumiesz?... Na licho się wszystko zdało!... Ot lepiej prośmy cesarza, jeżeli już jego łaska na nas ma spaść, niech nam odda całą ziemię.... a tak.... całą ziemię, a w dodatku panów i chłopów w poddaństwo.... Tak!... Chama pod szlachecki bat.... Tak! tak!...

— Szelma, powietrzem się spił! — szepnął niechętnie adwokat, wskazując na Szarugę. — On tak zawsze, ręce mocne, a głowa pół grosza nie warta.... W hajdamaki go tylko puszczaj, rzezać i palić potrafi, ale kalkulować za nic....

W tej chwili dało się słyszeć kilka silnych uderzeń pięścią w drzwi alkierza.

— Kto tam? — zapytał Ambroży.

— Swoi — brzmiała odpowiedź.

— Którzy? — pytał już sam Kociurbów.

— Jan Neporożny....

— Józek Suchecki....

— Błażej Wymiot — recytowali stojący za drzwiami.

— No, puścić raz! — huknął niecierpliwie któryś stojący za drzwiami.

— Otwierajcie, bo nogą drzwi wybiję — dorzucił drugi.

Kociurbów z wolna wstał z poszarpanej kanapki, odsunął na bok podbitego Szarugę i podszedłszy pod drzwi, rygel odsunął. Od razu zrobiło się w izbie tłumno, więcej niż dziesięciu szlachciców wtargnęło do małego alkierza, rozprawiając i kłócąc się pomiędzy sobą.

— Po nowinyśmy przyszli panie adwokat — zwrócił się do Kociurbowa słuszny, a jak tyka cienki Józek Suchecki. — Jak nasze dzieło z jasnie dziedzicem stoi? He! co?

— Jaki on ci tam jasny, ot psi syn po prostu! — wtrącił gwałtownie Pinkasiewicz. — Dalibyście raz pokój z temi jasnościami, wielmożnościami.... Jak mu tak gadacie, to on naprawdę sobie myśli, że lepszy, niż zwykły człowiek.... Gadać o nim po prostu — Woydałowski i koniec.

— Durny ty! przerwał mu gwałtownie pan Józek, a do jego długiej i dziwnie wąskiej twarzy napłynęły potężne strumienie

krwi i zabarwiły ją na cegląstą prawie barwę. — Durny ty! — powtórzył z naciskiem. — Kto ty zacz jesteś? Co za osoba, żebyś rady nam tu dawał! Przyjął cię Żurkowski do dziewczki i grantu, to siedź cicho i nie rypaj się, do konsylium się nie nastawiaj, bo nie twoja rzecz.... Pan Jan sam jeszcze żyją, jakby chcieli, to samiby przyszli i swoje myślenie by nam tu wygadali.... Starszych słuchać, rozumiesz!

Ambroży, odpowiedział coś groźnie, lecz wnet zagłuszono go, w kąt izby odepchnięto — mówiąc językiem parlamentarnym — zgromadzenie przeszło nad jego wnioskiem i nad jego osobą, do porządku dziennego.

— No, panie hadwokat, jak nasze dzieło z jaśnie wielmożnym dziedzicem stoi? — zapytał powtórnie pan Józko, stojąc przed małym człowieczkiem i opierając mu silnie rękę na ramieniu.

— Źle! — brzmiała odpowiedź.

— Źle! — szepnął olbrzymi Suchecki, a zanim z echem powtórzyło kilkudziesięciu szlacheiców, dłoń olbrzyma usunęła się przetem z ramienia karła, z czego korzystając mały człowieczek, usunął się na stronę i wnet

przez sofę dostał się na stolik, z kąd zaczął głośno perorować.

— Żle! źle nasza sprawa poszła, bo wasz dziedzie pieniędzy ma dużo, i do senatu trafił.... Wyrok każe wam po dziesięć rubli z dziesięciny czynszu płacić.... Ja wasz prawny doradzca nie mogę wam radzić co macie robić.... Nie mogę!.... Ale głupi by ten był, który by taki czynsz płacił.

— Zleż ze stołu pokrako....

— Ty za nas będziesz może płacił....

— Grosz krwawy darł szelma, a darł....

po próżnicy....

Odezwały się groźne głosy w około mowcy; nie przestraszyło go to jednak, znać do podobnych położeń w życiu nawykł dostatecznie.

— Panowie! uciszcie się — wołał Kociurbów ostrym i dziwnie drapiącym dyszkantem. — Panowie! jedyny ratunek dla was, czynszu zupełnie nie płacić.... Nie płacić!

— Nie płacić! — powtórzył jak echo, z każdą chwilą rosnący tłum szlachty w alkierzu.

— Nie płacić! — rozległy się wołania w sąsiedniej izbie szynkowej.

— Nie płacić! — huczeli na pół już pijani chłopacy szlacheccy, stojący w zbitej kupie pod oknami karezmy.

Na pokrzywionej, ospą oszpeconej twarzy pokątnego doradcy błysnął wyraz tryumfu, zlewający się z dziwnie ironicznym i lekceważącym uśmiechem.

— Nie będziecie płacić, to zechcą was wyrzucać! — prawil mały czlowieczek dalej. — Wtenczas z *żałobą* do samego cesarza pójdziemy... Spytajcie Ambrożego Pinkasiewicza: jak się cesarz miłościwy na tę sprawę patrzy?... Spytajcie! On przecież wie, bo sześć lat przy cesarskim boku, w grenadyerach wysłużył.

— Głupiec! — zawołało kilku starszych.

— Niech Pinkasiewicz gada! Puścić Pinkasiewicza! — krzyczała znaczna większość.

Za chwilę Ambroży, stanąwszy na sofie, zrównał się zupełnie ze stojącym na stole „prawnikiem“.

— Mów, panie Ambroży szczerą prawdę! Coś gdzie słyszał to rozpowiedz naro-

dowi twojemu — zachęcająco przemawiał Kociurbów.

— Wszystko powiem! Co do słowa powiem! — wołał Ambroży i z wielkiego zapalu bił się w piersi niby w kościele.

— Mów! mów! — ryczał tłum.

Rozpoczęła się mowa. Ambroży opowiadał teraz przed całym tłumem mniej więcej to samo, co mówił niedawno pokątnemu doradcy i Szarudze; zapalał się tylko bardziej i głos tak podnosił, że słyhać go było daleko po za murami karczmy; potęgą swego organu głuszył gwar panujący pomiędzy co raz to liczniejszymi słuchaczami; wymową własną, brzmieniem swego głosu upajał się — tracił wątek przedmiotu, plątał się w wodzeniach.

— Patrzcie na mnie! — krzyczał pieńjąc się — z gruntu rodzonego, z ojeowizny mnie wygnali; na nędzę na włóczęgę skazali.... Kto?... Panowie! Tacy sami, jak nasz dzidzie, pogański syn.

— Co nam z tego — odpowiadali mu bliżej stojący — ty nam mów: jak zaradzić naszej nędzy?

— Czynszu nie płacić! — grzmiał Ambroży — Niech sprobują nas wyrzucić! Niech sprobują stopięćdziesiąt familii bez dachu zostawić! *Prawicielstwo* *) się samo ujmie; senat nam pomoc przysze; gubernator sam przyjedzie i bronić nas będzie.... Posłuchajcie pana Kociurbowa: Co on o tym cesarskim *diad'ku*, co to monarsze buty czyścił, opowiada:

— Waryat! Waryat!

— Pijany jak bydle!

— A zleż no pijaku z tej ambony, ludziom mózgów nie przewracaj! — zawołali równocześnie starsi i mądrzejsi. Większość jednak wrzeszczała zajadle:

— Dajcie mu pokój! Niech mówi, co słyszał, co widział?... Cóż ten *diad'ko* rozpowiadał?

— To co i ja wam mówię! — perorował jeszcze namiętniej zięć Żurkowskiego. — Mówił, że o całej niedoli roboczego narodu monarsze sam doniósł, że cesarz przyobiecał na ewangelią świętą ziemię panom odjąć a pomiędzy chleborobów darmo rozdać.... Mó-

*) Rząd.

Polubowna ugoda.

wił, że podatków nijakich już nie będzie, ni rekruta wybierać nikt się nie poważy, ni popy narodu drzeć nie będą mieli prawa....

I w ten sposób brnął coraz dalej, wkładając w usta owego mitycznego „diadka“ wszystkie socyalne i komunistyczne mrzonki, które wśród włóczęgi po szerokich obszarach całego cesarstwa był pochwycił. Wpadł w stan strasznego, zwierzęcego rozbestwienia; piana z ust mu płynęła; oczy dzikim ogniem płonęły; a rękoma rwał bezwiednie koszulę na piersi i własne swe ciało paznociami kaleczył, a szarpał.

— Od diabła opętany! Ściągnijcie go z tej ławy niech Pana Boga nie obraża! — wołali starsi, siwowłosi gospodarze i cisnęli się przemocą ku mowcy, aby go gwałtem do milczenia zmusić. W alkierzu i całej izbie szynkowej panował hałas nie do opisania, tak, że Ambroży nie mógł dostrzedz przybycia dwóch nowych słuchaczy, którzy od pewnego czasu, zaciśnięci w tłum, stali w drzwiach, pomiędzy izbą szynkową a alkierzem.

Ludzie, stojący obok owych dwóch nowo przybyłych mężczyzn, spuszczały z zakło-

potaniem oczu w ziemię, i sykali zawzięcie, chcąc zagłuszyć słowa Ambrożego.

Nowi goście w karczmie „na taborzysku“ byli: stary Jan Żurkowski i jakiś młody człowiek, który mimo codziennego i bardzo skromnego ubrania, wyglądał zupełnie na „pana“.

Stary Jan, z pięć minut słuchał cierpliwie słów zięcia; czoło mu się tylko marszczyło posępnie, a w oczach migały błyski gniewu, niepochwytne a smętne, niby ogniki błędne; wreszcie usta kureczowo drgać mu zaczęły, rękoma usunął na stronę najbliższej stojących, i szedł do mowcy, wołając:

— Rozstąpcie się!... Zróbcie miejsce dla starego Jana Żurkowskiego!... Zróbcie miejsce dla jaśnie wielmożnego pana Kazimierza Odrowąża.

Ambroży teścia nie widział, upojony mówił dalej. Z tłumu jednak, ozwały się głosy.

— Nie potrzeba nam tu jaśnie wielmożnych!... Precz z panami i ich *posipakami!*... Za drzwi!

Na dźwięk tych słów stary Jan rzucił się naprzód jak ranny odyniec; ludzie roz-

skoczyli się i ścisnęli tak, że aż żebra zatrzeszczały — przed Żurkowskim otworzyło się wolne przejście aż do sofy. W jednym mgnieniu oka znalazł się obok zięcia, schwytał go za kołnierz i niby dziecko kilkoletnie podniósłszy w górę, z całą siłą rzucił o ziem na kolana.

— Gadzino przekłeta! — zawołał stary w gniewie okrutnym. — Z nędzy, z żebractwa cię wziąłem, a ty mnie swoimi łajdakiemi praktykami chcesz do grobu zapędzić!

— Stary! puść go.... Nie masz prawa znęcać się nad nim! — szepnęło kilku odważniejszych.

— Bydło! — wrzasnął takim głosem Jan, że w karczmie się zrobiła głucha cisza. — Słuchajcie co wam powiem! Dwie godziny temu dali mi znać, że ten szubiennik, ten złodziej i katorżnik Kociurbow, wraz z moim zięciem zwołali ten *schod* tu do karczmy.... Wiedziałem, co tu się będzie gadać, bo obu przecież znam.... Ja stary, sam siadłem na szkapę i parłem, co koń wyrwać może, do Głuchowa, do pana Kazimierza....

— Panów tu nam nie trzeba! — odezwało się znowu kilka głosów, ale cicho już jakoś i trwożliwie.

— Milczeć! — huknął znowu Jan i uciszyło się powtórnie. — Prosiłem pana Kazimierza, żeby ze mną tu jechał.... Przyjechał. Z nim pomówcie; najbliższy on krwią naszemu dziedzicowi, brat cioteczny....

Gdy stary Jan to mówił, z po za jego rozrosłej postaci ukazał się młody człowiek; lekko i zgrabnie wyskoczył na miejsce opuszczone przed chwilą przez Ambrożego i stanął tam, milezący, dumny i odważny. Postać ta mogła imponować tłumom; nosił on na sobie wyraźne piętno polskiego szlachcica, okrągła głowa opierała się na szerokich, rozrosłych ramionach, ogorzałą twarz zdobiły bujne płowe wąsy, takąż sama gęsta, krótko przystrzyżona czupryna unosiła się nad białem, wysokiem czołem; po obu stronach dość dużego, orlego nosa świeciła para oczu, siwych, szeroko rozwartych i dziwnie mądrze przed siebie patrzących.

Gdy Jan skończył mówić zapytał pan Odrowąż chwiejnym, melodyjnym głosem:

— Powiedźcie mi dobrzy ludzie: dla czegoście się tu tak tłumnie zebrali?

Nikt pierwszy nie przerwał milczenia; tylko po karczmie zabrzmiał szept jakiś cichy, niby roju pszczoł brzęczenie, z którego do uszu Odrowąża dolatywało jedno tylko wyraźne słowo:

— Krzywda!...

Słowo to, z każdą chwilą potężniało i stawało się podobne do jęku zamieci śnieżnej, do wycia huraganu nieokiełzanego.

— Krzywda!... krzywda!... krzywda!

Rozlegało się to słowo w około; wydobywało się głuchą skargą z pod strupieszających desek podłogi; unosiło się w powietrzu pod pułapem; dzwoniło w szyby małych okienek.

— Niech jeden mówi! — rzekł spokojnie, lecz rozkazująco pan Kazimierz.

W tłumie zapanowały szepty, które ustały po kilku chwilach, a naprzód wysunął się stary siwowłosy szlachcic.

Walenty Zborowicz niech mówi! Walenty!... Stary Zborowicz! — zakrzyczało kilkanaście głosów razem.

— Cicho! — przemówił znowu stary Jan. — Niechże Zborowicz mówi, wszak jego to wnuk dał mi znać dziś o tem zbiegowisku.

— W czem wam mogę być pomocny? — zapytał pan Kazimierz nachylając się do ucha siedmdziesięcioletniego Walentego.

— We wszystkim jaśnie wielmożny panie! — szepnął staruszek, przytłumionym, smutnym głosem.

— Mówcie! — zachęcał młody pan.

— Trudno razem to skalkulować. Straszna nam się krzywda dzieje.... Co to gadać! za dawnych panów to naszą szlachtę niby za dzieci rodzone w zamku uważano; naród się rozpuścił przez to, do dobrego, do najlepszego przywykł.... A teraz co? Z chłopstwem nas zmieszano, do służby dworskiej przystępu nie dają.... Czysze jeszcze — jak słyszę — popodnoszą.

— Nie dwór przecież czysze podnosi, samiście ponoś aż do senatu z procesem szli, senacki wyrok z waszej własnej winy macie, — wtrącił pan Kazimierz.

— Kto tam do senatu szedł! — mówił monotownie stary Walenty. — Pustota

jakaś na naród naszą.... Ten dyabeł wielo-
ny, ten Kociurba się zjawił; ludzi pobała-
mucił; na prośbie do sądu popodpisywał kogo
sam chciał; z nas ostatni grosz darł.... osta-
tnią krwawicę, i straszył jeszcze egzekucyą
tych, który dawać nie chcieli.... Łotr!... Szu-
bienicznik!

Stary przerwał, bo mu w wyschniętej
piersi głosu zabrakło. Po chwili dopiero zno-
wu przemówił drżącym, złamanym głosem,
prawie przez łzy:

— Do ciebie się z prośbą naszą uda-
jem jaśnie wielmożny paniczu.... Do ciebie,
w którym krew naszych dawnych panów pły-
nie.... Nie daj nam zrobić krzywdy! Uproś
u swego brata, nich sfolguje swą ciężką rękę,
a będzie miał w nas takich samych wiernych
sług, jak miewali jego ojcowie.

— Nie daj nam zrobić krzywdy! Wstaw
się za nami! — ozwało się z po za pleców
Walentego kilkadziesiąt pokornych, proszą-
cych głosów.

— Co będę mógł to zrobię! — odpo-
wiedział Kazimierz, drżąc ze wzruszenia.

— Nie prosicie go! Nie poniewierajcie się darmo! Z wilczego i on rodu! — ozwał się gdzieś z tłumu pijany głos Szarugi.

— Za drzwi z tym pijakiem! — zakomenderował donośnie stary Jan i za chwilę na wpół martwego Szarugę wytransportowano za bramę karczmy.

Gdy uciszyło się, znowu pan Kazimierz mówił dalej:

— Spróbować spróbuję; z panem Aleksandrem pomówię; prosić go będę, ale dajcie mi słowo, że dokąd wam rezolucyi nie dam, to cicho siedzieć będziecie i żadnych buntów nie będzie. O ile wiem, wiadomość o senackim wyroku jest zupełnie prywatna, nim urzędownie tu dojdzie, minie tymczasem kilka miesięcy, przez ten czas można wszystko polubownie zakończyć.

— Ratuj nas! Ratuj nas, sługi dawne domu tego pańskiego! — wołał Walenty, wołał za nim stary Jan, wołał tłum cały.

— Ojcum waszemu służył wiernie! — zawołał któryś ze szlachty.

— Was samych panie pierwszy raz na konia sadzałem — dodawał drugi.

— Z nieboszczykiem rodzicem waszym byłem razem na wojnie ostatniej — szeptał cicho trzeci.

I cisnęli się wszyscy do młodego człowieka, całując go w ręce, w ramiona, obejmując jego kolana. Tłum wpadł z jednej ostateczności w drugą; pierwaj był rozdrażniony, wrogo dla całej rodziny dziedzica usposobiony — teraz dał się unieść rozczuleniu, dał opanować wspomnieniom dawnych czasów; porwano Kazimierza na barki, obnoszono go w koło izby szynkowej niby tryumfatora jakiego.

Kociurbow i Ambroży znikli gdzieś bez śladu; Szaruga bez pamięci leżał w rowie obok traktu i wołał nieprzytomnie:

— Koguta mu czerwonego puścić! Koguta!

Kazimierz oswobodziwszy się ze szlacheckich uścisków, dopadł starego Jana i wymknąwszy się z nim razem do stajni, dosiadł konia i wyjechał na trakt; za nim zdążył stary Jan siedzący na wybornym mierzynie, którego mu osiodłano w głuchowskiej stajni, na miejsce zgonionej jego własnej klaczy.

— Bóg wam zapłać panie! — szepnął dopędzając Odrowąża — żeby nie pan, to już gotowi byli rebelią robić.... Oto naród!... Boże, mój Boże, jak ich trudno zażyć, oddechu w piersiach nie czuję, w oczach mi się émi, tuman mi jakiś świat boży zastępuje.... To tak ze zmęczenia na stare lata; ze zgryzoty srogiej, z choroby dawnej....

Pan Kazimierz jechał obok stępo, lecz nie nie odpowiadał na słowa starca, czoło zasępił i wdychał tylko głośno i hamował ognistego konia, który rwał się całą siłą do domu.

— Jak jaśnie pan myśli? Czy da się co z naszym zrobić? — rzucił Jan stanoweze pytanie.

— Bóg to raczy wiedzieć! — odpowiedział smutnie Kazimierz. — W ostatnich czasach rozeszliśmy się między sobą daleko.... On mnie, ja jego już nie rozumiemy!... Hultajstwa jakiegoś nazbierał w koło siebie, że aż do zamku przyjechać nie miło.

— Święta prawda jaśnie panie! Ale coż robić, pomówić z nim pan musi!

— Spróbuję! — szepnął, jakby do siebie Odrowąż i znowu zapadł w ponure milczenie.

Jechali tuż obok; tętent kopyt końskich rozlegał się daleko w ciszy gorącego, letniego wieczoru.... Jechali mileząco lecz w duszach tych ludzi pokrewne myśli się krzewiły i kojarzyły się z dziwnie serdecznymi, smętnymi wspomnieniami:

Jan widział przed sobą młodość swą kipiącą, panów swych dawnych, nieżyjących już towarzyszy broni; przypominał sobie jadącego tuż obok Kazimierza, dziś już męża dojrzałego i statecznego — gdy był jeszcze małym, bezsilnym chłopakiem; tamten także widniał mu w pamięci, tamten — syn bohaterskiego ojca — dzisiejszy dziedzic wołałowski dób.

I przed duszą młodego Odrowąża zjawiały się dziś te same wspomnienia.... i on ujrzał zbiedzoną, zakrwawioną, skatowaną postać uciekającego z niewoli żołnierza, który pierwszą przyniósł wieść.... o rozgromie, o klęsce zupełnej.

Wspomnienia te roztkliwiały z wolna hartowne serca obu tych ludzi; westchnęli

równocześnie — zrozumieli się nawzajem w gnieniu oka.

— Gdzie te czasy? — szepnął stary Jan, i otarł srebrną łzę rękawem.

— Wrócić mogą! — odrzekł pan Kazimierz, i zerwał konia wędzidłem, że aż przysiadł na tylne nogi; znać go coś w sercu zabolalo, bo rumiane jego oblicze pobladło nagle.

Jan raptem konia zatrzymał: dojechali byli właśnie do rozstajnych dróg: obok nadszczerbionych resztek ciosowej figury św. Jana zawracała na prawo szeroka sadzona droga do Głuchowa, trakt szedł wprost przed siebie przez ów szeroki jar do woydałowskiego zamku; na lewo widniała, pomiędzy wysokimi zbożami drożyna do Janowej osady.

— Nogi jaśnie pana całuję! — rzekł stary rozrzewnionym głosem, pochylając się w rzeczy samej w stronę Kazimierza. — Łasce pańskiej nas wszystkich polecam.... Zróbcie, co możecie, żeby nienawiść między krwią pokrewną zagładzić.

— Przyjedź stary jeszcze jutro do Głuchowa, weź z sobą kilku starszych, którzy posłuch mają; narodzić się jeszcze mu-

simy; ja całą sprawę pragnę rozpoznać od początku.

Zrobię wedle rozkazania! — rzekł Jan i ustami dotknął ramienia młodego pana. — A o kobyłce mojej niech tam jasnie pan raczy pamiętać.... Zbiedziła się okrutnie! Niech jej kozacy owsa dadzą!....

— Dadzą! dadzą! — zawołał weselszym głosem Odrowąż, i zebrawszy kasztana krótko, ruszył wyciągniętym kłusem w stronę, widniejącego w dali, głuchońskiego dworu.

Jan, zwiesiwszy głowę, pociągnął ku swej niedalekiej chacie.... Na progu powitała go córka niecierpliwem pytaniem:

— A co, ojcze?

— Żle!.... Pies jest wściekły! — odrzekł niechętnie starzec — i nie więcej już z sobą nie mówili.

Twarz Hanki powlokła się niezwykłą bladością, usta jej drżały, a w rękach nie utrzymać nie mogła.

V.

Pan Kazimierz Odrowąż, chociaż tak bliski krewny woynałowskiemu dziedzica, w niczem nie był do niego podobny.... W dwóch tych reprezentantach - starej rasy, od dzieciństwa zarysowały się dwa odmienne typy, dwa przeciwne bieguny. Odrowąż przez całą swoją pierwszą młodość, przepędzoną w murach szkolnych wśród tłumów różnorodnej młodzieży, tęsknił za cichem ogniskiem domowym, za życiem wieśniaczem, trudów i zawodów pełnem, lecz dającym słodkie upojenie w pracy i obcowaniu z naturą, uczuł się wreszcie zupełnie szczęśliwym, gdy po ukończeniu studyów zaczął gospodarować w matczynym posagowym Głuchowie.

Dziwny to był człowiek ten młody Odrowąż, dziwny i nie tegoczesny; gdy chodził krok w krok za parobkami, orzącymi czarną bujną glebę — to zdawało mu się,

że z ziemi wydobywają się wyziewy jakieś niezwykle, westchnienia żałośne, które dusza jego chłoneła, a umysł rozumiał doskonale, wyraźnie; albo, gdy zagnawszy się za zwierzyną, znalazł się w głuchym, zapadłym ostępie leśnym, to stawał częstokroć nagle, niespodziewanie i zapominał o łowach, o towarzyszach, o zwierzyńcu i wsłuchiwał się godzinami w szum liści, w melodyjne szmery, w symboliczną muzykę boru i znowu trafiła mu ona wprost do duszy, do serca, nie rzadko nawet łzę z męskiego oka wycisnąć umiała.... Kazimierz żył wyobraźnią; nieraz wśród dnia na jawie otaczały go w koło jakieś duchy dawno zmarłych ojców, rycerzy silnego ramienia, a nieustraszonego serca i dawały mu rady jakieś i przestrogi, uczyły męstwa i.... wytrwałości.

Kochająca go nad życie matka, zwykła była mawiać z westchnieniem smutnem, że jej syn jest poetą. Koledzy i rówieśnicy zwali go wprost — waryatem. W działalności jednak pana Kazimierza nie odbiły się ślady ani poezyi, ani obłądu; — był bardzo praktycznym gospodarzem, doskonałym admini-

stratorem, pilnym rolnikiem i chlebowawcą, dla swych sług dobrym i łaskawym.

Domu i roli pilnował; w koniach i bydłe się kochał, na imieniny znakomitości powiatowych i prowincjonalnych jeździł, nikomu okoniem nie stawał; — a mimo tego popularności między bracią szlachtą nie miał.

— Za grzecznie gada, niby drwi z człowieka — mawiał o nim poważny pan Dezydery, dawny wychowaniec czarno-ostrowskiej powiatowej szkoły.

— Chce ludziom swą głupią nauką imponować! — dodawał pan sędzia Dłutowski.

— Chłystek jakiś! on mnie będzie uczył, jak mam pola nawozić — grzmiał zirytowanym głosem pan Julian, patentowany, prowincjonalny agronom.

— Dureń! Z chłopami i szlachtą czynszową jest za panie bracie — konkludował hrabia Zygmunt. — Zobaczycie, że się w coś zapłacze.... Na milę od niego czuć dziegiem, socyalizmem i demagogią.

Cioteczny pana Kazimierza, dziedzic wyodałowski kochał go dawniej, za szkolnych czasów jak brata rodzonego, teraz także ochłódł dłań, i gdy o nim mówił to do słów

jego mieszała się ironia i sarkazm, w oczy jednak nie śmiał mu żadnych uwag robić, bał się przewagi moralnej kuzyna.

Najcięższych wrogów miał pan Kazimierz w satelitach Aleksandrowych, którzy zamek woydałowski obsiedli i młodego dziecka na manowce prowadzili; dla nich Odrowąż miał li sarkazm i nietajoną pogardę na ustach.... Rzadkim też teraz bywał gościem w zamku.

Gdy po wyprawie do karczmy „na taborzysku“ powracał do domu, to na ganku starego dworu, pomiędzy białymi kolumnami, oplecionymi bujnemi zwojami dzikiego wina ujrzał wyniosłą, siwowłosą postać niewieścią; — niespokojna o syna matka oczekiwała niecierpliwie jego powrotu.

— Cóż tam słyhać, mój drogi? — spytała pani Odrowążowa syna, zanim jeszcze zsiadł z konia.

— Źle, mateczko! — odpowiedział i zeskoczywszy lekko z siodła pobiegł na ganek, ucałować ręce matki.

Ona pochyliła się ku niemu i na jego białem czole złożyła przeciągły długi pocałunek, pełen macierzyńskiej, ślepej miłości.

— Cóż oni mówią? — pytała dalej, patrząc z rozrzewnieniem na młodego człowieka, który teraz usiadł już był, ciężko, bezwładnie na drewnianej, biało pokostowanej ławie.

— Cóż mówić mogą? — odparł z wyraźną niechęcią — Oleś to głupstwa jedne po drugich robi!... Najzyzliwszych ludzi zraził ku sobie, ku dworowi, ku nam wszystkim, zraził zupełnie.... Nieodzowne skutki jego postępowania, otoczenia się hultajami, zawali drogami, pozbieranymi z całego świata.

— Ale przecież!... Kto ma słuszość?... Czy Oleś, czy oni? — pytała pani dalej.

— W obec suchego, martwego prawa Oleś;... w obec historyi, tradycyi — oni.

— Dziecko, dziecko, czy ty się tylko nie unosisz zanadto wspaniałomyślnością?... Czy oni nie oszukują cię?...

— Nie! — odparł stanowczym głosem syn i oparłszy głowę na dłoni, zamyslił się głęboko, boleśnie. — Nie! — powtórzył po chwili, z większą jeszcze pewnością — to co robi Oleś jest błędem i zbrodnią historyczną.

— Kaziu! Mój drogi Kaziu! — podchwyciła z niepokojem matka — tylko ty się nie mieszaj do tej sprawy! Tylko ty nie daj się wciągnąć do tego!... I tak swą bezwzględnością narobiłeś sobie wrogów bez liku; teraz gotówes jeszcze zrazić sobie i Olesia na zawsze.... Proszę cię, moje dziecko nie wtrącaj się do tego zatargu.

— Mięsząc się nie myślę, ale co do mnie należy to zrobię.

— Na rany boskie, co zamýślasz zrobić? — zawołała porywczó pani Odrowążowa i zbliżywszy się do syna, wpatrywała się bacznie w jego zasmuconą, stroskaną twarz. — Choć matce powiedz; co zamierzasz uczynić? — dodała prosząco.

Kazimierz zmięsział się widocznie pod spojrzeniem matki, które aż do głębi duszy sięgało, bo wstał nagle i począł się przechadzać dużymi krokami, po obszernym, ocienionym ganku.

— Co zrobię? — mówił eicho, niby sam do siebie. — Zrobię co do mnie należy, co zrobić jestem obowiązany, co jest moim świętym.... najświętszym obowiązkiem.

— Ale, co, co?... Przyznaj się przed matką, poradź się mnie synu.

— Cóż mogę zrobić? — zawołał porywczco, stając przed matką wyprostowany i wyniosły; oczy mu w tej chwili dziwnie jasno zapłonęły, a ostatnie blaski słońca padające na tę nieregularną, lecz sympatyczną i rozumną twarz, zmieniły ją tak, że własna matka ze zdziwieniem na nią spojrzała; zapal niezwykły niby łuna jakaś świetlana biła od tego młodzieńczego oblicza. — Co mogę zrobić! Poradź mi matko!

Lecz pani Odrowążowa milezała, przejęta macierzyńskim uwielbieniem dla jedynego syna; czuła teraz dokładnie, że dziecko to jej, wyrosło już na niepospolitego człowieka i rad jej zgoła niepotrzebuje. Kazimierz znać odgadł treść myśli matczynych, bo wyraz czułości pojawił się w około jego ust, pochylił się do rąk matki i całując je, z rozrzewnieniem zawołał:

— Nie obawiaj się, najdroższa moja! Syn twój bezmyślnej, bezcelowej awantury już nie zrobi; minęły już dla mnie czasy śmiesznej donkiszoteryi; — pojedę tylko do Olesia i we cztery oczy, powiem mu serde-

cznie, że tak się nie robi, że byłoby to grzechem, byłoby to występkiem przeciw świętej pamięci jego ojca, który tych szlacheiców za braci uważał, usług ich potrzebował i z nich często korzystał. Grzechem przeciw...

W tej chwili stary, siwowłosy służący wyniósł na ganek mały stoliczek, a kredensowy chłopak niósł za nim nie wielki samowar i przybory herbaciane; rozmowa między matką a synem przerwała się w tej chwili.
.....

Nazajutrz, około dziesiątej godziny, sześciu najstarszych i najpoważniejszych szlacheiców zgłosiło się do głuchowskiego dworu.

Najwięcej i najdłużej mówili: Józko Suchecki, długi a cienki i jego przeciwieństwo fizyczne: gruby, przysadzisty, tułowiem potężny a niski na nogach pan Błażej Wymiot. Obaj oni, chociaż starzy i na oko doświadczeni, jednak krewkością natury swej uniesieni — należeli niedawno jeszcze do partyi nieprzejednanych i najwięcej się przyczynili do prowadzenia procesu, a Kociurbow miał w nich wczoraj jeszcze najzarliwszych popleczników; wieść o wyroku senackim zmieniła

najzupełniej ich sposób myślenia; wyroku przestraszyli się; we wszechmoc pokątnego adwokata przestali wierzyć; korzyli się teraz najpotulniej przed Kazimierzem i błagali go o wstawienie się za sobą do rozgniewanego, a dziś tak potężnego dziedzica.

— Sługamiśmy byli dworu, sługami pozostać pragniemy! — pisał długogłowy Suchecki.

— Wstawcie się za nami jasny panie! Wstawcie się do brata swego — huczał jak z próżnej beczki Wymiot. Inni stali smutni i złamani od czasu do czasu krótko tylko przemawiając. Wreszcie, gdy Suchecki i Wymiot wyczerpali do dna swe żale i skończyli prośbę, na czoło deputacyi wysunął się najmłodszy z obecnych, szpakowaty już jednak, Teodor Ziobrowski, wysunął się, krząknął kilka razy znacząco i począł mówić:

— To co mówili tu Jożko i Błażej, to stara gadanina jasnie wielmożny panie... Stara i pusta!... Dziś każdy człowiek na interes się swój obziera.... Czy nie prawda jasnie wielmożny panie, czyż nie prawda?... Ja bym coś innego powiedział....

Kazimierz z uwagą zaczął się przypatrywać nowemu mowcy; on tymczasem przerwał, jakby namyślając się co ma dalej mówić. Na małej zwiędłej i zmarszczonej twarzy Ziobrowskiego igrał lekki sceptyczny uśmiezek, a z oczu małych, czarnych i dziwnie przenikliwie patrzących przed siebie widniały pewność siebie i spryt niezwykły.

— Cóż mi Teodor nowego powie? — zapytał wreszcie zachęcająco Kazimierz.

— Powiem, że tak jak my znaleźliśmy sobie naszego Kociórbę, który nas ze skóry darł, tak nasz dziedzic ma tego Błaźnickiego, który znowu dziedzica ze skóry drze.... Oni sobie obcy, te heretyki przeklęte, za pan brat żyją i umyślnie na procesy ludzi ciągną, żeby z tego dla siebie profit ciągnąć.... Sam na własne oczy widziałem jak się te kundle z sobą w Latyczowie zwąchały.... U Mendla przy garncu wina zasiedli sobie i rady między sobą czynili.... Hm! hm! hm! A możesz to być na świecie dobrze przy takich praktykach!... Czy może być dobrze, jaśnie wielmożny panie?

Nagle mówiącemu przerwał Wymiot, wołając gniewnym i popędliwym głosem:

— Pan Teodor to umie nam przymawiać od starego, głupiego gadania, a sam jeszcze gorsze brednie gada... Co jasnego pana może obchodzić, czy Kociurbów z Błażnickim pije wino, czy nie?...

— Właśnie, że i najbardziej może obchodzić — odparł cicho Ziobrowski, z nietajoną ironią spoglądając na grubego szlachcica — tylko Błażej w swoim grubym rozumie tego spenetrować ani rusz nie może... Błażnicki i Kociurbów to jedna spółka, razem kradli, obaj złodzieje! hm! hm! Czy teraz pan Błażej zrozumiał?

— Cóż z tego? — zainteresował Kazimierz, bojąc się, żeby pomiędzy szlachciami nie doszło do kłótni.

— Zaraz ja się jaśnie wielmożnemu wytłómaczę wyraźnie, co chcę powiedzieć — podchwycił Teodor, uśmiechając się filuternie. — Trzeba dziedzicowi pokazać, że Błażnicki złodziej; trzeba mu wytłómaczyć, że dla własnego profitu na proces go nawodzi i pieniądze z pańskiej szkatuły ciągnie... Ot to grunt....

— Dziedzic nie uwierzy! — mruknął stary Jan.

— Uwierz! bo rozum on ma, choć —
Boże odpuść — pusty jest.... Ale nie tu ko-
niec, trzeba wytłómaczyć dziedzicowi, że le-
piej dobrym sposobem skończyć niż po są-
dach się wodzić i ostatni grosz tracić.... Co
ma nas na bruk wyrzucać, żebraków z nas
robić.... Co mu z tego przyjdzie? Kosztów
tylko sobie przysporzy i wrogów narobi....
Dobrym sposobem skończyć można.... My
zgodzimy się wyższy czynsz płacić!

Po ostatniem zdaniu Teodora zapano-
wało głucho milczenie.... Kazimierz ze zdzi-
wieniem przypatrywał się człowiekowi, który
miał odwagę wyrzec słowa, na które on sam
zebrać się nie mógł. Pomiedzy szlachciami
wszczęły się wreszcie ciche szmery i szepty,
w końcu pierwszy Suchecki zasyczał gniewnie:

— Ot jakie mi mądre, nowomodne ga-
danie.... Większe czynsze płacić! Nie wie-
dzieć zkąd?..

— Kto skąpstwem i cygaństwem wsze-
lakiem dorobił się żydowskiej fortuny — za-
huczał ponuro Wymiot, — niech ten płaci;
my nie mamy zkąd.... Patrzcie go jaki mi
galant.... czynszów mu wyższych potrzeba....
Nie ma zkąd! Nie ma zkąd!

Inni milczeli, ale po wyrazach poznać można było, że im projekt Teodora nie przypadł do smaku. Jeden tylko stary Jan zwołna i poważnie zapytał:

— Jakto wy myślicie Teodorze, niby o wiele wyższe czynsze mamy płacić?

— Nie mówię żebyśmy zaraz mieli się zgodzić na takie, jakie nam wyrok naznaczył — zawołał pospiesznie mówiąc i żywo gestykulując Teodor. — Nie! nie! Takich nikt nie wyciągnie z naszej pustej ziemi... Ale pójść do dziedzica i powiedzieć: „Jasny dziedzicu! płacimy teraz po dwa ruble z połową za dziesięć, senat naznaczył po dziesięć... zrobmy tak niby krakowskim targiem po sześć rubli i będzie i wilk syty i koza cała...“ Czyż nie dobrze gadam? Co?

— A bodajże cię zadławiło! — zawołał z furją Wymiot. — Koza jemu będzie cała! koza cała!... Nie! tylko wilk będzie syty!

— Cicho Błażeju! — ofuknął go stary Jan. — To co Teodor mówią, to nie jest bez racji... Nie!... On choć młodszy, ale rozum ma... Lepiej zapłacić więcej, a z ojcowizny się nie ruszać, niż się prawować a później iść z torbami w świat.

— Zkąd tu wziąć pieniędzy na taki czynsz? — mówił skrobiąc się w łysą czaszkę Jaśko Suchecki — i tak nie ma zkąd takiego zapłacić, jaki teraz był.

Słowa Wymiota i Sucheckiego widocznie niecierpliwiły Teodora, bo aż rumieńce wystąpiły na jego zmarszczoną i opaloną twarz, tak że z brunatnej zrobiła się miedziano-czerwona; w końcu cierpliwość jego wyczerpała się zupełnie i zawołał gwałtownie :

— Boga najwyższego nie obrażajcie!... Tajemnicy tu żadnej przed jasnie wielmożnym panem nie ma co robić.... Zapłaćcie i po dzie sięć rubli to i to by było można, tylko trzeba uczciwie koło ziemi świętej robić, trzeba praeować, a nie po jarmakach, odpustach się włóczyć, nie po szynkach, i karczmach się walać, trzeba dobytku doglądać a nie z adwokatami, procesowiczami w konszachty wchodzić.... Porachujcie no panie Błażeju i panie Józefie : wiele tu grosza ten wasz utraiony Kociurbów zabrał? Co?... Ja mogę płacić, bo gdy on do mnie był przyszedł i do procesu z dworem namawiał i pieniędzy prosił, tom go kijem od obejścia odegnał i psami zaszczał.... Ot prawda goła.

Józko i Błażej zawstydzeni spuścili oczy.
Inni szeptali cicho :

— Teodor ma słuszość! Ma słuszość!

— Powiedzcież mi raz : co mam panu Aleksandrowi oświadczyć? Na jakie czynsze się zgadzacie? Na pewno nie wiem, czy zgodzi się nawet na sześć rubli za dziesięcinę.

— Sześć za wiele! Gdzie tu wziąć sześć, dość będzie cztery! — zahuczał Wymiot.

— Tak! tak! Dość będzie cztery! — wtórował mu dyskantem Suchecki.

— Na pięć możemy się zgodzić! — szepnęli nieśmiało inni mileżący dotychczas szlachcice.

— Nie ma co gadać wiele! — zawołali równocześnie Jan i Teodor. — Łaski jaśnie wielmożnego pana prosimy, niech wstawi się do dziedzica i wyprosi, żeby nas u siebie nadal na czynszach zostawił... Damy po sześć rubli za dziesięcinę. Damy! damy!

Do zdania dwóch przywódców przyłączyli się i dwaj mileżący szlachcice, co widząc Suchecki i Wymiot, choć niechętnie, jednak dali swe przyzwolenie i przyłączyli się do chóru mrużąc:

— Damy! damy!

Twarz Kazimierza rozjaśniła się prawdziwą radością, w dużych jego siwych oczach zabłysło szczere rozrzewnienie i z nietajonym wzruszeniem przemówił:

— Dziękuję wam, dziękuję wam serdecznie dobrzy ludzie, że mieliście we mnie zaufanie i udaliście się tu z prośbą o pośrednictwo... Przodkowie nasi żyli tu na tej ziemi zgodnie i po przyjacielsku, da Bóg, że i my tak samo żyć będziemy.... my i dzieci nasze.... Do pana Aleksandra jutro pojedę i niewątpię, że zgodzi się na waszą propozycję.... Zły on nie jest; jeżeli zbłądzi czasem to przez młodość i niedoświadczenie więcej niż przez złe serce.... Wiercie mi! wiercie!

— My to dobrze wiemy — odpowiedział stary Jan — sercem go kochamy, jak się należy synowi, wnukowi naszych dawnych panów.... Tylko aby to plugastwo od siebie poodganiał i jawnej rozpusty nie czynił.... Sodoma i Gomora, co o zamku opowiadają.... Sodoma!

— Poczekajcie tu przez chwilę w kancelaryi — rzekł Kazimierz — pójdę poprosić moją matkę, żeby się wyszła z wami

przywitać. — I znikł w drzwiach prowadzących do dalszych pokoi.

Za chwilę weszła pani Odrowążowa, w czarnej, jak zwykle sukni, dumna, wyniosła i blada.

Szlachcice z czią nabożną, niby do ołtarza przystępowali do ucałowania ręki żałobnej pani; zachowywali się tak jak w kościele i patrzyli na nią z rozrzewnieniem jak na relikwię świętą.

Za panią, wszedł wkrótce stary służący i przyniósł na tacy butelkę wódki zaprawionej miodem i kilka bułek.

— Napijcie się dobrzy ludzie! — rzekła łaskawa pani — wypijcie za zdrowie mego syna, waszego dobrego sąsiada.

— Niech nam żyje! Niech nam żyje pan Kazimierz! — ryknęli razem jak na komendę.

W oczach pani błysnęły łzy.

— Kochamy go tak, jak kochaliśmy jego ojca, waszego świętej pamięci męża, jaśnie wielmożna pani!...

Biedna wdowa zaszlochała głośno.

— Pańszczyznę robić gotowiśmy, żeby on nam tylko panował — wołała rozentuzymowana szlachta.

Po trzech kieliszkach wypitej przez szlachciców kolejką wódki, Kazimierz ich pożegnał. Rozjechali się jak najlepiej usposobieni; dawne wspomnienia podziały na ich wrażliwe dusze, tak samo jak stara wódka pani Odrowążowej na te zapalne porywcze ciała.

Kazimierz sam sądził, że jutro z ła-twością uda mu się przeprowadzić dobrowolną ugodę pomiędzy czynszownikami dóbr woydałowskich, a ich młodym dziedzicem.

.....
Pochmurny i wietrzny był czas, gdy nazajutrz, po rozmowie ze szlachciami młody Odrowąż wjeżdżał w bramę woydałowskiego zamku.

Stary odźwierny zapytany, czy pan jest w domu? odrzekł, że jest w kancelaryi i rozmawia z Błażnickim.

Wysiadłszy z wózka, poszedł Kazimierz bez meldowania wprost do kancelaryi. Ażeby się tam dostać, trzeba było przejść przez cały szereg komnat starego zamku i wkro-

czyć do niedawnej „przybudówki“, drewnianej i mającej cechy zupełnie nowożytnego domu mieszkalnego, którą zamieszkiwał obecnie młody pan zamku.

Kazimierz szedł powoli, namyślając się jeszcze w jaki sposób ma sprawę przedstawić, ażeby skłonić Aleksandra do pokojowego załatwienia zatargu z czynszownikami. Gdy znalazł się w obszernej sali jadalnej, z której, przesłonięte portyera drzwi prowadziły do owej kancelaryi, doleciały jego uszu słowa Błaźnickiego; mimowolnie przystanął i słuchał.

— On jeden ich buntuje, jaśnie wielmożny pryncypale — mówił służalec — gdyby nie ten cacany kuzynek, to oni zdaliby się byli już dawno na łaskę i niełaskę dworu.... Onegdaj był na naradzie w karczmie, wczoraj najzjadlejsi *buntowszczyki* zjechali się do niego.... Paskudna *miatieżna* krew jest w tym człowieku....

— Błaźnicki! nie zapominaj, że to mój brat ciotoczny, — przerwał adwokatowi pan Aleksander.

— Pamiętam, wasza światłości, pamiętam!.... Ha, żeby nie to, to już dawnobym

był sobie dał z nim radę... Dwadzieścia słów napisać gdzie należy, i ptaszka by zabrali... Oho! czyż to trudno mu dowieść, że chłopów buntuje, że socyalizm szerzy.

— Ani mi się waź! — zawołał porywco pan zamku — Sto batów bym ci kazał dać! Sto batów, rozumiesz!... Zresztą nie bądź kpie śmieszny — dodał, rozśmiawszy się swobodnie — nie bądź śmieszny! Jakim sposobem Odrowąż, z Woydałowskiej urodzony, może być socyalistą! Sam byś durniu za taki donos „za rzeszotkę“ poszedł!... Rozumiesz!

— Kiedyś się jaśnie pan przekona...

Nie skończył zdania zaeny doradca prawny, bo w tej chwili portyera się rozchyliła, i zdziwionym oczom obecnych ukazała się silna, wyniosła i potężna postać Kazimierza Odrowąza.

— Możesz aspan zaraz pisać „gdzie należy“ — zawołał nowo przybyły, zwracając się do przestraszonego Błażnickiego — możesz! Chcę nawet tego, ażeby takiego ptaszka nauczono, jaka jest kara, za rozsiewanie potwarzy... Ale, że ty Olesiu — zwrócił się do pana zamku — możesz z takim

kpem rozmawiać? Takie podłe bydle przy sobie trzymać?

— Bawi mnie! — odrzekł cichym, zawstydzonym głosem Aleksander. — No, ruszaj Błaźnicki do siebie; a pamiętaj, że dziś przed obiadem musisz panu Odrowążowi zaprezentować, jak ty kozaka tańczysz.... A no, fora!

Błaźnicki znikł za portyera, nie nie mówiąc, tylko kłaniając się coraz niżej, aż do drzwi....

— Pójdź, zobacz Olesiu, czy ta kreature nie podsłuchuje pod drzwiami? — rzekł Odrowąż, zapalając papierosa i siadając ciężko na skórą obitym fotelu.

Aleksander wyszedł i wnet z drugiego pokoju rozległ się jego głos na pół gniewny, na pół żartobliwy:

— A pójdź że mi ztąd nieczysta bestyo!... Kazio zna cię kanalio dobrze.... Patrzcie mi go!... A no, poszedł won! — i stuknął nogą o posadzkę.

— Niech mnie piorun trzaśnie — szepnął potulnym głosem Błaźnicki — jeżeli przez dumkę mi przyszło podsłuchiwać.... Ot

szukałem po bufecie, czy co ze śniadania nie zostało, bom bardzo głodny.

— Ruszaj, kpie do piekarni, każ sobie dać „mamałygi“....

— Służalec umknął z sali jadalnej, a gospodarz powrócił do gościa.

— Cóż mi powiesz Cyncynacie? — zapytał, siadając na przeciwko.

Kazimierz milczał, namyślając się jeszcze ciągle, jak ma przystąpić do rzeczy: słowa Błażnickiego, które mimowolnie usłyszał, krzyżowały mu z góry ułożone plany rozmowy.

— No, mówże arcy-mistrzowi zakonu enotliwych obywateli, gwiazdo przewodnia podolskiej młodzieży, co cię sprowadza do osławionej Sodomy.... do podolskiego Babilonu.... Dawno już nie miałem zaszczytu kochanego pana brata oglądać — dodał uśmiechając się sarkastycznie.

— Sam temu jesteś winien — odparł Kazimierz — gałganstwa takiego do zamku nasprowadzał, że nie sposób tu dłużej posiedzieć.... Bałbym się, żeby mi zegarka i pugilaresu oni nie ukradli....

— Brawo, brawo Kazik!... Zaczynasz się wyrabiać! — wykrzyknął Aleksander, klaszcząc radośnie w dłonie. — Cudowna definicya moich „gości“.... Cudowna!

— Piękni mi goście! — szepnął z przekąsem Odrowąż.

— Zaraz im to zaaplikuję przy obiedzie — wołał rozbawiony jak dziecko gospodarz. — Będzie heca babilońska! Knaipp cię wyzwie; poeta opisze jako straszego filistra; malarz odmaluje — w karykaturze naturalnie.... Będzie heca!

Uderzając dłonią po własnym kolanie, Aleksander przestał mówić, tylko śmiał się jeszcze przez kilka chwil urywanym, sztucznym uśmiechem; gdy ucichł, zapanowało przykre, kłopotliwe milczenie. Odrowąż wpastrywał się uważnie, przenikliwie w twarz cioteczkiego brata; ten nie mógł znieść tego badawczego spojrzenia, spuścił wzrok ku ziemi i wzięwszy ze stołu duży, drewniany nóż do rozcinania kartek, uderzał nim w takt po świecących cholewach swych lakierowanych butów. Milczeli kilka minut; pierwszy przemówił Kazimierz:

— Olesiu! — zawołał — rozpedź ty tę hałastrę na cztery wiatry.... Daj każdemu z nich coś w łapę, niech idą w świat na kawałek chleba pracować....

— Nie mogę! — odrzekł ponuro gospodarz. — Gdyby nie to ciągle amatorskie przedstawienie, to umarłbym tu z nudów.

— To rób co! Pracuj! Zajmij się sam gospodarstwem!

— Próbowałem.... Żle szło!

— Nauczysz się!

— Tak! Nauczysz się! — zawołał, ożywając się i powstając z sofy Aleksander. — A tymczasem przegospodaruję fortunę, tak jak Tonio, jak Andrus.... jak stu innych.... Nie! Wolę nie nie robić i pieniądze mieć, niż uczyć się na własnej skórze.... Ilnicki tak gospodaruje, że ja tak nigdy nie potrafię.

— To wyjedź!

— POCO? Nudzi mnie to, włóczyłem się do syta.... Co tam będę robić? Przypatrywać się głupim Francuzom, gburowatym Niemcom i tak samo jak ja znudzonym Anglikom.... Nie głupim!

I znowu zapanowało milczenie. Aleksander chodził dużymi krokami po pokoju; Kazimierz siedział, oparłszy głowę na dłoniach, zamysłony głęboko.

— Ty masz jakiś interes do mnie!... Powiedz Kaziu! — zagadnął znowu pierwszy gospodarz — powiedz otwarcie...

— W samej rzeczy mam — odpowiedział, podnosząc głowę Odrowąż — nie wiem tylko jak ci to powiedzieć, żeby cię nie rozdrażnić... Interes bardzo ważny i nie cierpiący zwłoki.

— Mów, mów od razu!... Pewno ci pieniędzy potrzeba?... Nie mogę zrozumieć do prawdy, jak ty wraz z matką możesz na tym nędznym Głuchowie wyżyć... Cóż to sześćset morgów roli?... Mów, wolę tobie pomóc, niż mam rozdawać pieniądze tym... przyjaciołom... Mam ich do syta....

Kazimierz ze zdziwieniem zrazu spoglął na młodego gospodarza, w ciągu jednak jego słów coraz to wyraźniejsze rozrzewnienie wypiętnowało się na jego otwartej, choć nie pięknej twarzy; nie dał mu nawet skończyć, tylko przystąpiwszy do niego uściśnął go serdecznie i zawołał :

— Dziękuję ci! Dziękuję!... Pieniądzy mi zupełnie nie potrzeba; Głuchowo jest tak zagospodarowane, że dochody z niego zupełnie mi wystarczają.... Chcę mówić o twym własnym interesie.

— O moim własnym?... — przerwał ze zdziwieniem Aleksander. — Ciekawym o jakim mi ty możesz „moim własnym“ interesie powiedzieć.

— O sprawie ze szlachtą, z czynszownikami.

Na te słowa krewnego, pan Aleksander odsunął się niechętnie, uśmiechnął się sarkastycznie i rzekł z przekąsem:

— Błaźnicki ma rację, ty masz bzika!... Zresztą tu nie ma o czem mówić, sprawa skończona!

— Jak to, skończona?

— No, skończona zupełnie!... Mamy wyrok senacki, który wyegzekwuje się w całej rozciągłości.

— Ależ, mój drogi, to jest niepodobieństwo, aby oni taki czynsz płacili.... Bądź-że sprawiedliwy!

Aleksander na te słowa rozśmiał się ironicznie i odwróciwszy się do okna, począł świstać arzę jakiegoś nowego walca.

Odrowąż nie zważał zupełnie na to wyrażne i demonstracyjne lekceważenie jego słów; mówił dalej wpadając w coraz to większe ożywienie. Próbował wszystkich sposobów; budził w młodym dziecku wspomnienia dzieciństwa; przypominał mu: jakie stosunki łączyły jego przedwczesnie zmarłego ojca z mieszkańcami osad czynszowych, z młodszą szlachecką bracią; starał się rozdmuchać w nim poczucie patriotyzmu, poszanowanie tradycyi rodowej i stanowego obowiązku.... Wszystko było daremne. Pan Aleksander, wysłuchawszy z zimną krwią całej tej tyrady, odwrócił się od okna i ziewając przeciągle, popatrzył drwiąco na rozplomienionego mowcę.

— Czyś już skończył? — zapytał —
Minąłeś się z powołaniem, mój drogi; należało ci zostać adwokatem, profesorem, lub... trybunem ludowym.

— Ależ mój Olesiu, czy ty tego zrozumieć nie możesz, że jesteś na drodze po-

pełnienia zbrodni! — zawołał Odrowąż porwyczo.

— A ty na wybornej szosie do... domu waryatów — odrzekł pan zamku zimno i cynicznie.

— Czy to ostatnie twe słowo?

— Ostatnie i nieodwołalne!

— To bywaj zdrów! Znać cię nie chcę!

— Waryat! Słowo daję, że waryat! — wołał pan Aleksander, śmiejąc się tak wesoło, jak śmiać się zwykły tylko rozbawione dzieciaki.

— Żal mi ciebie Olesiu — mówił dalej Kazimierz, a w głosie jego niskim i dźwięcznym brzmiały coraz to serdeczniejsze tony — gubisz się! Przygotowujesz sobie tyśiące przykrości!... Zamożną okolicę zamienisz swym uporem w... Irlandyę... Zastanów się! Zmień to postanowienie!...

— Nie nudź! Nie udawaj śmiesznego Katona... Chodź teraz ze mną do stajni; później zostaniesz na obiedzie, ubawisz się cudownie... Błażnicki będzie dziś tańczył kozaka z Frozyną!... Co za widowisko!... Zostań!...

— Czyś oszalał? — zawołał Kazimierz, przybierając nagle ten sam ironiczny ton, którym posługiwał się jego brat cioteczny, przez cały czas trwania ich rozmowy. — Waryat! Słowo daję, że waryat!... Poszlij Olesiu po doktora!

I po tych słowach wyszedł pospiesznie z pokoju; potrafił podsłuchującego za portyera Błażnickiego tak mocno, że ten zachwiał się, runął pod bufet; minął szereg mrocznych zamkowych komnat i znalazłszy się wreszcie na ganku, krzyknął niecierpliwie na swego chłopaka, żeby co rychlej podjeżdżał.

— Pan dobrodziej się tak spieszy? — zagadnął go długowłosego poeta, który zjawił się jak z pod ziemi.

— Muszę jechać! — odparł Odrowąż krótko i stanowczo.

— Szkoda, szkoda! — prawil dalej, słodkim głosem bard. — Dziś będzie u nas prawdziwie romantyczna uczta.... Motywa ludowe będą wprowadzone w grę.... Tańce, zmieszanie się stanów, sielanka.... Ja przygotowałem na dzisiejszy dzień moje ostatnie dzieło.... Utwór wyrosły na glebie istic lu-

dowej... Czarownice, wiedźmy, nadprzyrodzone istoty... Dziś po obiedzie czytać będę...

— Doktora! doktora! — zawołał jeszcze raz zirytowany Odrowąż, tym razem wprost w ucho przestraszonego tem poety i wnet potem wskoczył na wózek, sam schwytał lejce i tak szalenie ruszył z przed ganku, że osłupiałemu poecie mogło się zdawać, iż wózek ten rozbije się na drobne kawałki w ciasnej zamkowej bramie.

— Wio, ho! wio konie sokoły! — wołał Odrowąż, rozpuściwszy czwórkę swych stepowych koni w szalonym galopie po szerokim trakcie.

Gwałtowny prąd powietrza nie tylko go nie ochładzał, nie uspokajał; upajał go przeciwnie co raz więcej; w piersi młodego człowieka szalała burza straszna, pełna goryczy i zniechęcenia.

— Zginą!... Zginą marnie!... Zginiemy wszyscy! — wołał w duszy.

Konie tymczasem pędziły coraz szybciej; ludzie przestraszeni na kilkaset kroków przed nim usuwali się z drogi i z przestрахem spojierali na nieopatrnego junaka.

-- Niech wszystko dyabli biorą ! —
zawołał wreszcie głośno. -- Niech giną,
kiedy żyć nie umieją, kiedy im do życia sił
nie staje.... Niech giną!... Niech....

I równocześnie z temi słowami silną
ręką powstrzymał rozhukaną czwórkę.... Opu-
ścił głowę na piersi i lekkim klusem za-
wrócił na drogę do Głuchowa.

VI.

Wiść o nieudanej misyi Odrowąza rozszła się z szybkością błyskawicy po wszystkich osadach szlacheckich, należących do Woydałowskiego klucza.... Zawrzało jak w kotle; najpotulniejsi przedtem uczuli w sobie teraz ducha wojowniczego; — rozpoczęła się głucha, lecz zażarta walka pomiędzy dworem a czynszownikami.

Pinkasiewicz, Szaruga i druh ich Kociurbów tryumfowali; starsi i rozważniejsi z konieczności musieli się zgodzić na kierunek, reprezentowany przez tych kilku... nieprzejednanych.

Najnieszczęśliwszą ze wszystkich była Hanka Pinkasiewiczowa. Wychowana przez starego Jana w przekonaniach: iż dwór stoi prawie na równi z Kościołem; karmiona przez całe dzieciństwo strawą duchową, która wzmogła w niej pietyzm względem dworu

i rodziny dziedziców — do bigoteryi prawie, do niezwykłego fanatyzmu; ujrzała się teraz w obozie dworowi wręcz wrogim, była żoną Ambrożego, który knował projekta najstraszniejszej zemsty na dziedzica.

Na dziedzica! Na dziedzica!

Gdy pomyślała o tem, to mróz jakiś obejmował jej ciało; w oczach jej ciemniało, a w piersiach uczuwała ból srogi.

Sama o tem nie wiedząc, kochała ona tego pięknego, jak marzenie młodzieńca, dziedzica, marzyła o nim, śniła lata całe.

Od chwili, gdy piękny i smutny, spotkał ją przy zwłokach swej matki, a jej opiekunki, gdy przemówił do niej serdecznie i łaskawie; — od tej chwili stał się bożyszczem jej życia, ideałem, wcieleniem wszelkiej ziemskiej doskonałości.... Nigdy przed nikim nie przyznała się do tajemnicy swego serca; choć niewykształcona i prostaczka, miała w duszy to poczucie godności osobistej, które jej wyraźnie mówiło: że wyjawienie podobnego uczucia byłoby dla niej hańbą niesławą.

Kochała skrycie, kochała beznadziejnie, kochała na wieki.

Sama nie wiedziała, kto jest jej Bogiem.... Gdy, dziewczęciem, kilkunastoletniem widywała młodego panicza w kościele, kiedy on przyjechawszy na ferye, zasiadał z kolegami w kolatorskiej ławce — to siła jakaś nieprzewyciężona odciągała jej wzrok od ołtarza, od kapłana, a przykuwała go do dziwnie pięknej, idealnie bladej twarzy pana Aleksandra.

W młodzieńczej, dziecinnej prawie jeszcze duszy dziewczęcia wrzały wówczas straszliwe burze, wyczerpujące siły organizmu — walki.

Później sądziła, że zapomniała o tem dziećcem marzeniu; męża młodego dostała — siłę obowiązku poczuła — mglistą namiętność na pozor doszczętnie zwalczyła. Gdyby jej Bóg był dał dziecko — to może byłaby się stale do niemiłego jej zrazu męża przywiązała. Dziecka nie miała, wady i błędy męża wkrótce poznała — i znenawidziła go; stał się jej wręcz ohydny; wstręt ucuwała, gdy się do niej zbliżał; każda jego czułość obrzydzenie w niej budziła.

Następnie i dziecko powrócił. Widywała go znowu czasami w kościele; walczyła

z sobą, żeby się nań nie patrzyć, nie podziwiać oblicza tego dziwnie pięknego, oczu tych gwiazdzistych, które — czuła to wyraźnie — miały moc rozkazywać jej, wobec których traciła zupełnie własną wolę, pogrążyła się w jakiś dziwny stan na wpół snu, na wpół jawu; tonęła w adoracyi podobnej do stanu mistyków i fakirów.

Młody pan zamku nie spostrzegł nigdy, jaki wpływ jego obecność wywiera na młodą i bardzo piękną szlachciankę; utonął w szaleństwach i pohulankach, które mu urządzali goście-towarzysze. O ekscesach tych wkrótce głośno mówić zaczęto w całej okolicy; ludzie, to ubolewali, to się gorszyli, to znowu niektórzy się śmiali, podziwiając bujność fantazyi, tworzącej tak dzikie pomysły. Hanka, słysząc, zaciskała rozpaczliwie pięści, uczuwała ból srogi w piersiach i sama do siebie szeptała:

— Daj mu Boże opamiętanie!... daj!... daj!

A później w myśli dodawała:

— On nie byłby taki, gdyby mnie był pokochał!

Blask jakiś opromieniał wówczas jej oczy a myśl wnet mknęła na manowce marzeń rozkosznych, zdradliwych, wszechmocnych.

I przenosiła się myślą w jakąś cudną, rajską krainę, pełną woni i blasków, pełną promieni i kwiatów dziwnych jakichś egzotycznych, nigdzie niewidzianych; pełną ptaków śpiewających najładniejszą pieśń miłości. I tam, w tym zaczarowanym świecie widziała się w objęciach pięknego pana zamku; słodyczą go poila; z bluszczu i kwiatów najwonnejszych plotła wieńce, by go nimi przykuć do siebie na wieki.... Ni wieńców, ni tych pęt wonnych nie było potrzeba — on gardził wszelką inną rozkoszą, gardził całym światem — tylko w jej oczy patrzył i poił się słodyczą jej spojrzenia, jej uśmiechu....

Z marzeń podobnych budził ją zazwyczaj głoś brutalnego męża, naganiający rozmarzoną do jakiejś pracy ręcznej. Wstawała i szła za głosem rozkazu bezwiednie, niby we śnie magnetycznym pogrążona.

Mąż ten z dniem każdym stawał się jej wstrętniejszym; poznała wszystkie jego błędy i ułomności i siłą obrzydzenia ku niemu, które w jej duszy panowało, podnosiła

te przywary do tytanicznych rozmiarów: każdy, najdrobniejszy chociażby ujemny rys jego natury, w oczach żony wyolbrzymiał się w straszną wadę; każdy czyn, który ogół z łatwością by przebaczył, ona piętnowała w duszy — jako zbrodnię o pomstę do nieba wołającą. Gdy się rozpoczęły procesy z dworem i Pinkasiewicz w nich główną rolę objął, to znieawdziła go z całą już samowiedzą; z dziwnym upresem i zawziętością śledziła każdy jego krok i lepiej znała stan sprawy niż adwokaci obustronni; ona to pobudziła ojca, żeby użył wszelkich środków przeciw dalszemu prowadzeniu procesu; ona bezustannie przypominała staremu Janowi, że ziemia ta od wieku pańską była i pan z nią może robić, co mu się podoba.

Gdy Jan z owego zgromadzenia „na taborzysku“ powrócił i na drugi dzień rano opowiedział jej, jak się Pinkasiewicz tam zachowywał, to przygryzła usta aż do krwi, ręce załamała i z taką zaciętością szepnęła: „no poczekaj!“ że aż ojciec ze strachem na nią spojrzął i smutnie zwiesiwszy siwą głowę na wychudłe piersi, powlókł się do stajni, by

siodłać podjezdka i jechać, zwoływać „panów braci“ na radę do pana Odrowąża.

Hanka została sama i pograżyła się znowu w dumania.

Smutne one wówczas były, nie w rajske przestwory myśl ją niosła; widziała się na strasznej, bezbrzeżnej pustyni, po nad którą zawisły obrzydliwe, rudawo czarne chmury, ciężarne gromami srogimi, nawalnicami okrutnemi; zdala, z krajów widnokregu, niby wał jakiś niebotyczny piętrzyły się fale wzburzone i brudne, ryczące ponuro i co raz bliżej posuwające się ku środkowi płaszczyzny. W ryku fal tej straszliwej powodzi zdawało się jej, że rozpoznaje głos znenawidzonego męża, wrzaski jego przyjaciół i towarzyszy; rozbijała wyobrażenia każała jej spostrzegać pomiędzy spienionymi grzbietami fal tego potopu wykrzywione nienawiścią zięjące twarze Ambrożego, Szarugi, Kociurbowa i gości zamkowych, których widywała z daleka w kościele i w miasteczku. W samym środku zagrożonej zniszczeniem doliny był on sam jeden, opuszczony — pan zamku. Nie nie sam jeden, nie opuszczony! Ona była obok niego, ona, która cud gotowa na grze-

szną ziemię sprowadzić aby go uratować; ona, gotowa życie swe poświęcić, żeby go z tego strasznego padółu wybawić. I w marzeniach strapionej kobiety — stał się cud.... W chwili, gdy kręgi fal coraz bardziej się ścieśniały, gdy dolina ohydna z każdą chwilą stawała się szczuplejsza, gdy ryk cudackich fal stawał się głośniejszym od gromów; — uczuła nagle w swem wątleń ciele siłę a moc nieludzką, uczuła, że jej u ramion skrzydła anielskie urastają, że wzrok jej przenika najdalsze przestrzenie, chmury najcięższe, fale najbrudniejsze; pochyliwszy się nad omdlewającym z przerażenia młodzieńcem, uniosła go niby dziecinę małą, ujęła go w swe objęcia i lotem bystrej jaskółki pomknęła w górę w wymarzone w snach jej dobrze znane rajskie regiony.... Fale ryknęły straszliwie i złały się pokrywając ostatnią piędź suchego lądu.... Ona tymczasem mknęła w górę coraz wolniej; ciężar przychodzącego do życia młodzieńca zdawał się jej coraz trudniejszy do udźwignięcia; wreszcie dosięgła celu, złożyła go pod drzewem, rodzącem brylantowe owoce, złożyła go obok źródła sączącego wodę życia wiecznego, złożyła ciężar słodki, u stóp

jego pochyliła znękaną głowę... i nie jej życia przerwała się — skonała słodko, cicho, bez boleści, niby ptak, lub dziecię, zmieniające się w anioła.

Sen przysł.

Obudziło ją zeń gwałtowne stuknięcie drzwiami; mąż ze wzburzoną, roznamiętnioną twarzą, z czerwonymi, strasznie płonącymi oczami i roztarganą czupryną stanął nagle przed nią. Wzdrygnęła się jak gdyby ujrzała była upiora, lub szatana samego.

Czego siedzisz, jak skamieniała? — wrzasnął wchodząc, aż zadygotały polewane misy, porozkładane na półkach, pod pułapem.

Hanka ani drgnęła; mogło się zdawać że głosu mężowskiego nie słyszała zupełnie

— Wstań, daj jeść! — wołał jeszcze gwałtowniej. — W ustach od wczoraj nic nie miałem. Przekłete rady!... Przekłete procesy, z tem biesowem dzieckiem!

Do automatu więcej niż do istoty ludzkiej podobna, Hanka wstała i podszedłszy do pieca, na którym ogień już przygasał, nalała z garnka pełną misę barszczu z mięsem i milcząc podała ją mężowi.

— Kieliszka wódki nie masz, czy co? —
wrzasnął — wiesz, że przed strawą człowiek
musi wypić!

Ton ten głosu męża nie czynił tego
dnia na niej najmniejszego wrażenia; cicho
podeszła do szafy, wyjęła z niej butelkę z wódką
i kieliszek, położyła te przedmioty obok misy
z barszczem i powróciła na dawne swe miej-
sce. Ambroży, wypiwszy dwa kieliszki wódki
zasiadł przed misą i począł łapczywie po-
chłaniać pożywienie. Gdy zjadł, odsapnął
zwolna i patrząc niechętnem okiem na żonę
zaczął mówić spokojniej i ciszej:

— Ciesz się, twój dziedzie górą! Oh!
górá.... Tego wileczka w baraniej skórce, tego
braciszka pańskiego, tego pół-panka, co sam
własne palce z głodu ssie, nasi główacze
sprowadzili, żeby zgodę nam z dworem robił....
Zgodę zobaczą, jak ja własne ucho.... kruk
krukowi oka nie wykole.... Ten Odrowąż taki
sam jak i nasz, tylko chuda fara to grze-
czością ludziom oczy mydli.... He! he! Cóż?
ciesz się! ciesz!

Hanka ciągle milczała; nawet wyrazem
twarzy nie zdradzała, że słyszy słowa męża-

— No, wydajże z siebie głos! — zawołał porywco. — Do kobiety gadam, nie do słupa!... No, ciesz się, ciesz!

Wstał z ławy i przechodząc się w poprzek izby spozierał na nią bezprzestannie, a równocześnie szeptał niby sam do siebie:

— Jasna pani!... Hrabina!... Dziedziczka!... Pańskie nasienie! Z zamkowej garderoby ród swój wywodzi!

Żona siedziała nieruchoma, niby posąg z marmuru.

— Kukurudza nie pasemkowana, a jasna pani siedzi z założonymi rękami niby dziedziczka jaka.... Ja mam może kukurudzę pasemkować? Ha! co? ja może?... Pracować będziesz ty musiała, pracować. Pracować gdzieś w stepie dalekim, jak cię kochanek, jasny pan na śmiecisko wymiecie z tej starej sadyby. Chleba zarobić, koszulę utkać, pracy a niedoli zaznać.... Rozumiesz! Nie szlachcianką już tobie być, nie panią, a żoną *brodiahy* bezdomnego. No ciesz się, ciesz! Dziedzicowa prawda! Dziedzic w senacie ma swoich ludzi.

Mówiąc te ostatnie słowa stanął tuż przed milczącą kobietą i stukając gwałto-

wnie obeasami w ziemię z największą furją
począł krzyczeć:

— Przemów słowo! Ciesz się, skacz,
spiewaj z radości, a nie milcz tak jak ryba,
jak zaczarowana księżniczka; nie pokazuj mi
takiej wstrętności ku mnie, bo prawa nie
masz!... Mężem ci byłem uczeiwym i prze-
ciw tobiem nie zgrzeszył myślą nawet.... Rusz
się, słowo powiedz, bo z cierpliwości wyjdę....
Słuchaj!...

I pochwycił ją za ramię i trząśł nią
jak martwym, życia pozbawionym przedmio-
tem; ona ani drgnęła nawet.

— Mów, kobieto!... *Moszczy*¹⁾ świętej,
boleściwej nie udawaj! Mów!...

Odskoczył od niej i zaciskając pięści,
wołał dalej:

— Mów! bo ja cię nauczę mówić! Nie
pogardzaj mną kobieto, nie doprowadzaj mnie
do kryminału.... Nie chłop ja, ale taki sam
szlachcic jak i twój ojciec, taki sam nawet
jak ten poganin z zamku.... Hanka, słuchaj!

¹⁾ *Moszcza* relikwie cerkwi wschodniej,
są to ciała świętych zabalsamowane i przecho-
wywane w trumnach, podobne do mumii egip-
skich.

Życie zmarnowałaś i mnie i sobie.... Miłowałem cię, wierz mi, miłowałem jak świętości najdroższe.... a ty zawsze była jak drzewo martwa, jak drzewo głucha, jak lód zimna.... Hanka, pokajaj się, Bogu się modlisz a grzeszne serce masz! Hanka nie rób ze mnie *katorżnika!* Hanka! Hanka!

Głos olbrzymia miękł z wolna i stał się prawie tkliwy, błagający; nie zrobił jednak najmniejszego wpływu na zmartwiałą kobietę; nawet okiem nie mrugnęła.

— Hanka, psie nasienie, twój sobaczy obowiązek męża słuchać! Gadaj gadzino, a nie to ja ciebie....

I podniósłszy rękę w górę, zamierzył nią uderzyć żonę w twarz. W tejże samej chwili, jakby niewidzialną jaką siłą popchnięta kobieta, zerwała się z ławki i wyprostowawszy się dziwnie popatrzyła na rozwścieczonego męża. Spojrzenie to znać miało w sobie moc jakąś magnetyczną, siłę jakąś czarodziejską, bo pod jego wpływem olbrzym rozszalały zmienił się w jednej chwili w baranka prawie, rękę opuścił, oczy wlepił w ziemię i stał chwil kilka nie mówiąc ani słowa. Po chwili zwrócił się ku drzwiom, za-

klął straszliwie i wyszedł z izby zatrzasnąjąc drzwi za sobą.

Od owej chwili mąż z żoną zaprzestali mówić do siebie. Ambroży zjawiał się do izby po to tylko, aby się najesć i wnet potem zniknął znowu. Hanka milcząca i smętnie zadumana, zabrała się powoli do zwykłych zajęć.... Stary Jan złamany wiadomością otrzymaną od Odrowąża zamknął się w sobie, chodził ze zwieszoną głową i nie odzywał się ani do córki, ani do zięcia.

.....
Nazajutrz po scenie z mężem, Hanka wybrała się pasemkować kukurudzę.

Dnia tego słońce znowu od samego poranku, lało żar na rozpieczoną ziemię; wczesne żyta już zaczęły nabierać srebrnego odblasku, który jak przedwczesna siwizna, nie naturalnie odbijał od zielonych i soczystych łodyg, pszenica wykłoszona zupełnie, poruszana lekko przez regularny wschodni wietrzyk wydawała rytmiczne jakieś dźwięki, niby tony wydobywające się z cienkich strun metalowych. Łanki młodej bujnej kukurudzy, lśniły tysiącami iskier jarkich i migotliwych, niby światełka świę-

tojańskich robaczków niepochwytnych; promienie słoneczne łamały się w szerokich lśniących liściach i barwiły rozkoszną zieleni miliardami ułudnych brylantów.

Życie w polu zaumierało prawie; tylko świerszcz polny odzywał się przeciągle, smętnie, tylko roje pszczół brzęczały po nad kwiatami bodiaków i dziewanny. — Tylko kilka istot ludzkich, na milowej przestrzeni pracowało w czoła pocie.

Od samego rana Hanka wycinała niepotrzebne łodygi kukurudzy i składała je na kupy, które miał później wieczorem mąż zabrać na wóz i zawieźć do domu dla krów i wołów. Pracowała cicho i ponuro, bez słowa piosnki na ustach, straszne jakieś myśli opanowały jej umysł... Z myśli tych sama sobie sprawy zdać nie mogła; kłębiły się one i kształtowały tak dziwacznie jak czasem kłębią się szare poszarpane chmury przed burzą, w dzień letni, upalny. Czowała, że w duszy jej budzi się nagle kilka namiętności potężnych i wszechwładnych, nie umiała ich jednak rozklasyfikować, podzielić. To opanowywała ją rzewność jakaś dziwna, omdłałość prawie i chwylała wówczas pospiesznie do

piersi powietrze, i zdawało się jej, że ono ma słodycz miodu i woń kwiatów dziwnych jakichś, zaczarowanych; to znowu zaciskała pięści, marszczyła czoło, oczy jej płonęły blaskiem niepohamowanej namiętności i zdawało się jej, że jest wilezycą dziką, leśną i bronić ma gniazda przed wrogiem zażartym.

Gdzie jej gniazdo; czy w zamku, czy w chacie ojca? — Sama dokładnie tego nie wiedziała.

Chwilami znowu lęk ją jakiś dziwny chwycił, ze strachem rozglądała się po cichej bezludnej równinie..... pola i pola, nigdzie istoty ludzkiej, z nikąd nie dochodził odgłos głosu człowieka. Wspinała się wówczas na palce i wzniosłszy głowę po nad wysokie już łodygi kukurudzy spozierała w około; nie widziała nic oprócz pól i dalekich lasów, które niby ciemne obramowanie, czarnym krawędziem zakończyły horyzont. Wśród tego opola odróżniał się tylko mały lasek, w którym młody dziedzic osadził teraz uczonego Czecha i kazał mu hodować zamorską zwierzynę — bażanty.

Hanka tłumiała w sobie wszelkie uczucia i marzenia i pragnęła jak najszczerzej

zająć się pracą; pochylone więc zżynała łodygi, pot strumieniem spływał po jej pięknej twarzy; z ust jednakże wydobywały się stłumione westchnienia. Nagle uwagę jej zwróciło, zrazu ciche, później coraz natarczywsze szczekanie psa; podniosła oczy i z ciekawością popatrzyła w około; nie dalej jak o dwadzieścia kroków, na polnej drożynie stał duży, piękny wyżeł i ujadał zawzięcie. O kilka kroków po za nim ujrzała młodego dziedzica, który z ciekawością się rozglądał wokoło, szukając przyczyny psiego szczekania. Wnet też spostrzegł Hankę, która obaczywszy młodego pana stała nieruchoma, wyprostowana, niby w słupek soli zmieniona. Bohater jej snów stał teraz żywy i piękniejszy prawie niż ten w marzeniach się zjawiający; serce jej gwałtownie bić zaczęło, krew z piersi wartkim strumieniem uderzyła do mózgu a twarz pokryła się nagle ciemnym purpurowym rumieńcem, — nigdy jeszcze nie spotkała się z nim tak sam na sam w odludnem polu.

Panicz tymczasem obrzuciwszy ją przeciągłym, długim spojrzeniem, nakazał psu milczenie i począł, przedzierając się przez gęstą kukurudzę zbliżać się do niej, — mil-

czeli oboje. Wreszcie pan Aleksander, stanąwszy tuż obok niej, pierwszy przemówił:

— Hanka, córka starego Jana?

— Tak — odrzekła kobieta, czując, że dreszcz jakiś chwytać ją zaczyna.

— Jakaś ty piękna — mówił panicz dalej, obrzucając ją pożądliwym spojrzeniem.... Jaka piękna!

Młoda kobieta, spuściwszy oczy ku ziemi, stała nie odpowiadając ani słowa.

Zapanowało przez chwilę kłopotliwe milczenie.

— Twój mąż rozbójnik! — mówił znowu, po chwili młodzieniec. — Wiem coś o nim!... Szkoda ciebie dla niego.... Śliczna jesteś....

W Hance serce zaczęło się tłuc jak w zającą ściganym przez zawzięte charty; błogość jakaś dziwna i strach okrutny mieszały się z sobą i sprawiały, że odchodziła prawie od przytomności, nie była zdolną zebrać się na słowo odpowiedzi.

Panicz tymczasem przystąpił tak blisko, że ramieniem dotykał pełnego, okrągłego łona młodej kobiety i pochylając się, popatrzył wprost w jej zasromane oczy.

— Podnieś swe śliczne oczęta — zawołał z uśmiechem swawolnym — słowo daję, że w takie oczy warto godzinami patrzeć... Śliczne!... Hanko, strasznie mi się podo basz.

I mówiąc to, nagłym ruchem objął kibię kobiety w pól, twarz jej przyciągnął do ust i nim się zdołała zorientować, nim potrafiła krzyknąć, pocałował w same usta.

— Panie, grzech! — zawołała kobieta, wrywając się z dziwną gwałtownością z jego objęcia i odskakując o kilka kroków.

Pies tymczasem zaczął znowu dziko ujadać.

— Grzech, obraza boska! — wołała, stłumionym lecz rozpaczą jakąś drgającym głosem — panie, ostawcie mnie w spokoju, ostawcie!... Ja cudza, cudza ślubna żona... cudza! — i zaczęła łkać tak boleśnie i rozpaczliwie, że pies zaczął jej wyciem żałobnym wtórować.

— Niech Bóg was w inną stronę kieruje — wołała przez łyzy. — Panie jaśnie wielmożny, ja sama i ojciec mój stareńki nieba wam przychylić pragniemy... Ostawcie

nas w spokoju, nieszczęścia nie nawodźcie na moją biedną głowę.... Przez pamięć matki waszej rodzonej, pani świętej i nieodżałowanej, przez pamięć ojca waszego,... ostawcie, ostawcie!

Aleksander ze zdumieniem spozierał na rozszlochaną; nie mógł zrozumieć przyczyny tego płaczu; w dotychczasowej swej praktyce z płcią piękną, podobnych objawów nie spotykał; płacz kobiecy źle działał na jego nerwy, paraliżował wszelki miłośny zapał, w dodatku wyżeł zawodził coraz żałośniej. Kopnął psa nogą, aż zatoczył się i padł pomiędzy bujne łodygi kukurudzy, a do kobiety z wyraźną niecierpliwością zawołał:

— Milcz-że już u licha!.. Zjesć cię nie miałem zamiaru.... Głupia jesteś! Czego wrzeszczysz?... Niewolić żadnej nie myślę.... Nie chcesz, to idź swoją drogą, i bez ciebie mam dziewczek wiele zechcę.... Tfu! głupia!...

I odwołując psa zabierał się wyjść znowu na sugłówek.

W tejsze chwili Hanka płakać przestała, nieokreślona boleść ścisnęła jej serce, patrzyła za odchodzącym, jak za snem jakimś cudnym, rozwiewającym się pod tchnieniem

srogiej rzeczywistości; łkać przestała, ale po jej zbielałej twarzy toczyły się łzy duże, jak grochy, a jasne niby brylanty.

— Panie! — zawołała nagle zbliżając się do oddalającego się Aleksandra. — Pamiętajcie, że ja i mój stary życie byśmy za was dali.... Pamiętajcie o tem.... Zostawcie tylko nas w spokoju, zostawcie!... Cześci mej nie tykajcie, dla was to zabawka, a mnie śmierć.... Cześci!...

— Tfu!... Dość tego!... — zawołał panicz. — Zostawię ci twą drogocenną cześć, zostawię.... O to głupia!

Wyszedł na drożynę, otrzepał pył z kłosów kukurudzianych, który mu osiadł na odzieniu i krzywiąc w sardoniczny sposób usta, szepnął sam do siebie:

— Brawo, Olesiu!... Melodramatyczna scena w kukurudzie.... Swoją drogą bestyjka śliczna, muszę Błażnickiemu powiedzieć, żeby z nią w bliższe pertraktacje wszedł.... Musi mieć babsztyl temperament.... No, Knajp się uśmieje dopiero.

I nawołując psa skierował się w stronę zamku.

Hanka, pozostawszy sama, przez długi czas nie mogła opanować wzruszenia, które przejęło cały jej organizm; krew w niej krążyła gwałtowniej niż zazwyczaj, serce biło jak młotem, a oczy przesłaniała mgła jakaś dziwna, która nie pozwalała jej rozróżniać dokładnie najbliższych nawet przedmiotów. Bezsilność jakowaś opanowała całe jej ciało; czuła się jakby złamana nadzwyczajnym wysiłkiem; pracować dalej nie mogła; jak martwe ciało usunęła się ku ziemi i legła pomiędzy łądygami krzaczastej kukurudzy. Promienie słoneczne prześlizgujące się pomiędzy szerokimi liśćmi i muskające jej zapłakaną twarz nie robiły jej zgoła przykrości, blaskiem swym upajały ją. Sparłszy głowę na obnażonych po łokcie rękach pograżyła się w upajającym, na wpół bolesnym, na wpół rozkosznym dumanii.

Zwycięstwo jakie odniosła nad sobą samą, nad krwią swą wrzącą, radość jej pewną sprawiało; czuła, że postąpiła dobrze, sumienie jej to własne mówiło, czuła jednak i to, że gdyby on, ten piękny, ten jasny był natarczywszy, gdyby powtórzył swój uścisk, gdyby silniej jego ramiona opasały jej kibić, — to uledez by mu

była musiała, nie znalazła by była sił na odparcie tej tak rozkosznej pokusy.

Nie wątpiła, że postąpiła dobrze, jednak lęk ją jakiś chytał, czy on nie pomyślał, że i ona pała doń taką nienawiścią, jak jej mąż, obmierzły Ambroży.

— Czym ja mu to dokładnie powiedziała, czy on mnie zrozumiał, że niebam mu gotowa przychylić? — pytała w duchu siebie samą. — Wszelkiego dobra mu życzę, ale cnoty swej poświęcić dlań nie mogę, nie mogę.... Żadna Zurkowska nie była jeszcze pańską nałożnicą.... Nie! nie! nie!

Na tę samą myśl, przeraziła się tak strasznie, że zerwała się na równe nogi przeżegnała się ze strachem jakimś przesyadnym i że zdwojoną energią zabrała się do przerwanej niespodziewanem zdarzeniem pracy.

Kupy wyciętych łądyg zwiększały się z każdą chwilą, świerszcz polny dalej nucił swą monotonną piosnkę — brylantowe iskry błyskały na lśniących, szerokich liściach — a w sereu młodej kobiety wrzała bez prze-

stanku bezwiedna walka obowiązku z namiętnością

Przez kilka następnych dni nie zmieniło się nic w osadzie starego Jana; Ambroży jak zwykle najczęściej przebywał po za domem i zjawiał się li po to, ażeby głód zaspokoić. Czasami przychodził w towarzystwie różnych bardzo podejrzanych figur; temu towarzystwu Hanka teraz rada nawet była, uwalniało ono ją od wymiany, choćby kilku słów z nienawistnym mężem; stawiała przed przybyłymi misę pełną jadła i odchodziła mileżąc do komory.

Stary Jan posmutniał bardzo i był prawie tak samo mileżący jak jego córka; godzinami całemi dwoje tych ludzi przesiadywało obok siebie nie mówiąc ni słowa; nie mieli wreszcie potrzeby postugiwania się mową — porozumiewali się doskonale, wzrokiem.

Nad całą okolicą zawisła jakby ciężka chmura gradowa; wszyscy czuli, że atmosfera jest dziwnie dusząca i przygnębiająca, bardziej myślący przeczuwali zbliżającą się

burzę i przygotowywali się na jej przyjęcie w rozmaity sposób.

Ambroży w pięć dni po owem zebraniu „na taborzysku“ oświadczył staremu Janowi, że wybiera się na kilka dni do Kamieńca; Jan ani mu radził, ani odradzał, ani pytał nawet, po co jedzie, skinął głową, dając w ten sposób znak, że nowinę przyjął do wiadomości. Hance nie uważał mąż za stosowne powiedzieć, że opuszcza dom na kilka dni, wyjechał nie skinąwszy jej nawet głową, — boleści jej to jednak nie sprawiło, przyjęła to jako rzecz całkiem zwyczajną.

Po wyjeździe Ambrożego, Kociurbowa, Szarugi i kilku jeszcze innych, najgorliwszych zwolenników procesu i wojny z dworem, lament się wszczął w całej okolicy, po wszystkich osadach szlacheckich.... Wszyscy teraz winę zwalali na nieobecnych; wszyscy twierdzili, że gdyby nie oni, to nigdy by było do wojny z dworem, do procesu z dziedzicem nie doszło. Narzekano na zaciętość młodego pana, na niesumienność jego doradców i zauszników, zamęczano Odrowąza prośbami o pośrednictwo, a równocześnie odsądzano od czci i wiary nieobecnych podżegaczy....

Grozę położenia zwiększało jeszcze i to że od kilku dni jeździł od osady do osady Błaźnicki w towarzystwie *sadiebnego przystawa*¹⁾ i wręczał czynszownikom kopię wyroku senackiego, zapowiadając, że od przyszłego marca mają się zastosować ściśle do brzmienia tegoż.

Na trzeci dzień po wyjeździe Ambrożego, kałamańka, wioząca Błaźnickiego i sądowego urzędnika, zatrzymała się przed bramą Janowej sadyby. Starzec siedział na przyzbie przed chatą i znać się modlił, bo usta jego były wciąż w ruchu, choć głos się żaden z nich nie dobywał. Hanka była w ogrodzie, zajęta zrywaniem dojrzałych wiszeń.

— Niech będzie pochwalony... — przemówił pierwszy Błaźnicki, uchylając urzędowej czapki, którą zawsze nosił, chociaż prawa już do tego nie miał.

— Na wieki wieków! — odparł starzec, i wstając z przyzby, ruchem ręki zapraszał przybyłych do środka chaty.

¹⁾ egzekutora sądowego.

— Reszenije ¹⁾ wam przywozimy senackie — przemówił suchym, monotonnym głosem urzędnik — przyjmijcie jeden egzemplarz i dajcie zaraz podpisę ²⁾ że pamięszecie ³⁾ czynsz płacić będziecie regularnie, w sumie, jak to reszenije oznacza.

— Dlaczegoż wasze błagorodie ⁴⁾ wręczacie mi ten papier, kiedy ja z dworem nigdy się nie prawował? Pańska ziemia była pańska i jest, co pan płacić każe, to zapłacę, a jak nie zmożę, to sadybę dworowi zostawię.

Skończył stary Jan i westchnął ciężko, boleśnie.

— Z wami, panie Janie — wtrącił do rozmowy Błażnicki — możnaby trochę inaczej tę sprawę załatwić.... Widzicie pan hrabia....

— Jaki hrabia? — spytał z niekłamaniem zdziwieniem starzec.

¹⁾ Wyrok.

²⁾ Zobowiązanie..

³⁾ Dziedzicowi.

⁴⁾ Wielmożny Panie.

— No, nasz hrabia, nasz dziedzic, nie minie pół roku a w geroldyi ¹⁾ przyznają mu sprawiedliwe ruskie hrabstwo.

— Nie nie wiedziałem — odparł lakonicznie Jan.

— Otóż uważacie, panie Janie — mówił po krótkiej przerwie Błaźnicki — pan hrabia bardzo sobie życzy, aby, przez pamięć na wasze usługi dla nieboszczyka pana chorążego, coś dla was zrobić.... To jest, tak tego.... Żeby nie ten wasz Ambroży.... To jest, żeby tak może wasza córka poszła prosić o przebaczenie dla męża, to, kto wie, możeby dla was zostawiono osadę po dawnej cenie.

— Mało się czem turbować — przerwał mu Jan, machnąwszy niechętnie ręką — córka moja żebrać nie pójdzie, a ja nie chcę być ani lepszy, ani gorszy, niż inni.... Wyrok przyjmuję, i zobowiązanie płacenia podpiszę....

— To niech się pan Jan załatwi tu z panem prystawem — rzekł pospiesznie Błaźnicki — a ja tymczasem muszę

¹⁾ Wydział heraldyczny w ministerstwie.

pójść do naszego wózka, mam tam jeszcze znaleźć jakieś stare papiery dla pana prystawa.

Mówiąc to, Błaźnicki znikł z izby. Nie poszedł jednak do wózka, tylko rozglądając się na wszystkie strony, począł podkradać się chyłkiem ku małej furtee, która wiodła do sadu i ogrodu warzywnego. Szedł niby nie patrząc się przed siebie, niby zmierzając w inną stronę, jednak w kilku chwilach znalazł się tuż obok Hanki, zajętej zrywaniem wisień.

— Co za śliczna osoba! — zawołał z udanem zdziwieniem, zdejmując czapkę i pochylając przed młodą kobietą głowę.

Hanka popatrzyła nań z najwyraźniejszym obrzydzeniem; iskry gniewu błysnęły w jej oczach; hamowała się jeszcze jednak — milczała.

Błaźnicki milczenie to pięknej kobiety wziął za przyzwolenie do prawienia jej komplementów; zachęcony więc tem, mówił dalej:

— Anioł poprostu, nie dama!... Żebyście pani Anno wiedzieli, że gdyby was tak w suknię jedwabną ustroić a zaprowadzić w klub, tobyście het głowy pozawracali.... jej *Bohu*

pozawracali i sprawnikom i pułkownikom i generałom nawet.

— Idźcie panie swoją drogą, nie macie do mnie interesu, — odrzekła Ambrożowa pospiesznie, hamując do czasu rosnący w niej gniew.

Oburzenie w niej rosło jednak z każdą sekundą; oczami mierzyła śmiałka tak, że każdy inny byłby się cofnął przed wybuchem; Błażnicki jednak był niedościgły w bezczelności.

— Czy mam interes? a może i mam! — mówił powoli, jakby drożąc się ze słowami. — Mam! mam! nawet nie swój.... Mam interes od dziedzica.... od hrabiego do was.

— Kłamiecie! — szepnęła Hanka, głosem, w którym czuć było boleśń prawdziwą.

— *Jej Bohu*, mam! — zawołał tryumfująco Błażnicki, i pochylając się ku niej szeptać zaczął tajemniczo: — Od wczoraj bez rozumu od was chodzi, bez rozumu; wołał mnie i powiada: „Błażnicki, jedź i powiedz jej, że co zechce to jej dam, pół majątku dam, tylko żeby ona mnie polubiła....“ *Jej Bohu*, tak gadał.

Hanka stała tak przerażona słowami pańskiego zausznika, że słowem nawet nie umiała odpowiedzieć na jego zuchwałą mowę. Czuła, że serce się w niej kraje, nie mogła uwierzyć w żaden sposób, żeby uwielbiany skrycie przez nią panicz, ideał jej duszy — używał takiego, tak ohydneho pośrednika.

Błaźnicki jej milczenie brał ciągle za zgodę na jego propozycję, kuł więc żelazo póki gorące.

— Złotem was obsypie — mówił — perłami obwiesi, jedwabiami, atłasami odzieje.... Panią będziecie nad paniami.... No, powiedzcie, kiedy on was zobaczyć może, gdzie mu naznaczycie miejsce na spotkanie....

Ostatnie słowo zausznika przepełniło szalę cierpliwości młodej kobiety, sprowadziło ją od razu do rzeczywistości, dało jej samowiedzę tego, do czego ją ten pokątny doradca namawiał; z cichej, w boleści i zwątpieniu pogrążonej kobiety, zmieniła się w mgnieniu oka w lwicę rozżartą; dłoń jej niby błyskawica mignęła w powietrzu i z niezwykłą w kobiecie siłą spadła na gładki, wygolony policzek Błaźnickiego.

— Precz mi z oczu wężu ohydny — zawołała w najwyższym oburzeniu — Precz! precz!.... Podły, najpodlejszy *posipako!* — Łżesz, żeby cię pan tu po to przysłał! Łżesz! Łżesz! Bóg was pobije sprawiedliwy, za to, że młodego panicza omotaliście jak pająki muszkę niedoświadczoną!... Precz mi z oczu, precz, precz!...

Przerwała, bo głosu już jej nie stało z oburzenia i gniewu.

Błaźnicki stał jednak ciągle; uśmiechał się poufale i gładząc zaczerwienioną od uderzenia pół twarzy, szeptał cicho:

— W pysk dostać od damy to nie subiekcyja dla kawalera.... Wiem, że to często się zdarza.... Proszę was, nie krzyczcie tak bardzo bo stary może usłyszeć, a on jeszcze z dawnych, ma staroświeckie przesady.... Powiedźcie, gdzie się hrabia może z wami zejść?

Teraz na Hankę przysłała kolej osłupienia; podobnej bezczelności nie spotkała nigdy, nie miała nawet wyobrażenia o możliwości jej istnienia.

— Powiedźcie: gdzie? gdzie? — pytał uparcie zausznik.

— Precz! precz!... Pójdź precz psie najpodlejszy! — wołała odchodząc prawie od przytomności i schwyciwszy długą żerdź leżącą na ziemi, zaczęła nią okładać głowę, plecy i ramiona przestraszonego Błażnickiego.

— Masz tobie za posłannictwo! Masz, za pośrednictwo!... Ot tobie schadzka! Ot Kochanie!

Zdumiony adwokat począł co tchu zmykać ku furtce, rozszalała gniewem kobieta pędziła za nim i okładała go coraz mocniejszymi razami.... Szary wielki pies przyłączył się do gospodyni i ostrymi zębami próbował trwałości materiału na ubraniu Błażnickiego.

Niefortunnej tej rejteradzie przypatrywali się tylko *prystaw* i furman; stary Jan pozostał był w izbie i nie wyprowadzał urzędnika do wrót i bryczki.

VII.

Ambroży i jego towarzysze powrócili z Kamieńca nie nie zrobiwszy.

Przez cały tydzień chodzili od jednego dygnitarza do drugiego; byli u wszystkich prawie głośniejszych adwokatów; — wszędzie im powiedziano: że przeciw wyrokowi senatu nie ma apelacyi, że nie pozostaje im nic innego jak umówić się polubownie z dziezicem, prosić go o zmiłowanie.

Dalecy jednak byli od tego.

O ujemnym wyniku swych starań nikomu nawet nie wspomnieli, przeciwnie rozpowiadali głośno, że losem szlachty woynałowskiej zainteresował się bardzo sam gubernator, że obecnie wyjeżdża na urlop, lecz kazał im zgłosić się z tą sprawą za miesiąc i wówczas na seryo ją rozpatrzy i wspomnienie da napewno.

Dwór, a właściwie Błażnicki, dworski pełnomocnik, nie próżnował w tym czasie; wytoczył od razu aż sześć procesów u sędziego pokoju, o zaległe raty czynszowe tym opornym, którzy zobowiązania podpisać nie chcieli; na podstawie wyroku senackiego wygrał je wszystkie w przeciągu dwóch tygodni. Wyroki miały być najdalej do miesiąca wyegzekwowane; zboże, dobytek, nawet odzienie dotkniętych tym wyrokiem miały być wystawione na sprzedaż w celu zaspokojenia przyznanej dworowi należności; egzekutor sądowy pospisywał ruchomości i nadzór nad nimi oddał przełożonemu chłopskiej gminy w Woydałowie.

Wszczął się lament straszny. Spokojniejsi, pracowitsi, głośno wyrzekali na „buntowników,” na „podżegaczy;“ przeklinali ich postępowanie i tłumnie cisnęli się do dworskiej kancelaryi z prośbą: by im dano do podpisania zobowiązanie płacenia czynszu, po cenie naznaczonej wyrokiem senatu. Uparci zaciekli się jeszcze srożej; odzywały się tu i owdzie groźby, że na zaciętego dziedzica spadnie cały szereg plag, tak srogich, jak

te, któremi Bóg starał się zmięczyć zakamieniałe serce egipskiego Faraona.

Szaruga częściej już teraz pijany niż trzeźwy, chodził od karczemki do karczemki i do spotkanych tam przypadkowo przemawiał, zapowiadając przyszłe klęski.

— Posucha pola mu wypali — perorował zazwyczaj — pomor zajdzie na jego stada, ogień niebieski, deszcz ognisty popali mu folwarki.... Pustynia zostanie na tem miejscu.... Pustynia!... Bóg pokarze tego Nabuchodonzora!... Tak, tak, Nabuchodonzora! Nabuchodonzora!

Powtarzał po kilka razy; znać to nazwisko biblijne, o istnieniu którego dowiedział się niedawno od Kociurby, nadzwyczajnie mu się podobało.

— Nabuchodonzor pójdzie precz — wołał zataczając się — pójdzie trawę gryźć po uboczach!... A szlachta szlachtą zostanie!... Cesarz sam wie, co szlachta znaczy!... Słuszny czas jej wyda.... Nad chłopami chamami znowu nam da panowanie, harap nam w rękę wściubi.... harap! harap!

I wygadawszy się tak do woli, upony nadzieją świetnej przyszłości i sporą

dozą wódki, skłaniał zazwyczaj głowę pod ławę żydowską i zasypiał snem.... bydlęciami.

Kociurbów pozornie podniecał do trwania w oporze; nie szło mu to jednak. Próba zebrania kilkuset rubli na koszta apelacji do samego cesarza spelzła na niczem; nie było już łatwowiernych, którzy by dali złapać się na plewę. Z nieprzejednanymi znosił się cichaczem; nie odmawiał nigdy, kiedy go gdzie chcieli utraktować „barakami“ lub „ratafią“, pił jak bąk i przybierając tajemniczą minę opowiadał na wpół pijanym szlachlicom, że ustroi dziedzicowi taką niespodziankę, że ten „aż capki stanie“! — Groźba ta najmocniej trafiała do przekonania....

— Capki! capki! — wrzeszczał wówczas Szaruga. — Tak, capki!... Niech nam żyje pan hadwokat Kociurbów!... Niech go stawi capki!... Hura!... Hop!

I podskakiwał zataczając się na wszystkie strony.

Najeczęściej schodził się Kociurbów z Ambrożym, ale podczas tych schadzek wódki nie pili, i szeptali tak cicho, że gdyby nawet i podsłuchiwał ich kto, to nie mógł by słyszeć ich słów.

Również często, w austeryi u Arona w najbliższem miasteczku, w wielkiej tajemnicy spotykali się: pan Kociurbów z panem Błażnickim; pili wówczas czerwone krymskie wino i naradzali się nad czemś skrycie, tak skrycie, że nawet Małka, Aronowa najstarsza córa, dopuszczona zazwyczaj do wielkiej poufałości z panami „adwokatami“ nie nie mogła z tych narad podsłuchać... Za uczyte stale płacił pan Błażnicki.

Z całej opozycyi najspokojniej zachowywał się Ambroży, nie upijał się teraz prawie nigdy, nie wykrzykiwał i nie groził dziedzicowi zupełnie; błąkał się tylko ustawicznie po pustkowiach i spoglądał w około wzrokiem żarłocznego wilka.

We dworze tymczasem zdarzały się coraz przykrzejsze niespodzianki; administracya nie mogła sobie dać rady ze szkodnikami; stary rządcą wściekał się z gniewu, obiecywał znaczne wynagrodzenie za odkrycie psotników; napróżno jednak.

Szkodom i przykrościom nie było końca, a z dniem każdym były one boleśniejsze. Zaczęło się od tego, że pewnego dnia odkryto, iż dwa najwspanialsze dęby w parku zam-

kowym sechnąć zaczęły, podpiłowane zbrodniczą ręką; równocześnie poschły róże sztamowe, przed samymi oknami sali jadalnej; ogrodnik z rozpazą skonstatował, że przyczyną uschnięcia było podlanie krzewów roztworem witryolu.

Pan Aleksander wybuchał gniewem, groził służbie, że porozpędza wszystkich, a Niemców na ich miejsce poprzyjmuje, jeżeli nie wysledzą sprawców tych psot i szkód ustawicznych.

Wkrótce się przekonał, że pilność choćby największa nie tu nie pomoże. Wyżeł jego ulubiony, wspaniały, czarny „Pluto“ zachorował nagle i niebezpiecznie. Wszczął się sądny dzień w zamku; sam baron Knajpp polecił do najbliższej stacyi kawaleryi i z tamtąd przywiózł weterynarza; za nim jednak nadjechali psia dusza „Plutona“ wróciła do Hadesu... Pan Aleksander rozpaczał jak po stracie najszczerzego przyjaciela; dla zbadania przyczyny śmierci kazał zrobić weterynarzowi obdukcję, która wykazała, że pies został struty mięsem nasyconem arsenikiem.

Przy obiedzie tego dnia panowała straszliwie przygnębiona atmosfera; dziedzie

siedział z pochmurzoną, zasepioną twarzą, wszyscy milczeli ponnro. Weterynarz, którego na obiad zatrzymano, pragnąc pocieszyć pana zamku, zapowiedział, że mu takiego samego psa dostanie; usłyszał niemiłą odpowiedź: „że choćby sam się w psa zamienił, to ani w dziesiątej części nie byłby tak mądry, jak przedwcześnie zmarły „Pluto“.

Błaźnicki, za próby rozweselenia pana swoimi płaskimi konceptami, został złąjany od kpów i błaźnów....

Jedną tylko szklanę wina wypił dnia tego pan Aleksander, i to na przypieczerowanie przysięgi, że krwawo się zemści na sprawie śmierci ukochanego „Plutona“.

Po obiedzie weterynarz zaraz odjechał, „goście“ zamkowi, przerażeni złym humorem pana, pokryli się w gościnnych pokojach, a pan Aleksander, kląnąc głośno, wyszedł do swej kancelaryi z zamiarem napisania listu do handlarza psów w Wiedniu, by mu co najrychlej wyżła najlepszego przysłał. Jeszcze nie zaczął pisać, gdy eicho, ostrożnie, na palcach, wsunął się do pokoju Błaźnicki.

— Czego chcesz, głupcze? — zawołał młody pan, podnosząc nań zagniewane oczy.

— Przyszedłem jaśnie hrabio....

— Daj mi pokój z tem hrabstwem! Sam wiesz najlepiej, że hrabią nie jestem i nie będę.... Nie ośmieszaj mnie przed ludźmi do reszty.

Mówił to młody dziedzic w najwyższym gniewie; zerwał się przy tem z krzesła, i chodząc dużymi nierównymi krokami po zaścielającym pokój dywanie, szeptał niby sam do siebie, niby do Błaźnickiego:

— Po co całą tę hałastrę trzymam?.... Kazio ma rację, że oni mnie wyzyskują tylko, okradają i ośmieszają w dodatku.... Cała ta sprawa ze szlachtą! Ta śmieszność z hrabstwem! Tu stanął przed zmięszanym i zdziwionym zausznikiem i krzyknął mu prosto w ucho:

— Tobie to mam, zacny panie Błaźnicki, zawdzięczać.

— Jako Bóg na niebie — zawołał pospiesznie, drżącym ze strachu głosem, Błaźnicki — tak sprawa z tą przekłętą szlachtą pójdzie doskonale; a jaśnie wielmożnego pana heraldya, nim pół roku upłynie, uzna prawdziwym hrabią.... Najśluszniej się to jaśnie panu należy.... Najśluszniej, sam doku-

menta ułożyłem.... Trochę tylko marnych kosztów na to pójdzie.

— Żadnych kosztów nie będzie! — przerwał mu gniewnie pan Aleksander — rozumiesz, żadnych!... Grosza ci już złamanego nie dam!... Hrabstwo schowaj sobie.... Ha! ha! ha!... Hrabia Błażnicki!... To będzie ładnie brzmieć.... Słuchaj, musisz zostać hrabią, inaczej z zamku cię psami wyszczują.... Ha! ha! ha! Będę miał barona i... hrabigo..., hrabiego.... Błażnickiego....

— Jaśnie pan żartuje — szepnęła nad wyraz pokornie przyszły hrabia — a ja mam ważny, aktualny interes do łaski jaśnie pana.

— Jaki? — Pewno pieniędzy potrzebujesz?...

— Nie dla siebie jaśnie panie! Nie dla siebie, na sprawę skarbową — mówił stary filut, starając się głosowi swemu nadać jak najśłodsze brzmienie. — Muszę z Odessy sprowadzić ze dwóch agentów tajnej policji, ażeby te psie sprawki odkryli.... Przystępców musimy oddać sądowi.

— Grosza nie dam! — zawołał porywezo dziedzic. — Rozumiesz, grosza nie dam.... Nie dam tobie!... Sam to załatwię....

Rozumiesz panie Błaźnicki, nie tobie nie dam.... Jesteś do niczego.... Przypomnij sobie: sprawa ze szlachtą.... te szkody ciągle.... no i.... polecenie co do Hanki.... Ha, co?... Ładnieś się spisał!

— Niech mnie zaraz do tury zamykną! Niech mnie w katorgę zeszlą, jasny grafie — wołał z rozpaczą prawdziwą Błaźnicki — jeżeli ja tu co winien.... Rób tu jak najlepiej. Nie wierzy mi jaśnie pan, proszę spytać *sudiebnego prystawa* jak mnie ona uszlacheiła.... Czart nie baba!... Takiej nie spotkałem jeszcze.... Wola jaśnie pana, co do tych agentów, ale ja bym radził użyć mego pośrednictwa w tej sprawie, taniej to urządzę.

— No, ruszaj za drzwi — huknął niecierpliwie pan Aleksander — i nie nawijaj mi się kpie na oczy, dopóki cię sam nie każę zawołać.... Pamiętaj!... Może być źle!...

Błaźnisio bez szelestu wysunął się z pokoju i poszedł dumać o niesprawiedliwości ludzkiej.

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ! — szeptał sam do siebie. — Na

pstrym! na pstrym!... Czekaj paniczu, jeszcze ty mnie prosić sam będziesz

Nazajutrz po tej niefortunnej audyencji pana Błażnickiego u dziedzica, był zwykły tygodniowy targ w pobliskim miasteczku. Woydałowski „plenipotent“, jak zwykle, tak i tego dnia już o dziesiątej rano znalazł się na rynku miasteczka. Miał tam pełno interesów do załatwienia; każdemu z obecnych na rynku pisarzy *wotosnych*¹⁾ miał coś do powiedzenia; *starostow*²⁾ z sąsiednich wsi zapraszał do austeryi Arona i traktował na swój koszt, za to wypytywał się ich o różne, najdrobniejsze szczegóły, odnoszące się do ich wsi.

Wreszcie musiał się porozumiewać z właścicielami kilku sąsiadujących z woydałowskim kluczem szlacheckich majątków, w imieniu których prowadził procesa z dziedzicami.

Około pierwszej z południa wszedł tylnem wejściem, przez stajnie do alkierza Aronowego domostwa, gdzie czekali nań niecier-

¹⁾ Gminnych.

²⁾ Naczelników gmin wiejskich.

pliwie: Kociurbów, Ambroży i pianusieńki już Szaruga.

Kociurbów, z wielką ezołobitnością przyjął pana Błażnickiego.

— Ludzie dobrzy — mówił do obecnych szlachciców — uprosiłem pana *registratora*¹⁾ o to żeby z wami tu pogadał.... Mówiłem już wam, że on nie po swojej woli proces prowadzi.... Czyj chleb je, tego piosnkę śpiewać musi.... *Skaczy wraże, jak pan każe!*... On sam jest z naszych, dla narodu biednego krew by swą wytoczył....

Szaruga poskoczył ucałować pana *registratora* w ramię; Ambroży z pewnem niedowierzaniem mu się przypatrywał.

— Nie myślcie panie Ambroży — mówił Kociurbów dalej — żebyśmy tu na was jakąś zasadzkę czynili.... nie! Pan *registrator* tak samo naszego Nabuchodonozora nienawidzi jak i nasz brat, służyć mu musi, bo inaczej z głodu by marł.... Co prawda panie Błażnicki, że nie bardzo stoicie za tym waszym grafem.... Co ?

¹⁾ Niski stopień urzędowy.

— Czy ja za nim stoję? — zawołał z oburzeniem Błażnicki. — Za czartem bym lepiej stał, niż za nim.... ludojadem.... Wezoraż, z błotem mnie zmieszał, od świń i bydłał zwymyślał!... Na moje sumienie! Ot, tak za to, żem adwokat nie rajfur!

— Opowiedcież panie Błażnicki jak to było — podchwycił szlachecki zastępca prawni — opowiedcie!

— Opowiedziałbym, żeby nie pan Ambroży — odparł, spoglądając na Pinkasiewicza. — Cała sprawa najwięcej się ich tyczy.... Nie mogę, dyskrecya!... Zawsze ja temu bisurmanowi służę.

— Powiedźcie! powiedźcie! — prosili wszyscy trzej razem.

— Jak już tak bardzo prosicie, to powiem.... tylko wymawiam sobie, panie Ambroży, żeby z tego użytku urzędowego nie robić.... To sekretna sprawa; wam powiem, bom człowiek religijny i wiem, że męża przestrzedz należy.

— Mówcież raz, panie! — zawołał niecierpliwie Ambroży, przysuwając się tuż do starej sofy, na której rozsiadł się Błażnicki.

— Krótka historia! — odrzekł pytany. — Graf przywykł żyć jak sułtan turecki; gdzieś tam waszą żonę zajrzał, i woła mnie wczoraj do siebie, powiada: „panie Błażnicki, znacie Pinkasiewiczową?“ — ja odpowiadam: „znam, i czemu bym nie miał znać, w domu-m a nich nieraz był“, a on na to: „panie Błażnicki, staraj się pan namówić ją, żeby ona tu do mnie... do altany zajrzała“ — a musicie wiedzieć, że ta altana u tego poganina, to niby seraj turecki; tak ja jemu na to, ale już ze złością wielką: „szukaj pan sobie innych sługusów, fagasów do tego, ja panie adwokat, ja panie sprawiedliwości zwykł bronić, a nie cudze żony do grzechu podmawiać.“ — Zbeszcześcił mnie on szelma potem, omal że ręki na mnie nie podniósł, dał pokój dopiero, gdy mu przypomniał, że ja nie pierwszy lepszy, że ja przecież *kolegski registrator*, i piętnaście lat służyłem Bogu i cesarzowi.... Ot wam historia, kiedyście chcieli.

— Hankę chciał podmawiać.... — szepnął jakby nieprzytomnie Ambroży.

— Niech mnie Bóg skarże, jeżeli mi żelgał na drobinę; co do słowa prawda

święta.... — prawil dalej, gestykulując żywo Błażnicki. — Wam to mówię, żebyście oko mieli.... Widzicie, nie każdy ma tak delikatne sumienie, jak ja, łagasów różnych w zamku jest mnogość.... Radzę uważać!.... Choć ja panią Hannę za cześną kobietę trzymam, to zawsze uwaga nie zawadzi. Dyabeł nie spi, panie Ambroży, oh! nie spi!

— Będę ja już pilnować! — przemówił przez zacięte usta Pinkasiewicz. — Popilnuję ja ich! Niech mi się który koło osady nawinie, to mu się odechce spacerów.... odechce!

— Panie registrarze! — przerwał nagle tę groźbę Kociurba, zwracając się do Błażnickiego — serce macie, jak wosk miękkie, i ludzka niedola was mocniej obchodzi, niż co innego.... Pewno, że dobrze jest przestrziedz Pinkasiewicza.... Pewno! to chrześcijańskie dzieło, ale tu nam idzie o wszystkich, tu o całe *obszczestwo* ¹⁾ chodzi! Umyślnie prosiliśmy was, żeby się tu naradzić: co nam dalej czynić?

¹⁾ społeczeństwo, gmina.

— Nie mnie się radźcie, ja adwokat przeciwnej strony; słabe miejsca w sprawie znam.

Pomiłujcie nas biednych, zgarbionych, potyranych.... — błagał pijany Szaruga, nachylając się po raz wtóry do ramienia nadymającego się kauzyperdy.

Ambroży nie zwracał nawet uwagi na rozmowę; pograżył się w jakimś bolesnem dumaniu, prawą pięść to otwierał to zamykał, niby łapiąc muchy lub dusząc kogo w wyobraźni, z ust zaciśniętych mimowoli wyrzywały się urywane słowa:

— Hm!... Gadzina fałszywa!... Gdzie się oni zwęchali?... Sam psi syn po pod osadę jeździ; przez płoty zagłada.... Dam ja im! Oh, dam!... Popamiętają Ambrożego Pin-kasiewicza....

Odgłos przemowy Kociurbowa zagłuszył słowa Ambrożowego monologu, a nawet wyrwał go z tej zadumy.... Zaczny obrońca pokrzywdzonych i nieszczęśliwych mówił:

— Nim co postanowimy, nim pana registratora uprosimy żeby nam dopomógł, to trzeba przecież coś przekąsić, czegoś się napić.

— Coś przekąsić, czegoś się napić! — powtórzył jak echo, Szaruga, powtórzył za nim i Ambroży, a nawet najszanowniejszy Błażnicki szepnął:

— Coś przekąsić, czegoś się napić!

— Małko! Małko! — zawołał Kociurbów przez drzwi wiodące do izby szynkowej — Małka, *lubuniu*, chodź tu!

— *Czto wam ugodno?*¹⁾ spytała, zjawiając się we drzwiach, mała przysadkowata, pulchna, lecz przytem dziwnie brudna żydóweczka.

— Chodźże serce bliżej! — zapraszał Kociurbów.

— *Nie nužno?*²⁾ — odpowiadała łamanym rosyjskim językiem żydóweczka, śmiejąc się przytem zalotnie. — Obejdzie się! Ja i z drzwi dosłyszę, czego panom potrzeba.... Pewno śledziów, sardelków, szczupaka marynowanego, wina, haraku....

— Ho! Jak z książki czyta!... Ty Małka mogłabyś gubernatorem być, taki w tobie rozum! mówił śmiejąc się Kociurbów

1) czego wam potrzeba?

2) nie potrzeba.

bów i powoli zachodził tak, żeby się znaleźć pomiędzy drzwiami a żydówką; nagle poskoczył naprzód i objął ją w pól.

— Zostaw pan! Po co te głupstwa! — wołała, dziwnie przyciszonym głosem napa-stowana niewinność. — Niech pan mnie zostawi, ja nie do tego.

— Puście ją Iwanie Timofiejewiczu! — przemówił poważnie Błażnicki. — Nie nam się w takie rozpusty wdawać!... Na to Pan Bóg grafów stworzył... Nasz brat *trudoliubiwij* pracować musi... Każe jej przynieść ryby faszzerowanej, flaszkę wódki, kilka kwart wina besarabskiego i dalej do rady, bo czasu drogiego szkoda.

— No ruszaj! — krzyknął Kociurbów, puszczając żydówkę z objęć i klepiąc ją poufale po łopate. — Poczekaj *lubuniu*, jeszcze ja cię dostanę!

Żydówka uśmiechnęła się i spoglądając zgoła niesrogim wzrokiem, odpowiedziała:

— Zobaczysz pan, że się do jakiejś biedy doigrasz, jeszcze mój ojciec zobaczy!

Wszyscy obecni, nie wyjmując zamysłonego Ambrożego, wybuchnęli głośnym śmiechem; Małka znikła za drzwiami.

Wkrótce, przy pomocy *miszuresa* nakryła stół obrusem bardzo podejrzanej czystości, ułożyła cztery fajansowe talerze, szklanki, butelki, kieliszki i wyprowadzona przez Kociurbowa znikła znowu za drzwiami.

Błaźnicki teraz sam wstał, obszedł w około cały alkierz; popatrzył czy między betami na łóżku nie został jaki żydziak; zajrzał do izby szynkowej i dopiero potem drzwi na zaszczipkę zamknął.

— Daj nam Boże lepszych czasów dożyć! — przemówił pański plenipotent.

— Dajże nam Boże Nabuchodonozora się pozbyć! — dorzucił Szaruga, któremu teraz oczy żywiej zabłyśły na widok lampek pełnych osłodzonej wódki.

Wszyscy wychylili ten pierwszy toast jednym haustem; i zapanowało znowu przez chwilę kłopotliwe milczenie. Ambrożemu tylko czoło się marszczyło w grube poprzeczne bruzdy; z oczu buchała zaciekłość jakas głucha.... Obaj reprezentanci sprawiedliwości i Szaruga zajadali zawzięcie szczupaka i śledzie; Ambroży jadła nie tknął, tylko na pełne butelki pożądliwie spoglądał.

— No, teraz wypijemy zdrowie wysoce szanownego pana registratora Bazylego Andrzejewicza Błaźnickiego — przemówił znowu pierwszy Kociurbów, nalewając po raz wtóry lampki. — Niech nam żyje! Niech nam da mądrą radę!

Błaźnicki powstał, spojrzął w około, uśmiechnął się trochę pogardliwie i zwracając się głównie do Ambrożego, przemówił:

— I mnie i wam krzywda się stała; mój honor zaszargał, proponując mi takie dzieło..., na waszą cześć nastawał, a może w myśli nastaje i dotychczas.... Zemścić się nam należy!

— Ale jak? Jak? — zawołali wszyscy razem.

— Czekaście! — prawil dalej mowca — wykurzyć go ztąd trzeba, jak lisa z jamy; wszystko potem dobrze pójdzie.... Uważajcie tylko — tu nachylił się ku słuchaczom i wszystkie głowy utworzyły ściśniony wianek w około butelek i szklanek. — Niecierpliw on jest — mówił cicho — jak każde pie-szczone dziecko; te psoty, które mu ktoś tam nieznamomy poczynił, do waryacyi go doprowadzają; jeszcze kilka takich przykrości a

rzuci wszystko i pojedzie.... Mnie zostanie plenipotencya na tę sprawę, to załatwimy ją, jak się nam uda.

I uśmiechnął się znowu chytrze.

Posepna twarz Ambrożego w miarę słów Błażnickiego rozjaśniać się zwolna zaczęła; gdy skończył adwokat mówić, to wyraz zaciekłości zmienił się na tem ponurem obliczu w jakiś uśmiech, na poły radosny, na poły ironiczny.

— Ha, dogryźli mu — szepnął — dobrze! dobrze! Niech wie co to pocierpieć!

— Dogryźli! dogryźli! — odpowiedział z widoczną radością Błażnicki. — Ale dogryźć trzeba lepiej.

— Jak Bóg dopomoże, to dogryzie mu się do syta! — wybełkotał z trudnością Szaruga i wypróżnił pełną szklanę preparatu, zwanego przez Arona „harakiem“. — Dogryzie mu się tak, że on sam gryźć przestanie.... Ho! ho! Zrobimy amen sobaczey wierze! Amen!

Kociurbów odkorkowywał jedną po drugiej butelkę z mołdawskiem winem; współbiesiadnicy w miarę wypitych szklanek nabierali coraz większego zaufania do nowo kreo-

wanego protektora — pana Błażnickiego.... Zacny protektor nie był również zupełnie obojętny na wpływ wypitego trunku; twarz mu się rozpromieniła; małe, w tłustych powiekach zanurzone oczki błyszczały; pochyłony nad stołem szeptał bez przestanku:

— W myśliwstwie mu szkody robić! To mu dopieczę, bo za tem przepada.... Fazany te, zamorskie ptactwo, co ich ten Czech tam w lasku hoduje.... wytruć.... I straszyc, straszyc, co dnia straszyc!

— Hm! hm! panie registratorze — przerwał nagle Kociurbów z pospiechem, zdradzającym, że nowa myśl zrodziła się w tej dzielnej głowie. — A gdyby tak, dla przestraszenia.... tak liściki mu podsyłać, liściki z groźbami.... Tak naprzykład afiszkę mu podsunąć, na drzwiach przylepić.... He, co wasza łaskawość o tem sądzi? Co?

— Nie źle, tylko ostrożnie!

— Dyabła zje, nim dojdzie! Już ja w tem; Szaruga w tem! — wrzasnął prawie, projektem tym z półsnu przebudzony pijak.

— Cicho! cicho! — przestrzegął Błażnicki.

Przeestroga nie na wiele się zdała, bo rozbudzony Szaruga coraz głośniejszą zaczął wykrzykiwać, czem przerażony Błażnicki na seryo o odwrocie pomyślał. Wypił jeszcze resztkę butelki lepszego wina, którą miał obok siebie pod stołem umieszczoną; pożegnał się czule z „kolegą“ Kociurbowem; Ambrożemu z największą serdecznością uściśnął rękę i szepnął mu, że na niego tylko rachuje, bo ten Szaruga to bydlę — i bez szelestu wyniósł się tylnymi drzwiami z alkierza.

Gdy szanowny plenipotent odszukał na targowicy wózek, konie i parobka, to czemprędzej ulokował się na siedzeniu i kazał jechać do zamku. W czasie drogi pan Błażnicki marzył i snuł projekta.

— Hm! ten Ambroży jak raz się mi nadaje — myślał, kiwając głową w takt potrząsania wózka — o babę zazdrośny to wymyślać będzie, co naszemu mleczakowi naj-srożej dokuczy.... Hm, a ten znowu wścieknie się, rozje do żywego, każe tych *gołodranców* rugować, wyrzucać.... Z każdym czynszownikiem osobny proces rugacyjny.... No będzie zajęcie i dla mnie i dla Iwana Timfiejewicza.... Ten Iwan nie zły sobie czło-

wiek, nie zły.... ot prosto brat po dziełu!... Potraktować kolegę umie.... umie.... Jak ma grosz.

Głowa pana Błażnickiego pracowała podwójnie: i myślą i fizycznym ruchem; kiwała się na wszystkie strony. Pan mecenas w drodze to usypiał, śniąc słodko o „prawdziwym szampańskim“ to budził się gdy wózek stuknął na wyboju w gliniastej drodze. Wreszcie rozbudził się dokładnie, lecz w bardzo bolesny sposób: w czasie drzemki, bezwładne szczęki stuknęły o siebie i na wygimnastykowanym języku pana adwokata powstała dość głęboka rana, a usta napełniły się krwią własną.... Splunął, zaklął, ale nie spał już aż do samego zamku.

W zamku z dnia na dzień panowała bardziej przygnębiona atmosfera; szkodom i przykrościom nie było końca; co rana dowiadywano się o jakichś psotach, których ukryć przed dziedzicem nie było sposobu.

Po wyżle przyszła kolej na charty; z sześciu tych wspaniałych zwierząt, które były przedmiotem dumy pana Aleksandra,

i były za drogie pieniądze sprowadzone z Krymu, przy życiu pozostały tylko dwa, a i te tak ciężko przechorowały, że nie można nawet było myśleć o użyciu ich tej jesieni do polowania.

W kilka dni później poznachodzone po lesie kilka sztuk potrutych sarn.

Baron, zapalony myśliwy, wściekał się ze złości, nie mniej jak sam właściciel; groził zemstą srogą; nocami całemi, uzbrojony w dubeltówkę i rewolwer, błąkał się po lesie, zapowiadawszy: że gdy złapie szkodnika, to bez namysłu w łeb mu jak psu wściekłemu strzeli. Próżny był jednak trud, groźby zgoła płonne; — nawet na ślad zbrodniarzy nie natrafił.

Dawniej tak ożywione obiady i wieczere, przechodziły teraz w milczeniu i smutku. Gospodarz albo milczał, albo odzywał się słowami zatrutemi zniechęceniem i bezsilnym gniewem, tehnącemi bezlitosnym sarkazmem względem nieużytecznych, zamkowych gości. Baron pił dwa razy więcej wina, niż dawniej i podpiszy sobie, wyrzekał na kraj, na podłą rasę, która go zamieszkuje, roz zaczął żale za swą dawną ojczyczną.

— Gdyby tak u nas — mawiał — takie zbrodnie się działy, to całej administracyi kraju użyto by do wysledzenia zbrodniarzy... Ho! ho! Ja u siebie w Knaiphoffie kazałbym już dawno powywieszać takich drabów na szubienicy, gdzie dyndają wilki i lisy... Jakem Knaipp z Knajpphoffu, potomek mężnych krzyżowych rycerzy, tak słowo wam honorowe daję, że wisieliby dawno, na poście wron i kruków.

I dane słowo pieczętował pełną szklanką musującego płynu.

— Nie bronię ci! Wieszaj jak złapiesz! — odpowiedział, uśmiechając się ironicznie pan Aleksander. — Wieszaj, a ja nawet wezmę na siebie wszelkie prawne następstwa tej egzekucyi.... Wieszaj!

Po takich słowach baron nabierał dziwnego animuszu, z niesłychaną werwą opowiadał: z jaką srogością w Kurlandyi wykonywano ongi wyroki sądów patrymonialnych....

— A teraz — dodawał ze smutkiem — tę cudowną ziemię, ten błogosławiony, szlachecki kraj schłopiono.... Czart zapanował teraz na świecie! Czart i jego siostra rewo-

lucya!... *Donner und Blitz!* Niech się ziemia wali!

Artysta zaniechał swych nadzwyczajnych planów; nie już nie wspominał o przyszłych dziełach, które mu miały zapewnić europejską sławę, nieśmiertelność, wynieść go nad Siemiradzkiego i Makarta.

Inżynier-górnik, wspierany przez Błażnickiego namawiał do użycia najsrozszych środków, do wysiedlania jednorazowego wszystkich razem czynszowników i rozpoczęcia na wysiedlonych gruntach eksploatacji węgla na wielką skalę.

— Wszelkie wskazówki każą nam mieć pewność że węgiel w ogromnej ilości znajdziemy.... Trzeba więc raz skończyć z tym dziejowym, tradycyjnym sentymentalizmem.... Demokracja — demokracją, własność publiczna — publiczną własnością, nie neguje praw ogółu do prywatnego majątku, ale w tym szczególnym przypadku nawet Lassal nie by mej radzie nie miał do zarzucenia.... Uczciwością ręczę....

— Wieszczy-romantyk mileżał, zadumany posepnie i dnie trawił na pisaniu straszego, pełnego pożaru, mordów, czaro-

wnie i upiorów poematu.... Uśmiechał się tylko tęsknie, a pytany o przyczyny milczenia, odpowiadał lakonicznie:

— Tworzę!... Tworzę romantycznie!...

Zjawiający się w zamku od czasu do czasu obcy goście bywali przyjmowani zimno i oschle, zawadzali snąć tak strapiionemu gospodarzowi jak i jego stałym gościom; stali się też coraz rzadszem zjawiskiem; nad zamkiem wydałowskim zawisła jakby groza jakaś, niby klątwa straszliwa.

Na pana Aleksandra przychodziły teraz dość często chwile ciężkiej zadumy i w duszy jego budziły się niejednokrotnie wspomnienia z dzieciństwa; przypomniał sobie dokładnie, jak ci czynszowi szlacheccy, dziś wrogowie jego zażarci, byli ongi, za życia jego ś. p. matki, najżyczliwszymi zamku przyjaciółmi. I uczuwał żal w duszy za tymi czasami, podrażniona miłość własna, śmiertelnie obrażona duma nie pozwalały mu czynić pierwszych kroków w celu zaprowadzenia nowej zgody — kości były rzucone, wojna trwała dalej.

Pewnego razu w przystępie takich wspomnień, postanowił odwiedzić swego brata ciotecznego — Kazimierza Odrowąża. W do-

mu go nie zastał; pilny gospodarz, pan Kazimierz był w polu przy żniwie, które tego roku w skutek upałów wcześniej się zaczęło niż zazwyczaj; pojechał do niego w pole.

Przywitanie dwóch krewnych było dość chłodne. Pan Kazimierz nie lubił obwijać słów w bawełnę; na skargi Aleksandra odpowiedział: że sam jest winien temu co się teraz dzieje, i dodał, iż uważa tego rodzaju postępowanie za zbrodnię historyczną.

— Do wściekłości mnie doprowadzają! — mówił porywezo woynałowski dziedzie.

— Przewidywałem, że tak rzecz pójdzie — odpowiedział pan Kazimierz. — Podawałem ci możność zażegnania tej burzy! Odrzuciłeś moje pośrednictwo.

— Wdaj się jeszcze w tę sprawę.

— Nie mogę, rzecz za daleko zaszła.

— Dla mnie to zrób! — prosił Aleksander.

— Nie udawaj, Olesiu! — odrzekł poważniejszą nagle Odrowąż. — Po co tu mnie znowu naruszać? Sprawa będzie natychmiast skończona, wygnaj tylko Błażnickiego, szlachtę zwołaj, opuść czynsze, a ręczę ci, że za tydzień będzie spokój zupełny.

— Sam tego zrobić nie mogę!

— A ja nie chcę się narażać na nowe fiasko!

Na tem urwała się rozmowa o tej sprawie. Pan Aleksander porozmawiał jeszcze chwil kilka o obojętnych rzeczach; nie chciał się dać na obiad zatrzymać, i wprost z głuchowskiego łąnu powrócił do zamku.

Ludzie, którzy wzięli sobie za zadanie dokuczać wydałowskiemu dziedzicowi, nie próżnowali ani chwili, każdy dzień znaczyli jakąś przykrością; a wszystkie były tak zręcznie wykonane, że nikt sprawy odkryć nie mógł. Taki nieznośny stan przeciągnął się przez cały lipiec i pół sierpnia.

Dotychczas jedna tylko bażantarnia — czy z powodu odległości od osad, czy z przyczyny, że szkodnicy zapomnieli byli o niej — nie doznała żadnej szkody. Stała się też najmilszym miejscem wycieczek młodego dziedzica. Codziennie prawie jeździł pan Aleksander do ustronnego, wśród szerokich pól rzuconego lasku, i tam popołudniowe godziny spędzał; bawiły go bardzo małe, niezgrabne ptaki, biegające za swemi bonami — głupiami indyczkami; z ciekawością

obserwował, jak podrośnięte już osobniki instynktownie kryły się w zarośla, i udawały dziką zwierzynę.... Obiecywał sobie wiele przyjemności z polowania na nie.

Tymczasem pewnego poranku, Czech bażantnik bez tchu przyleciał do zamku, i z płaczem zwiastował: że i st re indyczki i młode bażanty, powierzone ich opiece, w nocy ktoś wytruł tak, że kilka zaledwie sztuk pozostało przy życiu.

— *Boh bi jeho pobit!* — lamentował Czech zrozpaczony — *Merha sem zatracena, wytroil, wszystkie.... Kriminal sem na neho! kriminal!*

Tegoż samego dnia najranniejszy ptaszek w zamku, poeta Piórkowski, znalazł na wchodowych drzwiach zamku przyklejony plakat z groźbami przeciw dziedzicowi. Plakat był starannie wykaligrafowany, lecz nie-ortograficznie napisany. Grożono w nim panu Aleksandrowi najstraszniejszą zemstą, jeżeli nie wyniesie się z zamku, nie zamieszka „za graniceju“, i nie „odpuści“ wszystkiej czynszowej ziemi „ciepierejszym“ czynszownikom za „durno“.

— „*Nastojaszczij Nabuchodonozorze* — były końcowe słowa plakatu — kajaj się, a w przeciwności, możesz być nawet *liszony* życia, jak *sobaka brieszena* zabity!“

Gwałt się stał w zamku okrutny; dziedzie nie wiedział już za co się gorzej gniewać: czy za szkodę, czy za zuchwalstwo.

W przeciągu godziny wysłano uwiadomienia telegraficzne: do Jagdklubów w Warszawie i Moskwie, do generał-gubernatora, do gubernatora, do żandarmskiego pułkownika.

Błaźnicki dostał rozkaz egzekwowania jak najspieszniejszego wszelkich zaległych czynszów, a w razie niezapłacenia tychże, rozpoczęcia procesów o wysiedlenie... Zaczny zastępca prawny zacierał ręce z radości.

Rozpaczliwe telegramy pozostały w znacznej części bez skutku. Przyjechał tylko *stanowy* i spisał protokół o szkodach woynowskiemu dziedzicowi wyrządzonych, sprawców jednak nie odkrył.

W tydzień coś potem nadjechał JEks. hrabia Arkadyi Emanuiłowicz, od Korony naczynony, guberski marszałek szlachty i zjadł wystawny obiad; ubolewał przed panem Ale-

ksandrem nad brakiem egzekutywy urzędów szlacheckich, przestrzegł, żeby na przyszłość drobnostkami nie niepokoić dostojników państwowych i wygrawszy trzysta kilkadziesiąt rubli od pana Aleksandra w pikietę — odjechał, rad ze spełnienia obowiązku.

VIII.

Od chwili sceny z Błażnickim, Hanka ciągle była rozgorączkowana i nerwowo podrażniona.

Nie obawa następstw tej sceny niepokój ten budziła. Nie! Wiedziała doskonale, że zacy reprezentant prawa będzie milczeć i o swą krzywdę na drodze sądowej upominać się nie ośmieli. Ludzie, którzy widzieli ten despekt pana Błażnickiego, byli zupełnie obcy; odjechali do miasteczka i ani myśleli wspominać o uciesznem zajściu, którego byli świadkami. Zresztą urzędnik był pewny, że widział ostatni, a taki niefortunny akt romansu podstarzałego adwokata.

Wiedziała więc Hanka, była nawet pewną, że uniesienie jej i jego następstwa przejdą bezkarnie, i nie tu leżała przyczyna jej zadumy; zgola inny był jej powód.

— Gdzie jego sumienie było, żeby takiego łotra do mnie... do mnie posyłać?

Bez przestanku zadawała sobie w duszy to pytanie i odpowiedzi nań znaleźć nie mogła.

— Co on sobie myślał, że ja taka jak tamte?

Zapytywała się po tysiąc razy, a smutny, żałosny uśmiech wykwitał w koło jej rumianych ust.

Godziny całe przemedytowała nad temi pytaniami, układając je co raz to inaczej; — zawsze jednak uczuwała jedno: żal, gniew i obrzydzenie dla młodego dziedzica, który ją w tak nizeczny sposób obraził.... Mimo to pragnęła całą duszą oczyścić go w swem przekonaniu od tego zarzutu; nie udawało się 'o jej dość długo; zawsze kończyła swe dumania głośnym wykrzyknikiem:

— Co on sobie myślał?... Co on myślał?

Jak jutrzenką po długiej, ciemnej nocy, tak rozradowało się serce Hanki przypuszczeniem pewnem, które ni ztąd ni z owąd w duszy się jej zrodziło nagle i zgoła niespodziewanie.

— On nie o tem nie wiedział! — zawołała, klaszcząc w dłonie i radując się niesłychanie swem odkryciem. Przypuszczenie to w samej rzeczy rzucało na całe to zajście zupełnie odmienne światło i pozwalało Hance zachować dawny kult dla młodego dziedzica, a uprawniało do tem sroższego potępienia Błażnickiego.

— Łotry psują go na wszystkie sposoby — rozmyślała młoda kobieta. — Rozbijają się na wszystkie strony, żeby mu coraz innych dostarczać.... Pfe!... Hańba na nich!... Mnie ten stary niepoń zobaczył, pomyślał: gratka się trafi! nową panu kochanicę przywidzę!... Nową i ładną!... Niedoczekanie staremu drabowi!

Pomimo tych groźnych słów, twarz Hanka rozpogodziła się rychło, oczy błysnęły, na ustach zjawił się swobodny, wesoły prawie uśmiech, towarzysz kilka razy powtórzonych słów:

— Nową i ładną! Nową i ładną!

Mówiąc to spozierała z uwagą w małe zwierciadełko w ścianę wprawione, jakby badała każdy rys swej twarzy. Nagle jednak uśmiech znikł znowu z jej oblicza, szara

chmura smutku przesłoniła oczy jasne, a westchnienie tłumione, lecz dziwnie bolesne, tęskne, z piersi się wyrwało; w oczach pojawiły się łzy przeźroczyste.

— Co mi po tej ładności? — szepnęła w duszy. — Dla kogo? Po co? Dla tego złodzieja!

I załamując dłonie, pogrążyła się znowu w smutną zadumę. Przed oczami jej duszy odżywały dawne, minione czasy i widziała: wysoki katafalk, setkami jarzących świec obstawiony i blady, martwy trup dobrodziejki spoczywający na nim, hen, aż tam w górze, blisko rzeźbionego sufitu.... I odczuwała teraz znowu, tak dokładnie jak w owym dniu obecność i wzrok młodego pana skierowany na nią ze współczuciem i tkliwością.

Wspomnieniom tym towarzyszyło rozrzewnienie coraz to głębsze, towarzyszyły łzy gorące a słodkie.

Myśli kłębiły się w jej głowie niby chmury w gorący, upalny wieczór letni, przed burzą nocną; przesuwwały się jedne za drugimi wszystkie zdarzenia z jej krótkiego, a jednak tak już smutnego życia; a wszę-

dzie wśród różnych twarzy widniało wyraźnie klasycznie piękne oblicze młodego pana.

Zerwała się z ławy i biegnąc prawie po izbie zawołała rozpaczliwie:

— Boże zmiłuj się nademną! Zmiłuj się! Na pokuszenie nie wódź!... Bez grzechu nigdy nie mogłam być jego! Nigdy! Nigdy!

I usiadła znowu, padła bezwładnie prawie na ławę, zmożona straszną walką duszy; usta jej wykrzywiły się ironicznym, przykrym uśmiechem a z ust wyrwały się mimowolne słowa:

— Bez grzechu! Bez grzechu!... Cha! cha! cha! Czyż to nie sroższy grzech, być żoną, żoną, oh! żoną znieawidzonego.... Tamto grzech! grzech!... A to nie!

I śmiała się spazmatycznie, nieprzytomnie, jak śmiać się zwykli szaleni i pomieszani.... Ból zaćmił w niej na chwilę jasność umysłu, ubezwładnił duszę, zatrął serce.... To, co dotychczas przywykła była uważać za grzech — wydało się jej teraz cnotą prawie; na odwrót dotychczasowe czyny jej, przez księdza proboszcza oceniane jako cnoty — zdały się jej teraz ohydnyimi,

obrzydliwymi, przeciwnymi naturze występ-
kami.

Wzdrygnęła się, jakby ujrzała gad
obrzydliwy i zerwała się z ławy, jak szalona
wybiegła do ogrodu, by zająć się co prędzej
pracą jaką, bo czuła, że dłużej nie wytrzy-
ma, że wraz z temi myślami do mózgu jej
wejdzie szal, że stanie się ofiarą gwałtownego
obłąkania

Podobne chwile, podobne straszne za-
dumy coraz częściej zdarzały się jej teraz —
była prawie ciągle sama. Stary ojciec, zła-
many ostatnimi wypadkami, posmutniał do
reszty i całymi dniami częstokroć słowa nie
przemówił; od świtu do nocy przesiadywał
w pasiece, a bardzo często i na noc tam zo-
stawał, zjawiał się w chacie raz na dobę,
aby coś zjeść i zabrawszy trochę suchego
chleba do torby powracał do swoich uko-
chanych owadów.

Mąż z każdym dniem stawał się jej
obrzydliwszym i był przyczyną jej obaw i zmar-
twień.

Ambroży, powróciwszy z Kamieńca zdzi-
czał do reszty; jak wilk drapieżny włóczył

się po lasach, przyszedłszy na chwilę do chaty, nie odzywał się do nikogo ani słowem; a z jego ponurych oczu i zaciśniętych ust widniała zaciekleść straszna, bezlitosna.

Wieści o szkodach, jakich doświadczał pan zamku, budziły w duszy Hanki gniew straszny, tem straszniejszy, że bezsilny. Przeczuwała, że sprawcą tych przykrości był jej własny mąż, nie jednak na to poradzić nie mogła; nie wiedziała nawet na pewno; nigdy go na gorącym uczynku nie podpatrzyła.... A gdyby nawet tę pewność miała, gdyby na własne oczy wiedziała, to co?... Czyż miała sama oskarżyć i świadczyć przeciw własnemu mężowi?... Błędne koło otaczało ją coraz ciasniej!

Po owej uczcie w miasteczku, w towarzystwie Błażnickiego i Kociurbowa Ambroży powrócił do chaty dysząc zimną, ponurą wściekłością. Podszedł wprost do żony i patrząc jej badawczo w oczy zapytał powolnym, dobitnym głosem:

— Przyznaj się, czyś już stała się nałożnicą dziedzica?

Pod wpływem głosu i spojrzenia męzowskiego, młoda kobieta skamieniała pra-

wie; żaden muszkuł nie drgnął w jej twarzy, tylko z nieruchomych prawie ust wyszło ciche, bezdźwięczne słowo:

— Nie!

W słowie tem było tyle prawdy, że nawet ogłuszony wściekłym gniewem mąż odczuł tę prawdę i uwierzył w dotychczasową niewinność żony. Uczuł jednak również i to, że posądzenie, jakie jej w twarz brutalnie rzucił, nie wywołało nawet jej oburzenia; zaprzeczyła tylko, nie rozgniewała się, że ją mógł o to posądzić. Szczegół ten wzmógł jego gniew do zenitu; bijąc kulkami w stół zaczął wrzeszczeć jak szalony:

— Nie! nie! wierzę, że dotąd nie...

Ale gadzino i to wiem, że zdradę w sercu chowasz.... Nie dbam o ciebie, nie żonaś ty mnie, już tylko kłoda do nogi ucepiona; możesz sobie robić co chcesz i poczynać jak ci się podoba; możesz się za *sałdatami* powlec, płakać po tobie nie będę!... Tylko mówię ci, że jeżeli cię zdybię z tym poganinem, jeżeli się przekonam, żeś mnie z nim zdradziła — to i jemu i tobie śmierć! Śmierć! śmierć!

Słowo to wymawiał tak, jakby się rozkoszował samym jego strasznym dźwiękiem,

z naciskiem ponurym... Echo pochwyciło tę straszną groźbę i powtórzyło po kilkakroć:

— Śmierć! Śmierć! Śmierć!

Ambroży tymczasem nacisnął kaszkiet na tył głowy, zaklął pogańsko, trzasnął drzwiami i wyszedł z chaty. Hance ciągle się zdawało, że echo powtarza:

— Śmierć! Śmierć!

To tylko słowo utkwilo jej tak w duszy.

Minęły godziny długie, ona siedziała bez ruchu, zmartwiała; cisza panowała w izbie, tylko pod piecem świerszcz się odzywał, a Hance się zdawało że i ten nawet przyjaciel samotników grozi jej, grozi młodemu panu:

— Śmierć!

Zwolna zaczęła zachodzić zmiana w stanie duszy młodej kobiety — przerażenie ustępowało, a na jego miejsce wstępowała rozwaga; Hanka zaczęła kombinować: o ile groźba Ambrożego względem dziedzica może być urzeczywistniona?

Postawiła to pytanie i wnet przelekła się go sama; przypomniła sobie w tej chwili wszystkie psoty i szkody, wyrządzone panu

woydałowskiemu, i to wykonane z taką piekielną zręcznością i przebiegłością, ze sprawnością wilczą, wężową.

— Cóż im jednego człowieka zgładzić?

Rozważała dalej, i czuła, że zimny pot wystąpił jej na czole, obejmował jej pierś białą i kibić wyniosłą; dreszcz zimny, straszny, wstrząsnął całym jej systemem nerwowym: serce zdawało się przestawać bić krew krążyć.

— Co począć?

Pytała sama siebie rozpaczliwie a w odpowiedzi oczy jej zabłyśły niezwykłym ogniem, pięści zacisnęła konwulsyjnie, usta jej rozwarły się mimowolnie i wyleciały z nich słowa ostre jak brzytwy:

— Nie dam mu zginąć! Ostatni potomek naszych panów, ja go obronię, przestrzegę! Niech się dzieje, co chce!

Hanka w tej chwili odkryła po raz pierwszy ścieżkę, po której idąc, mogła oszukać siebie samą; nie ostatniego potomka starożytnego rodu woydałowskich panów postanowiła ona w tej chwili bronić, ale człowieka, którego wbrew swej woli, wbrew nawet głosowi sumienia ukochała po nad

wszystko na świecie, po nad własne życie, po nad dobrą sławę nawet.

— Niech się dzieje co chce! — powtórzyła z zaciętością, i wnet układać zaczęła w myśli sposoby, któreby mogły doprowadzić ją do świadomości, jakie właściwie niebezpieczeństwo grozi dziedzicowi.

— Oni się zmawiają, naradzają — snuła dalej przędzę swej myśli — muszę się dowiedzieć, nad czem oni radzą?

I od tego dnia, jak cień, za Ambrozym zaczęła się przesuwać trwoźna, nieśmiała postać jego żony. Oddalona o kilkaset kroków, miewała oczy swe płonące, roziskrzone, utkwione w męża; umiała śledzić niepostrzeżona, pełzać jak wąż, podkraść się jak wilk. W miarę zajęcia się tą sprawą, zapomniała o wszystkim, a tylko nią się troskała; dziewczka najęta obiady już i wieczorne sama gotowała, a Hanka szpiegowała męża i jego spółników.... Przez nikogo niezauważana, umiała się przyklejać do karczemnych okien i przez szpary wykradać słowa spiskowców; umiała, ukryta w zaroślach, podsunąć się tak do naradzających się, że prawie oddechy ich muskały jej białą

twarz.... Wiedziała doskonale, że gdyby ją mąż dostrzegł, gdyby domyślał się, że go szpieguje, to wpadłby w taką wściekłość, że zabiłby ją z pewnością; pewność ta nie odstraszała jej ani na chwilę; z fanatyzmem dawnych męczenników poświęcała się swemu zadaniu.

Pewnego wieczoru Ambroży przyszedł do domu i siedział tam dłużej niż zazwyczaj, nawet rozpoczął z żoną spokojną rozmowę o sprawach gospodarskich. Hanka dziwnym instynktem przeczuła, że na coś groźnego się zanoszą, że rozmowa męża jest nienaturalna i skierowana do tego, ażeby ją obalamucić; coś w duszy jej szeptało, że przygotowuje się jakiś zamach na życie dziedzica.

Rozmawiali dość długo z sobą; ona pragnęła ukryć swoje myśli, on swoje. Nie udało się im to zupełnie: Hanka domyślała się dokładnie jakie ma zamiary mąż; w umyśle Ambrożego po raz pierwszy zrodziło się posądzenie: że Hanka odkryła ich spisek i wie już szczegółowo, jakie są jego zamiary względem dziedzica.

Gdy dobrze się ściemniało, Ambroży wziął topór w rękę i jak zwykle wyszedł do

lasu. Ona poszła jego śladem; po kilku tygodniach doszła już była do takiej wprawy, że przesuwała się pomiędzy liśćmi nie wstrząsnawszy nawet gałązki najdrobniejszej. Dziś zapuszczali się w najgłębsze leśne ostępy, w strony, w których noga stróżów leśnych nigdy prawie nie powstała.

Po upalnym dniu nastąpiła była noc balsamiczna, woni i szmerów jakichś pełna.... Robaczki świętojańskie świeciły jeszcze tu i owdzie zapóźnionym zapałem miłosnym, świeciły tak jasno, jak tylko ostatnia miłość płonąć może.... Wiewiórki spłoszone krokami Ambrożego umykały z drzewa na drzewo, a długi włos ich ogonów, w srebrnym blasku księżycy, oświetlającym szczyty drzew niebotycznych, zdawał się być popielaty, prawie lśniący biały. — Tu i owdzie spłoszony lis pomykał w dal, lub wilk w niedalekich zaroślach wył krótko, lecz złowieszczo.

Pod stopami Pinkasiewicza łamały się z chrzęstem gałęzie; Hanka szła cicho, bez szelestu, jak chodzą duchy w wyobraźni ludu.

Po trwającym prawie godzinę całą pochodzie, nagle Ambroży stanął i świsnął prze-

rażliwie; nasamprzód z pomiędzy drzew ozwało się echo, przedrzeźniając świst ten dziwacznie, potem rozkrzyczały się ptaki leśne; wreszcie uszu Hanki doszły hasła zupełnie podobne do świstu jej męża. Na odgłos ten Ambroży pospieszył w kierunku przez hasło wskazanym; Hanka posunęła się za nim.

Wkrótce ujrzała blade światelko ręcznej latarki a w jego blasku potężną postać zapitego Szarugi i nędzną figurę Kociurbowa.

Młoda kobieta podpełzała o dwa zaledwie kroki od rozmawiających, przysiadła pomiędzy bujnymi liśćmi paproci i zaczęła podsłuchiwać. Przejęcie się jej sprawą było tak wielkie, że nawet na mgnienie oka nie przyszło jej na myśl, żeby to było nieszlachetnie lub nagannie podsłuchiwać.

— Dyabli ci nadali naznaczać schadzki w takiej pustyni! — zawołał pierwszy Szaruga, gdy tylko ujrzał wynurzającą się z ciemności głowę Ambrożego.

— Licho, nie lichu! — odpowiedział Pinkasiewicz opryskliwie. — Strzedz się trzeba, bo sprawa niebezpieczna.... Ściany uszy mają, a tu pewno nikogo czart nie zanieśie.

W tej chwili wilk zawył żałośnie, a tak blisko, że wszyscy się aż wzdrygnęli.

— Ten nie zdradzi! — zawołał uspokajająco Ambroży, i machnął ręką z lekceważeniem.

— Po co my się tu właściwie zeszli? — zapytał znowu Szaruga.

— Hm! Po co? Po co?... Naradzić się trzeba, co robić dalej? — odparł cicho Ambroży — coraz gorzej się dzieje!... Błaźnicki ponoś nas zdradził, zaległe czynsze ściąga, a to było płaci i na kolana przed dworem pada... Grom by ich pobił!...

Tu przerwał na chwilę i dyszał głośno, niby zmęczony wielką wściekłością, na słowa zebrać się nie mógł; po chwili dopiero przemówił znowu:

— Myślałem, że te ptaki, które mu Szaruga podusił, opamiętają go, iż sobie pomysli, że i jemu tak może być, że da narodowi spokój... Gdzie tam!... Pies jest wściekły i zacięty; podusił jeszcze gorzej; i groźby się nie boi i na swoim chce postawić... Ziemię mu gryść, nie panować!

Ostatnie zdanie wymówił z tak straszną zaciekłością, że pod Hanką aż nogi za-

drżały; zdawało się jej, że w słowach tych słyszy nieodwołalny wyrok śmierci na młodego dziedzica. W tej chwili po raz pierwszy, z samowiedzą uczuła, że go kocha po nad wszystko na świecie i za światem, że jest gotowa na wszelkie poświęcenia, byle go tylko ocalić.

— No, Kociurbów, mądry adwokacie, coż teraz robić radzisz? — pytał dalej Ambroży, upajając się coraz mocniej nienawiścią i zemsty pragnieniem. — Mów! mów! Kto teraz będzie górą; czy ty z prawem, czy my z nożem?... No, mów!

— Cicho, milcz! — zawołał przerażonym głosem adwokat. — Za same takie słowa katorga.... Podслуchać ktoś może, i tak coś tam poruszyło się opodal.... Słuchajcie!

Wstał, i świecąc przed sobą latarką przetrząsał sąsiednie krzaki, w celu sprawdzenia swego podejrzenia. Stał tuż po nad Hanką, która zaparłszy w sobie oddech, przyklepła prawie do ziemi; wąska smuga światła padała po nad nią, i oświetlała za ledwie same szczyty olbrzymich liści papro-

ci, w których przestraszona kobieta ukrycie znalazła.

— Jakiego dyabła łazisz? — zawołał, śmiejąc się szydersko, Ambroży. — W całej Woydałowszczyźnie nas trzech jest tylko takich, którzy się nie boją zajrzeć w noce aż tu.... Inni i dniem tę debrę omijają.... Wróć się! Słuchaj!.... Nas trzech, rozumiesz! I może ten czarci syn Odrowąż, ten także się niczego nie boi.... Wróć! Wróć!

Kociurbów wrócił, postawił latarkę na ziemi i siadając obok niej zawołał:

— Żłem się z wami wdał, róbcie co chcecie, ja ręce umywam! Katorgi znać nie chcę!.... Radzę: straszyć, dokuczać, spokoju nie dawać, ale z nożem wara! Rozumiecie!

— Dokuczać, straszyć! — podchwycił Szaruga — tak, tak! Dokuczać!... Ja mu dokuczę; toki są pełne, koguta czerwonego mu puszczyć.... Tak, tak dokuczać, straszyć!

— Ja go nastraszę! — zakonkludował Pinkasiewicz. — Ja go tak nastraszę, że już niczego się na świecie bać nie będzie; ja go nastraszę, nastraszę!

I zaśmiał się tak złowrogo i głośno, że echo odpowiedziało mu tysiącem śmiechów,

a Hance zdawało się, że całe stada szatanów chychoczą się po lesie.... Echo śmiało się długo i głośno, tak że pobudziło sowy leśne i puhaeze drapieżne, i ohydne to ptactwo wtórowało śmiechom tym, tworząc koncert, godny sabatu czartów i potępieńców.

Wstali i rozeszli się; Hanka została przykuta do miejsca grozą tych słów, które słyszała przed chwilą.

Niebezpieczeństwo odkrycia, które jej niedawno tak zbliska groziło, ponurość miejsca i obawa o życie młodego pana sprawiały, że przez dłuższy czas nie mogła zebrać myśli i zastanowić się nad tem, co ma obecnie począć?

Leżała bez ruchu oparłszy rozpaloną głowę na małej kępie mechu wilgotnego; do uszu jej dochodziły, rozplywające się w ciszy leśnej odgłosy oddalających się w różne strony spiskowców; zdawało jej się, że słyszy: i śmiech złowrogi męża i ponure głosy ptactwa i echa te przeraźliwe, ohydne.

— Ja go nastraszę! Nastraszę! —
dzwoniły jej w uszach ostatnie słowa męża, a w ślad za niemi zjawiły się przed oczami wyobraźni straszliwe, krwawe obrazy: czer-

wone pożogi płomienie, czerwone, purpurowe krwi strugi.

W dziwnym tym stanie ubezwładnienia fizycznego i duchowego przeleżała długie godziny, dopiero rosa poranna, która na białych jej skroniach osiadała milionem drobnych krystalicznych kropelek, niby na liściach kwiatu liliowego, przywiodła ją do opamiętania, do jakiej takiej samowiedzy. Wilgotną, chłodną dłonią przycisnęła gwałtownie bijące serce, a dłoń ta rozżarzyła się wnet gorącem, buchającym z jej płonącego łona. Zmysły wszystkie, nerwy wszystkie aż do najdrobniejszego były w stanie niezwykłego napięcia; bezwiednie chwyciły najdrobniejsze objawy przyrody i ryły na płycie pamięci. Pierwsze promienia słoneczne, które przedarły się przez gęste chmury dębowych liści, wydały się jej dziś jaśniejsze jakieś, jaskrawsze; czuła, że muskając ją po skórze ból jej dziwny, nieokreślony sprawiają, niby kłują, niby pieką. Głos krzykliwej wilgi darł jej uszy w ten sposób, że gdyby była mogła, to pod ziemię ukryłaby się była żeby umknąć przed głosem tym straszonym....

Jasność dzienna coraz przenikała cienie leśnej gęstwiny i przynosiła rozstrojonym nerwom biednej kobiety, względny spokój i ukojenie; rodziła samowiedzę i przytomność. Usiadła na kępinie i podparwszy głowę na zroszonych dłoniach, zaczęła rozmyślać. Zrazu myśli kłębiły się w jej pięknej główce, tak chaotycznie, tak obficie — jak wrażenia tej nocy otrzymane; później przerzadzać się z wolna poczęły i z chaosu tego wyłoniła się troska jedna, obawa o życie Aleksandra. W ślad za tą obawą zrodziło się pragnienie uratowania tego młodego życia. Pragnienie w mgnieniu oka zmieniło się w postanowienie.

— Niech się dzieje, co chce — zawołała w duszy. — Ja do zbrodni nie dopuszczę. Ja go uratuję!

I równocześnie pokrzywiona przed chwilą uczuciem trwogi i obawy jej piękna twarz rozpogodziła się i nabrała znowu wyrazu klasycznego spokoju i rozwagi.

— Zginać mu nie dam! Uratować go muszę! — powtarzała bez przestanku i rozmyślać poczęła: jak to zrobić potrafi?

Układała jeden plan po drugim, a każdy wydał się jej za słaby, za połowiczny, nie wiodący wprost do celu.

— Sama go przestrzegę! — szepnęła w końcu tak cicho i lekko, że nawet usta jej nie drgnęły. — Przestrzegę go sama — snuła swe myśli dalej — prosić go będę: niech uchodzi, niech gdzieś daleko wyjedzie, mnie tymczasem każe załatwić sprawę ze szlachtą.... Prosić go będę, prosić go będę na kolanach, nogi jego całować.... Niech ucieka, niech życia swego młodego nie naraża.... U nóg jego pełzać będę.... Zrobię co zechce!

Gdy ostatnie zdanie, jak jasna błyskawica po zasępionym widokręgu przebiegło przez jej mózg, uczuła że twarz jej oblała się gorącą falą purpury, że płomień jakiś palący pierś jej objął całą, że prąd jakiś rozkoszny, niby strumień słodki a upajający przepłynął od mózgu aż do najdalszych kończyn ciała; pochyliła znowu głowę na wilgotnych mechów posłanie, a dłonią przycisnęła rwące się z piersi serce. W pamięci jej stanęły znowu żywo wszystkie te chwile, w których widziała kiedykolwiek młodego

dziedzica; od dzieciństwa aż do ostatniego spotkania — w kukurudzy; wszystkie jego spojrzenia, wszystkie słowa uprzytomniły się jej teraz najdokładniej.

To ostatnie spotkanie, kiedy tak strasznie przeraził ją swą natarczywością, nie budziło już w niej takiego wstrętu, takiego panicznego strachu jak wówczas. Przez dziwną halucynację zdawało się jej teraz, że on znowu nadchodzi, że widzi przed sobą profil jego piękny i oczy błyszczące; czuje jak ramię jego obejmuje jej kibić, jak usta płonące zlewają się z jej ustami w szalonym, namiętnym pocałunku; i nie drży już teraz ze strachu, nie odpycha go ze wstrętem, pomsty Niebios nie wzywa.... Nie! Tylko przytuliwszy się cała drżąca i wzruszona do jego szerokiej piersi, wspina się na palce i szepta do ucha proźbę gorącą, żeby się nie narażał, nie szukał niebezpieczeństwa, bo on jej droższy niż życie, nad uczciwość, nad zbawienie....

— Boże, sądz mnie! — zawołała głośno, zrywając się z zielonego posłania — Sądź mnie, sądz!... Uratować go muszę!... Zrobię co zechce!

I szybko jak sarna spłoszona poczęła się przedzierać przez zarośla ku bardziej uczęszczanej stronie boru.... Obawa, rozpacz, żądza rozkoszy i upojenia chwilowego, a później choćby śmierci — gnały ją ku płomieniowi.... Przemykała pomiędzy gęstwina-
mi bez szelestu prawie, tylko trącona gałąz-
ka przez chwil kilka lekkim drżeniem zdra-
dzała jej przejście, tylko ciemniejsza barwa
trawy, z której rosę zabrała na swe białe
stopy znaczyła jej ślady; — biegła jak łania
na rykowisko.

Rumiana od zmęczenia, zdyszana przy
biegła do domu.

Dziewka słuszna, gruba, do kloca po-
dobne stworzenie ze zdziwieniem spojrzała
na jej obroszoną spodnicę, na jej nogi po-
krwawione przez gałęzie i ciernie, na jej mo-
kre włosy, a na płaskiej, głupkowatej twarzy
najemnicy zjawił się idiotyczny uśmiech;
małe jej, tłuszczem obrosnięte oczka z cie-
kawością spoczęły na wzburzonym obliczu
gospodyni.

— Mleka wam uprzyżyć? — spytała śmiejąc się ciągle jak zwierzę. — Głodni być musicie?... Hi! hi! hi! Spodnicy szkoda!

— Nic mi nie potrzeba! — odrzekła Hanka ostrym tonem i na myśl, że ją ta dziewczka, to na wpół tylko ludzkie stworzenie, posądza o coś karygodnego, oblała się znowu płonąącym rumieńcem.

— Nic mi nie potrzeba! — mówiła dalej pospiesznym, drżącym głosem. — U tatusia w pasiece byłam; miód i chleb jadłam; głodu nie czuję.... Nic mi nie potrzeba, idę do roboty.

Lżej się jej zrobiło, gdy dziewczka wyszła, usiadła na swem zwykłym miejscu, na ławie i poczęła teraz na zimno rozmyślać: w jaki sposób, bez zwrócenia na to uwagi służby, potrafi się dostać do zamku i pomówi z dziedzicem?

Porządek życia w zamku znała dokładnie; wiedzona ciekawością, rozpytywała się o to: co się w zamku dzieje, wszystkich, którzy tam przystęp miewali; sama nieraz przechodząc obok stawała gdzieś na uboczu i spozierała ciekawie w głąb parku, przyglądając się szalonym zabawom i wybrykom młodych

panów, otaczających dziedzica. Zaciskała wówczas pięści i życzyła im, żeby co najrychlej szatan ich porwał; była pewna, że to oni są przyczyną złej sławy, która otacza osobę pana Aleksandra.

Wiedziała także doskonale, że po obiedzie, około piątej, szóstej godziny dziedzic porzuca całe towarzystwo i z książką w ręku idzie do ustronnej altany w ogrodzie, żeby tam poczytać trochę.... Wprawdzie ludzie wskazywali na niejedną młodą i piękną dziewczynę lub kobietę, szepejąc z cicha, że one zbyt często umilają dziedzicowi to poobiednie czytanie; wzgląd ten jednak Hanki dziś nie odstraszał; była zdecydowaną nawet kosztem swej dobrej sławy, ratować zagrożoną głowę pięknego panicza.

Postanowienie powzięła, plan ułożyła, teraz miała tylko przed sobą cały długi letni dzień do czekania, aż chwila działania nadejdzie. Nigdy jeszcze w życiu tak straszliwie długiego dnia nie przeżyła; włókł się on bez końca, jak dnie nieszczęśliwego skażaćca. Samotność wydawała się jej nieznośną; wyszła była na chwilę do ogrodu, pomagać dziewczę zrywać dojrzałe główki maku;

i ta czynność stała się dla niej nie do zniesienia; szelest zrywanych główek, poruszanych łodyg i liści raził jej słuch boleśnie.... Umknęła co prędzej do izby i zaczęła przygotowywać ubranie, w jakie chciała się dziś ustroić na tę niebezpieczną wyprawę.

Wszystko się jej dziś wydawało brzydkiem i pospolitem; odzienia, które okrzyki podziwu i zazdrości wywoływały z ust sąsiadek, przedstawiały się jej teraz jako brudne i brzydkie łachmany; gdyby mogła była zdjąć na dziś z firmamentu błękit niebios, jutrzeńki różowość i srebrny blask gwiazd, to sięgnęłaby po nie z pewnością, aby się przystroić niemi.

Przerzuciwszy całą skrzynię wybrała wreszcie ciemno-ponsową spodnicę, ciasny welwetowy gorset, złotemi sznurkami obszty i obfity sznur koralii.... Ubranie to miała w dzień przed swym ślubem, w ten dzień kiedy starosta weselny, niosąc kołacze i czarną kurę pod pachą, wiódł ją do zamku prosić o błogosławieństwo.... Pamiętała, że dziedzic unosił się wówczas nad jej urodą i nad jej strojem.

Gdy była tem zajęta, usłyszała, że wrota skrzypnęły, że Ambroży zbliżał się ciężkimi krokami do izby, Twarz jej wówczas pokryła się lodowatą obojętnością; wyjęła pospiesznie kilka jeszcze innych sukien, i systematycznie poukładała je obok siebie na ławie.

— Roboty innej nie masz, łachami ci się dziś bawić zachciało! — zawołał mąż wchodząc do izby i zatraskując za sobą gwałtownie drzwi.

— „Zbiory“ przekładam — odrzekła obojętnie — wilgoć się w chacie zjawiała, trzeba przesuszać.

I podszedłszy do pieca naląła mu, jak zwykle, pełną misę barszczu z wieprzowiną, ukroiła kawał chleba i nie rzekłszy słowa postawiła na stole.

On zjadł mileząc, usta otarł rękawem i nie rzekłszy ani słowa na pożegnanie, wyszedł. Dopiero gdy znalazł się za drzwiami, splunął z gniewem i wyszeptał dosadną kłótwę.

Gdy wyszedł za bramę, Hanka wybiegła za nim i tak długo spoglądała w tę stronę, dopóki nie zniknął jej z oczu na zawrocie drogi, prowadzącej do karczmy „na tabo-

rzysku“. Później powróciła do izby, zamknęła szczelnie drzwi i zaczęła się ubierać.

Nigdy w życiu nie stroiła się z taką starannością : całe ciało zmyła wodą źródlaną, włosy namaściła wonnym olejkiem, który jej ojciec na Nowy Rok od węgrzyna wędrownego był kupił, uczesała się starannie przed zwierciadłem w ścianę wprawionem i we włosy wetknęła kwiat purpurowego astru, zerwany z grzędę, kwitnącej przed samemi oknami.

Nie spieszyła się dziś zgoła ; od czasu do czasu opanowywało ją dziwne jakieś lenistwo, niby ubezwładnienie, niby upojenie ; wówczas siadała i pogrążała się znowu w zadumę. Starala sobie wyobrazić chwilę spotkania z dziedzicem. Myśląc o tem przyciskała dłonią bijące na skroniach tętnice i szeptała w duchu :

— On mnie poszanuje ! Przez pamięć na zasługi mego ojca poszanuje ! Powiem mu, przestrzegę go tylko i pójdziemy każde swoją drogą....

Myślami temi starała się oszukać sama siebie : w głębi duszy czuła, że tak nie będzie ; świadomą była całej swej niemoocy i całej

potęgi namiętności, która ogarnęła, przetrwała jej ciało....

— Niech się dzieje, co chce! — szepiała znowu i stroiła się jak na weselne gody z najdroższym oblubieńcem.

Nim słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, była już zupełnie gotowa. Przejrzała się jeszcze raz w lustrze i sama przyznała, że była dziś dziwnie piękna: Kibić jej wiotka i pierś wydatna, ujęte w cieśń obeśłego gorsetu, mogły o zazdrość przypisać niejedną piękność królującą w salonach stolicy; ponsowe korale i czerwona, w tureckie wzory tyftykowa chusteczka, okalająca jej szyję, podnosiły jeszcze bardziej bladość jej twarzy, zbielełej od głębokich wzruszeń; z pod fałdu chustki przeziarała pierś krągła i świeżo tylko cienką osłoną białej koszuli okryta.... Oczy płonęły jak zorza wieczorna....

Zamknęła izbę, klucz oddała dziewce, mówiąc, że idzie do dalekiej krewny w odwiedziny i dopiero późnym wieczorem powróci.

Do zamku nie poszła zwykłą drogą; udała się tam ubocznymi ścieżkami, wiodą

cemi przez jar, lasem zarośnięty, wprost do parku zamkowego.... Szła chwilami prędko, jakby ją co gnało, to znowu bez widocznej przyczyny zwalniała kroku i spoglądała na otaczającą ją przyrodę uważnie, bacznie, jakby po raz ostatni miała te obrazy widzieć; stawała chwilami i pogrążała się w smutnej zadumie, odżywały wówczas w jej pamięci dawne zatarte wspomnienia dzieciństwa i rzewność ją opanowała dziwna, uczuwała pragnienie uściśnięcia serdecznego i tych lasów zielonych i urwisk tych szarych i strumienia szemrzącego cicho, poetycznie.

Wyszła na górę, minęła przerzedzony miejscami żywopłot i znalazła się pośród niebotycznych drzew starego, zamkowego parku. Serce jej biło z dziwnej obawy; nie przed tem, że ją ktoś tu może zobaczyć i posądzić o to, iż jest kochanką dziedzica.... Nie!.... Bała się tylko, żeby w tej dziwnej altanie, w tej pagodzie chińskiej, zbudowanej przez jednego z poprzednich dziedziców, nie zastała jednej z tych bezwstydných dziewczyn, które chępiły się z tego, że są kochankami młodego pana. Spoglądała na ten dziwacznie połamany i nastrzępiony

dał, i nie miała odwagi zbliżyć się w jego stronę.

Słońce zaczęło już kryć się po za konary lip olbrzymich, gdy Hanka, zdecydowawszy się wreszcie, podsunęła się przez zarośla pod same okna cudackiej budowli. Serce zamierało jej prawie, gdy rzuciła pierwsze spojrzenie przez wąskie szyby okien w głąb i ujrzała tam pana Aleksandra. Wpół siedział on wpół leżał na szerokiej kanapie, obitej safianem; w rękę trzymał w żółty papier oprawną książkę, lecz oczy jego nie spoczywały na welinowych stronnicach francuskiego romansu, tylko błdziły gdzieś po fantastycznych arabskich zdobiących pułap altany.

Młoda kobieta spojrzała raz i wnet zwróciła oczy w inną stronę, a sama cofnęła się w gęstsze zarośla; traciła znowu odwagę; myśli najrozmaitsze przelatywały jej po mózgu i krzyżowały się z przerażającą szybkością.... W dodatku, z sąsiednich klombów obsadzonych bujnie rosnącą *nikocyaną* woń odurzająca tak silnie działać na nią poczęła, że wpadła wprost w pewien rodzaj upojenia.... Spojrzała drugi raz i szepnęła w duszy:

— Muszę! muszę!

Zataczając się na wszystkie strony, niby pijana trunkiem mocnym, przeszła kilka kroków dzielących ją od okna i zastukała w nie z siłą i determinacją. Aleksander podniósł oczy, a ujrawszy w oknie Hanke podbiegł do niej natychmiast i okno otworzył.

— Panie! Jaśnie panie! — wyszeptwała drżącym głosem kobieta — uciekajcie, uchodźcie, chcą was zabić!

— Co? Jak? — zapytał dziedzic i wybuchnął swobodnym śmiechem.

— Chcą was zamordować! Chcą zabić! — szeptała kobieta nierównym, gorączkowym głosem.

— Dziękuję ci, śliczna, żeś myślała o mnie — rzekł młody pan i przechylając się przez niziutkie okno objął kibić Hanki prawem ramieniem i całą jej drżącą postać przyciągnął do siebie.

— Panie, grzech! — szepnęła z głuchą rezygnacją, lecz już nie wyrywała się, nie broniła; z dziwną jakąś, rozpaczliwą czułością przyciskała się sama do piersi młodzieńca; na pocałunki odpowiadała — pocałunkami.

— Chodź tu, opowiedz mi, co mi grozi, kto mnie chce zabić? — pytał panicz szeptem czułym, wśród pocałunków i równocześnie silnemi ramiony z łatwością podniósł Hankę w górę i przeniósł ją do wnętrza altany.

.....
Świt złocił już wschodnią stronę nieba, gdy Hanka opuszczała gąszcze zamkowego parku... Szła odurzona rozkoszą i złamana zwątpieniem. Zdawało się jej, że była to pierwsza noc jej życia, a że teraz rozpoczyna się pierwszy dzień konania, że śmierć już niedaleka.

IX.

Trzydziestego sierpnia dziedzic woynałowski obchodził dzień swych imienin.

Tego roku zjazd gości był większy niż zazwyczaj; wieści o awanturach, jakie działy się w woynałowszczyźnie, ściągnęły znaczny zastęp ciekawych, pragnących się dowiedzieć o głośnych zdarzeniach u źródła; byli i tacy, którzy w ten sposób chcieli wyrazić panu Aleksandrowi swe współczucie; inni znowu należeli do kategorii spieszących tam, — gdzie się dymi z komina.

O godzinie dwunastej w południe pełno już było w zamkowych komnatach. Prym wiódł stary hrabia Sępiński, szambelan cesarskiego dworu i człowiek mający jeszcze z czasów, gdy służył w gwardyi, ogromne stosunki i koneksye w najwyższych sferach. Hrabia był cynik i przez swe świetne formy towarzyskie i wielki wrodzony dowcip, sze-

rzył w około siebie zgniliznę moralną. Stosunki z młodzieżą lubił i często zapominał o siwych włosach, ażeby wziąć udział w gwarnej a wykwintnej pohulance. Wypić mógł bardzo wiele, lecz nikt go nie pamiętał w nietrzeźwym stanie.

Dziś był ufetowany; dwór młodego gospodarza i zwyczaj zamkowe przypadły mu bardzo do smaku. Z góry zapowiadał, że Błażnickiego musi odmówić, bo ma kilkanaście strzelb, które źle biją, więc każe mu porozwierać lufy, żeby je w ten sposób ponaprawić.

Z hrabią przyjechał jedyny jego syn, znany od Połtawy po Husiatyn Wicjo Sępiński, głośny z awantur miłosnych i szczęśliwych pojedynków, oficer grodzieńskich huzarów, umiejący w tak dziwny sposób swoją służbę urządzać, że prawie bezprzestannie bawił na urlopie.

Wicek od dawna był przyjacielem Aleksandra i od spotkania przypeminali sobie wesołe chwile, spędzone razem w Warszawie i Wiedniu.

Srebrne naczynia, lśniące kryształy i porcelana wspaniała — porozstawiane na stole

jadalnym zwiastowały: że śniadanie się zbliża. Na bocznym stole omszone butelki stuletniej starki, kilkudziesięcioletniego koniaku lub madery, sąsiadowały ze srebrnymi hełmami angielskiego portera i bursztynowego *ale*....

Całe towarzystwo zebrane w sąsiednim pokoju z niecierpliwością rzucało wzrokiem na przygotowania do śniadania....

— Cóż tam Błażnisiu? — zagadnął, przechodzącego ku kredensowi i dziwnie się dziś spieszącego pieczeniara, pan solenizant. — Nie doczekamy się dziś tego śniadania? Każ dawać prędkiej, bo hrabia się niecierpliwi.

— Ależ mój kochany Aleksandrze — zaprotestował uroczyście siedzący na kanapie obok gospodarza hrabia, i chwytając go za kolano dodał najserdeczniejszym tonem: — tylko ceremonii żadnych nie rób ze mną; uważaj mnie zupełnie za domownika, za krewnego.... Ludzie naszego stanowiska powinni się uważać za braci....

Twarze wszystkich zebranych wyrażały w tej chwili najwyższy zachwyt dla popularnego i łaskawego hrabiego. Pan Meke-tyński, wyschnięty, tyczkowaty szlachcic, któ-

rego celem życia było i jest pochlebianie hrabiemu Sępińskiemu, podniósł oczy pełne wyrazu bogobojnej adoracji i pochylając się ku pulchnemu i jak ksiądz wygolonemu „lordowi“ Cyganowskiemu szepnął tak, że wszyscy słyszeli:

— *Voilà des qualités, qui font... l'homme!... Oh! nasz hrabia jest niedościgniony we wszystkich zaletach towarzyskich... Wszystkie cnoty... l'esprit, la beauté... de...*

Nie skończył, bo przerwał mu młody Cyganowski potwierdzającym kiwaniem głowy i przeciągłem, dziwnie nosowo wymawianem:

— *Oh! oui... oui!...*

Pan Cyganowski był zfrancuziałym Anglikiem; był oryginalnym egzemplarzem, jaki tylko na bujnym podolskim gruncie wyrość może; wnuk zbogaconego magnackiego plenipotenty, syn marszałka już powiatowego, dziedzic olbrzymiej fortuny, wychował się w Anglii, a widząc że typ sportsmana angielskiego przeżył się już u nas, umodelował się zupełnie na wzór przemysłowca lub bankiera londyńskiego.... Był liberałem — whigem; hrabiego Adama, który nosił faworyty

i miał konie wyścigowe nazywał zacofañcem, wstecznikiem, potomkiem ginącej rasy, a sam chciał naród odrodzić za pomocą nadzwyczaj mocnych rosółów; kronika prowincjonalna twierdziła: że w Szelmowcu, rezydencyi rodu Cyganowskich kucharz zawsze wilią z wieczora zaczynał gotować zupę, która miała być podana nazajutrz do obiadu; szczególnie ten robił na niektórych smakoszach olbrzymie wrażenie i z tego powodu pan Munio Cyganowski miał już ugruntowaną opinię człowieka pracującego seryo nad odrodzeniem kraju.

— *Oh! oui.... oui!* — powtórzył kilka razy, a później dodał: — szkoda tylko, że do torysów należy duszą i ciałem....

W tej chwili najniespodziewaniej wnieśli się do rozmowy stojący obok: romantyk Piorkowski i artysta-malarz Alfons Suchekomnaty — Konopiński. Poeta unosił się nad postawą romantyka-hrabiego i twierdził, że w nim leży źródło odrodzenia romantyzmu polskiego.

— Nimb średniowieczny świetlaną aureolą unosi się nad tą romantyczną głową — wołał, wpadając w zapał płomienny — on

znaczyć będzie nam drogę ku sławie, ku odrodzeniu.

Konopiński ciszej wyrażał swe zachwyty, ale zawsze utrzymywał, że hrabia jest „cudownym egzemplarzem“ najszlachetniejszej rasy na świecie, folblutem niezrównanej doskonałości.

Inżynier-górnik Poślisko, słysząc te zachwyty marszczył czoło, i niecierpliwie a gniewnie szarpał kłapcie bujnej brody; był zasadniczo przeciwnego zdania, że względów jednak utylitarnej polityki nie śmiał swego zdania wyrażać.

Baron Kneipł off, od samego rana był tego dnia zajęty; bawił Dolka Rossochackiego i Ignasia Ursyńskiego, obu znanych z tego, że nie pijali innego napitku, jak koniak, wina hiszpańskie, lub starą bardzo dobrą.... Od dziewiątej już ci trzej panowie rozpoczęli grać w bilar, przedmiotem wygranej były kieliszki nadzwyczajnej wydałowskiej madery.... Naturalnie, że partye trwały krótko, a stawki były wysokie, uroczystość dnia wymagała tego.

Punkt o pierwszej skończyli gracze swą partyę i w nadzwyczaj różowych humo-

rach weszli do pokoju obok sali jadalnej, gdzie było zgromadzone całe towarzystwo.

— Olesiu, aniele mej duszy — przemówił rubasznym tonem Rossochacki, opierając swą ciężką dłoń na ramieniu gospodarza — wypilo się dużo, każ-no dawać śniadanie, bo mi dyable ekli w żołądku....

— Daj mu pokój, może czeka jeszcze na kogo — przerwał te nalegania Ursyński....

— Czeka!.... — powtórzył gospodarz i zamyslił się przez chwilę, wodząc wzrokiem z uwagą po zgromadzonych.... Po chwili rzekł wesoło: — Nie! Zdaje mi się, że już wszyscy łaskawi na mnie są.... Ah! prawda, nie ma Kazia Odrowąża, ale to dziwak, i może nie przyjedzie... No, a pani Polankowska zjedzie aż na obiad o siódmej....

— Polankowska przyjedzie?! — zawołało kilku młodzieńców — oh! ty szczęśliwy śmiertelniku; tacy to goście zjeżdżają na twe imieniny!

Pan Aleksander nieznacznie skrzywił się na te objawy uwielbienia dla pani Zofii, a zazdrości względem siebie, i układając

usta do szyderskiego uśmiechu szepnął nie-
dbale:

— Tak, zabawna babina, ciekawy
egzemplarz krajowej hodowli, tylko na nie-
szczęście strasznie już roztrzęsione pudło.

— Brawo! Olesiu, brawo! — wybu-
chnął, zapominając o swej zwykłej powa-
dze pan Munio Cyganowski. — Co za cudo-
wne wyrażenie!.... roztrzęsione pudło!....
*Oh! oui.... Pas de femme chez nous. — Pas
de femme!*

Młodzi ludzie rozśmiali się ironicznie;
wiedzieli bowiem wszyscy doskonale, że pan
Munio na próżno przez dwa lata „palił ku-
ry“ do pani Zofii, jednak, wbrew swemu
zwyczajowi, odtrąciła go ona z niezwykłą
u niej stanowczością.

— Oh! i pan Odrowąż już jedzie —
zawołał Błażnicki, stojący przy oknie. —
Najpoważniejszy gość — dodał z przeką-
sem. — Chłopoman, liberał.

— Kazio jedzie! — pochwycił wiado-
mość gospodarz. — Mateuszu dawać zaraz
śniadanie.

— Powiedz mi mój kochany — zapytał
nagle stary hrabia, biorąc pod ramię gospo-

darza i otwierając pochód do śniadania, czy to prawda, co mówią o Odrowążu? *Pauvre garçon!*... Skutki edukacji terażniejszej... *Vraiment!* Jestem tem zmartwionym... Takie nazwisko!

Na twarzy młodego gospodarza, gdy słuchał tych słów hrabiego zjawił się nagle wyraz niecierpliwości a nawet gniew błysnął przez chwilę w jego pięknych szafirowych oczach, pohamował się jednak wnet i odpowiedział grzecznie ale zimno i sucho :

— Kazio jest czasem oryginalny, czasem widzi tam patryotyzm, gdzie go żaden z nas nie może dostrzedz, ale zawsze jest on Odrowążem, i wolno mu mieć pewne dziwactwa.... Potomek najstarszej i najświetniejszej rodziny w całej prowincyi....

Vous croyez?!... — szepnął hrabia niechętnie i rozmowa urwała się nagle.

W tejże samej chwili Kazimierz zjawił się w sali jadalnej i po kolei witał się ze wszystkimi obecnymi: hrabiemu skłonił się ceremonialnie i znać było widoczny przymus, gdy wyciągał ku niemu rękę na powitanie; dla Dolka Rossochackiego i Ursyńskiego miał tylko zimne skinienie głową połączone

ze zjadliwym uśmiechem; Meketyńskiego i Cygańskiego długo starał się nie widzieć — obu nie mógł wprost znieść. Gdy podszedł do gospodarza, rozjaśniło mu się zaszępienie oblicze i chwytając serdecznie jego rękę szepnął cicho i jakoś rzewnie:

— Przyjm najszczęśliwsze życzenia Oleśiu.... Wszystko pójdzie dobrze.... Dziękuję ci serdecznie, żeś mej prośby wysłuchał.... w bramie spotkałem cały tłum twoich czynszowników, mówili mi, żeś ich kazał zwołać w celu ogłoszenia zniżenia czynszu.... Dziękuję ci!...

Pan Aleksander zmieszał się w pierwszej chwili jakoś dziwnie, oczy spuścił ku ziemi i ani razu nie spojrzął w rozpromienioną twarz swego ciotecznego brata; podziękowania przyjmował tak, jakby się wstydział swego dobrego czynu, jakby obrażały jego skromność i wstręt do rozgłosu.

— Tak! — odrzekł cicho — przyszedłem do przekonania, że tak będzie lepiej; spuszczę im na pięć rubli od dziesięciny.... Kazałem się im zebrać umyślnie dziś, aby tom i ogłosić....

Nie mieli czasu do dalszej rozmowy; przy bufecie gwar panował szalony; szkło brzęczało, bursztynowy koniak i brązowozłocista starka lały się strumieniem; zimne przekąski znikwały z zatrważającą szybkością.... Błażnicki czuł się w obowiązku wypić po kieliszku koniaku do każdego z gości swego chlebowawcy; inni „stali goście“ zamku wstępowali mniej więcej w jego ślady; hrabia tak się rozczulił, że klepał Błażnickiego po obwisłym brzuchu i twierdził głośno, iż Aleksander jest najszcześniejszym z ludzi, bo mu Bóg dał tak dzielnego doradcę....

Jedynym malkontentem był tylko Wicjusz Sępiński i wyrzekał rozdrażnionym głosem na temat: iż szkoda takiej starki i takiego koniaku na ściśle męskie śniadanie.

— Dajcie tu ze cztery dziwamenty, ale takie, jak ja wiem, a zobaczylibyście, co by to było za śniadanie.... Mój papuńcio, chytry starzec, nie rozgniewałby się na pewno za taką dekorację.... Oh! pewno nie.... Znam go tak, jak lichwiarze znają moją pustą kieszeń.

Wejście starego Mateusza z półmiskiem majonezu z węgorza, przerwało narzekania

Wicia; wypił ostatni kielich starki w niezawodne ręce Dolka Rossochackiego, sprzątnął ostatni kawał bułki nasmarowanej obficie sztrasburskim pasztetem i usadowił się do stołu, starając się zająć miejsce jak najdalej od hrabiego-ojca....

— Nudzi mnie mój stary — szepnął konfidencyjnie do ucha baronowi — z wiekiem idyocieję zupełnie; gdybym czuł, że kiedyś we mnie zachodziłaby taka zmiana, to palnąłbym sobie w łeb zawczasu.... Co? Prawda, że świetna myśl Knajppie!... Co?

Knajpp nie odpowiedział na razie, uwaga jego była zwrócona ku wyższej części stołu, gdzie obok starego hrabiego siedzieli, z jednej strony Aleksander, z drugiej Kazimierz Odrowąż; rozmowa tam się toczyła ożywiona, hrabia pobudzony znać dyskusją gestykulował zawzięcie, Odrowąż się uśmiechał ironicznie, Aleksander milczał niezwykle zamyślony; w sali taki gwar panował, że słów rozmowy baron pochwycić nie mógł w żaden sposób.

Po majonezie podano odgotowane trufle do masła, po nich pasztet gorący z ostrym sosem; porter i angielskie piwo nie wielu

znalazło amatorów, większość poszła za przykładem doświadczonego Dolka i piła wina hiszpańskie.... sławną maderę i niezrównane oporto.

Humory podnosiły się z każdą sekundą o cały ton wyżej; Wicio Sępiński zaczął nucić półgłosem żołnierską piosnkę „*oh ty kamaryński muzyk*”; Błażnicki uczuwał nieprzepartą ochotę popisania się solo w kozaku. Twarz gospodarza, zrazu wesoła i jowialna zaczęła się pokrywać teraz chmurą jakiejś dziwnej zadumy, z za chmury tej błyskały czasem w pięknych jego oczach niby ogniki niezwykłego, szalonego humoru, niby zwiastuny figla jakiegoś niezrównanego. Na kilka prób wzniesienia „zdrowia solenizanta“ odpowiedział, że wszystkie „zdrowia“ będą wznoszone przy obiedzie szampańskim winem w obecności nieporównanej pani Polankowskiej.

Nagle wbrew zapowiedziom sam gospodarz powstał, kielich pełen brązowego, złotawo mieniącego się wina wzniosł w górę i donośnym głosem zawołał:

— Panowie! wznoszę toast na pomyślność naszej młodszej braci, braci z krwi

i kości, a młodszych duchem.... piję za zdrowie szlachty-czynszowników na mej ziemi osiadłej, z którymi dziś zawieram polubowną ugodę i czynsz im opuszczam.

W sali zapanowało zrazu głucho milczenie; zanim jednak gospodarz skończył ozwały się szepty i ostre ironiczne śmiechy.

— *Dieu que c' est long!* — szepnął pierwszy pan Mekietyński, spozierając ze zjadliwym uśmiechem porozumienia w stronę starego hrabiego.

— *Du tragique!* — bąknął podnosząc niedbale oczy Dolko i podniósł z najzimmniejszą krwią pełen kielich madery do ust.

— Waryat!

— Oszalał!

— W demagoga się bawi! — wznosiły się ze wszech stron okrzyki.

— Dajcie mu pokój! — ozwał się nagle potężny głos Odrowąża. — Nie wyśmiewajcie go! Spełnia czyn obywatelski, daje wam dobry przykład.

— Czyn obywatelski.... hi! hi! hi! — roześmiał się idyotycznie Rossochacki, stawiając na stole wypróżniony kieliszek. — Czyn obywatelski.... *Oh! du tragique.*

Przerwał nagle, bo spotkał się ze wzrokiem Odrowąża, który iskrami sypał ze swych siwych oczu.

Gospodarz stał ciągle, z podniesionym kielichem w rękę; na jego pięknej twarzy igrał teraz nietłumiony już swawolny uśmiech; był podobny zupełnie do małego chłopaka, wisusa, któremu udało się spłatać wyborczego figla.

— Za zdrowie młodszej braci! — potworzył z naciskiem i kielich jednym haustem wypróżnił. — Za zdrowie nadobnych szlachcianek — dodał po chwili i roześmiał się pełną piersią.

— On drwi — szepnął baron — znam go wybornie! Pewno już jakiegoś figla spłatał.

— Cicho! — wołał coraz głośniejsz gospodarz — opowiem wam dzieje mego czynu obywatelskiego.... Proszę o głos, warto posłuchać!....

Uciszyło się znowu.

Wiecie wszyscy — mówił siadając — że byłem ze swoją szlachtą w wojnie.... Niech ich czart porwie, jak mi byli dokuczali, ale byłbym ich zgmiotł już na pewno.... Tym-

czasem wzięli się na sposób; powtórzyła się historia z Esterką i królem Kazimierzem, fartuszkciem mnie zwyciężyli....

Przerwał na chwilę i powiódł w około tryumfującym wzrokiem; w oczach wszystkich swych gości czytał uwielbienie połączone z naprężoną ciekawością; jeden tylko Odrowąż spochmurniał był jak noc grudniowa.

— Podsunęli mi pośredniczkę w polubownej ugodzie.... *Quel bijou!* powiadam wam — mówił zapalając się coraz więcej — *Elle est gracieuse.... et drôle....* Cudowna! cudowna! *une bouche epaisse et un teint rose....* Cóż, opuściłem tej szlachcie tysiąc dwieście rubli rocznie.... Martens kosztowała mnie przeszłej zimy w Wiedniu pięć tysięcy białów.... Czysty zarobek.... w dodatku Martens nie warta mej Hance rzemyka u trzewika rozwiązać.

Gdy to mówił, twarz Kazimierza przybierała zwolna trupią prawie bladość; próbował kilka razy powstać, próbował głosem przerwać opowiadanie Aleksandra, lecz siły go opuściły, usta odmówiły posłuszeństwa,

gniew szalony i straszne oburzenie paraliżowały mu wszystkie mięśnie.

— Brawo! brawo Oleś! — rozlegały się wołania w całej sali.

— Zdrowie młodej pary!

— Zdrowie cudownej pośredniczki!

— Zdrowie najpatryotyczniejszego obywatela! — wołali napół już pijani goście. I powstali wszyscy i wzniesli napełnione kielichy w górę, wrzeszcząc jak tłum opętanców.

I Odrowąż powstał także i Odrowąż wzniosł kielich w górę, lecz nie wypił go wraz z innymi.

Stała się rzecz niespodziewana, rzecz niesłychana, rzecz która zmroziła krew u większej połowy biesiadników: Odrowąż cisnął kielichem o ziemię, u samych prawie stóp hrabiego szambelana; kawałki szkła i krople wina obryzgały galowy strój dostojnika; a zanim całe towarzystwo zdołało głośno wyrazić swe oburzenie, zaczął mówić tak potężnym i strasznym głosem, że wszyscy mimowolnie umilkli i z drżeniem słów tych zmuszeni byli słuchać:

— Podli! podli! podli! — jak grom huczało po sali. — Niech was piekło pochło-

nie! Gotowicie, dla zysku, dla przyjemności, dla rozkoszy po raz dziesiąty kraj sprzedać... Podli!

— Mój panie! — starał się przerwać mu stary hrabia.

— Milezcie podli! — krzyknął jeszcze straszliwiej. — Słuchajcie! On, mój brat, ta sama krew, uwiódł i zbeszcześcił córkę najwierniejszego sługi naszego domu, człowieka, który wraz z naszymi ojcami krew na polu walki przelewał... Hańba mu! Hańba wam! Gińcie i przepadajcie! Ogień niebieski, pomsta boska zgładzi was z tej ziemi, której pasożytem jesteście...

Urwał nagle, tchu mu w piersi nie stało, dał możność staremu hrabiemu do przemówienia.... Z pewnem drżeniem i obawą starzec otworzył usta i popłynęły z nich słowa, wbrew jego woli, ciche i trwożliwe:

— Panie Odrowąż.... Nie godzi się.... *Je vous trouve parfaitement ridicule.... et.... mal élevé.*

— Milez trupie! — wrzasnął Kazimierz, odzyskawszy głos. — Niech ten dach się nad wami zawali!... Niech was ziemia pochłonie.... Zgnili! podli! podli!

Odwrócił się tyłem i wyszedł powoli, poważnie, zostawiając po za sobą ciszę głuchą; wszyscy ci lekkomyślni i źli poczuli, że byli obecni przy ważnym fakcie dziejowym, zrozumieli, że słów podobnych nie słyszy się codziennie, że zapal taki tylko w niezwykłych piersiach wybucha.

Po kilku chwilach straszliwie kłopotliwego milczenia, stary hrabia pierwszy się odezwał:

— Trzeba śmiałka, brutala, skarcić... wyzywać go ktoś musi....

— Strzela jaskółki z pistoletu!... — mruknął jak echo niemiecki baron, uśmiechając się zjadliwie.... Knajpphoff przez cały czas trwania przemowy Odrowąża patrzył wien jak w tęczę, z zachwytem; w tej spodlonej rozpustą duszy, zadrgały nagle dawne instynkta potomka krzyżowych rycerzy; zrozumiał, że słowa Kazimierza były bohaterstwem i hołd mu w duszy złożył.

— Nie potrzeba wyzywać! — wniósł się do rozmowy, korzystając z chwiloowego milczenia, pan Błażnicki. — Żandarmski pułkownik go wyzwie.... Znadto ten panicz zajmuje się socyalną sprawą.

Mówiąc to, stary pieczeniarsz uśmiechał się podstępnie i z podełba spozierał wokoło, badając, jakie wrażenie jego słowa wywołają w duszy słuchaczów.

— Panicz dawno już broi... czas, czas koniec mu zrobić!

— Milez aspan! — przerwał mu z najwyższem oburzeniem baron. — Chleb pański jesz, wara ci od krytykowania ludzi stojących na takim stanowisku i tak urodzonych jak Odrowąż... Powiadam ci panie Błażnicki... milez!

Błażnicki aż podskoczył na krzesle pod wrażeniem słów barona; z oczu jego małych, świdrujących buchnęły płomienie nienawiści nieokiełzanej; pomimo, że starał się pohamować, nie zdołał jednak zrobić tego w zupełności i z ust jego wyrwały się słowa:

— Hola! hola! Panie baronie, na jednym koniku jedziemy, jednemu panu słuzymy, jednakie prawa mamy.

Twarz Knajppa zmieniła się w tej chwili straszliwie; kurez jakiś wykrzywił mu rysy i połamał tak, że rodzona matka nie byłaby go w tej chwili poznała; zbladłemi, bezkrwistemi ustami przez chwilę napróżno sta-

rał się chwytać powietrze; chciał wołać, lecz na próżno, coś go w gardle dusiło.... Wreszcie z trudnością udało mu się wykrztusić :

— Precz kanalio !... Precz mi z oczu.... precz.... bo.... bo....

— Bo co? — odparł śmiało Błaźnicki i spojrzał baronowi w oczy z całą bezczelnością rozzuchwalonego pańskiego służalca.

Wszyscy uczyli, że straszna awantura wisi w powietrzu; baron, blady jak trup, z drżącymi rękoma i oczami płonącymi jak pochodnie powstał ze swego krzesła; Błaźnicki pobudzał go jeszcze wyzywającym, bezczelnem spojrzeniem.... Niespodziewana interwencya zapobiegła, trudnej już — jak się zdawało — do uniknienia burdzie.

— Błaźnicki za drzwi! — rozległ się, potężny jak dźwięk komendy przed bitwą, głos pana zamku. — Za drzwi w ten moment!

Pieczeniarcz zwinął się prawie w kłębek i w mgnieniu oka znikł z sali jadalnej i wychodząc obrzucił tylko pana zamku a barona tak nienawistnem spojrzeniem, że najmniej biegły fizyognomista byłby poznał, iż padlec ten zaprzysiągł zemstę obudwu....

— Przepraszam panów! — przemówił pan Aleksander, głosem, w którym czuć jeszcze było z trudnością hamowane uniesienie i równocześnie skłonił się w około swym gościom. — Przepraszam! — powtórzył. A zwracając się do barona dodał: — Dziękuję ci Knajpphoffie! Dziękuję!... Zastąpiłeś mnie, ja to sam powinien byłem złać tego kpa.... Szalony krok Odrowąża ogłuszył mnie, nie mogłem się w pierwszej chwili zorientować. — Dziękuję ci!....

Zapanowało znowu grobowe milczenie w sali jadalnej.... Większość gości miała humory strute zupełnie; tak wesoło zapowiadający się dzień, tak świetna uczta zmieniła się w milczące posiedzenie, raczej do posiłku mnichów podobne niż do śniadania wesołej i światowej młodzieży.

Stary hrabia siedział nadąsany i nie odpowiadał nawet na niskie pochlebstwa nieocenionego Mekietyńskiego. Bolko Rossochacki wypijał niezliczoną ilość kielichów staro wino i mrucał po cichu:

— Wino dobre, dobre.... Śniadanie świetne, świetne.... Ale awantura podła....

popsuje trawienie.... *Du tragique! du tragique!*

Poeta był wzruszony; długimi swemi rękoma przyglądał rozsuwającą się ciągle płową swą grzywę i zwracając się do naturalnego swego wroga inżyniera, szeptał:

— Romantyzm nie zginął!... Dzisiejsza scena była żywcem wzięta z romantycznego dramatu!

Inżynier Poślisko, w dziwny sposób godził się dziś w zasadzie z poetą, choć różnił się w zapatrywaniu na szczegóły.

— Pyszna scena! — szeptał pocie do ucha. — Pyszna!... Tryumf zasady demokratycznej w najwyższych warstwach.... Szkoda jednak, że tej szlachty nie wyrzuca, na ich gruntach jest na pewno węgiel i miliony, miliony!... Szkoda milionów.

Szepty, ciche rozmowy i znaczące spojżenia krzyżowały się pomiędzy biesiadnikami do samego końca śniadania.... Gospodarz tylko milczał zawzięcie; po jego zmarszczoneczole, niespokojnych, biegających oczach i nerwowo drgających ustach, poznać można było, że pracował myślą.... W rzeczy samej wystąpienie gwałtowne Odrowąża, którego

байдь co байдь в душы кохаў як брата, зробіло му прыкрось огromнa і разбудзіло в душы вaтпливо́сці; зaпытываў тeрaз сам сeбe: чы прыпадкiем тeн гвaлтoўны запaлeнec, тeн iдeалiстa нeпoхaмoўaны нe мiаў слyшнoсці.... чы нe пoпeўнiў oн.... пaн зaмкy збрoднi дo нeбa o пoмстe вoўaўaцeй?...

Wśród tego hałasu i gwaru wesołej uczty rozdziły się w duszy amfitryona dziwne wspomnienia. Widział się dzieckiem małym, otoczonym całym dworem niewieścim, wśród tego otoczenia dostrzegał postać człowieka okrytego ranami, krwią skrzepłą zbryzganego, odzianego w strzępy łachmanów wstętnych i człowiek ten.... stary Jan Żurkowski, opowiadał krwawe dzieje ostatniej bitwy, śmierci jego własnego ojca na pobojuwisku; człowiek ten z narażeniem własnego życia przyniósł ostatnie pamiątki synowi po ojcu, który padł na polu chwały.... Coś go zaczęło ścisnąć w piersi, duszno mu się robiło, w oczach ciemniało; podniósł wzrok i spojrzął w około, lecz zamiast patrzeć na twarze współbiesiadników widział tylko surowe twarze portretów dawnych dziedziców zamku zawieszane na ścianach jadalnej sali....

Wszyscy oni byli tak dziwnie podobni do jego brata ciotecznego; wszyscy patrzyli dziś nań takim ponurym, rozgniewanym wzrokiem, jak patrzył dziś nań Odrowąż, potomek po kądzieli tych mężnych, tych nieskazitelnych, tych pancernych.

Strach jakiś okropny uczuł nagle w duszy i budząc się z zadumy, zwrócił się do swych gości.

— Mówcie co na miłość Boga!... Mówcie! — zawołał rozpaczliwie. — Siedzimy tu jak mnichy, jak Kameduli!

Mileczenie było odpowiedzią na to rozpaczliwe wołanie; goście zjadali właśnie wspaniałe owoce, podane na zakończenie dzisiejszej uczy.

Mileczenie to dało mu poznać całą drażliwość położenia starał się zmusić do wesołości, starał się mówić swobodnie — nie udawało mu się; coś groźnego, coś tragicznego — tak twierdził Rossochacki — wisiało w powietrzu i truło wszelką wesołość.

Spoglądając w około, spotkał się pan Aleksander ze wzrokiem barona, zrozumieli się w okamgnieniu; Knajpphoff wnet rozpoczął czynić wysilenia, żeby mózdz towarzy-

stwo choć trochę ożywić; opowiadał najrozmaitsze i najdziwaczniejsze epizody ze swego awanturczego życia, z zapalem kreślił obrazy dzikich pustyń afrykańskich i dziewiczych lasów indyjskich, gdzie gnany żądzą wrażeń uganiał się za krwiożerczymi tygrysami i wspaniałymi lwami. Kilku zaledwie z biesiadników zwróciło uwagę na opowiadanie barona, inni pozostali pogrążeni w smutnej zadumie.

Śniadanie się skończyło wreszcie.

Gospodarz powstał i kłaniając się z uprzejmym uśmiechem hrabiemu, zapytał głosem, w którym czuć było sztuczne ugrzecznienie:

— Może hrabia raczy wziąć udział w uroczystości, którą chcę wyprawić moim czynszownikom?... Ciekawa zabawa ludowa!

— *Merci mon cher!*... Mam tego dość na dziś — odpowiedział dostojnik, marszcząc czoło. — Ubawiłem się już dostatecznie... Wiciu! — rzekł, zwracając się do syna — Każ zaprzęgać konie. *Je dois partir a l'instant!*

Wkrótce hrabia odjechał, pożegnawszy bardzo zimno gospodarza; za nim podążył wnet pan Mekietyński i marszałkowiec Cy-

ganowski; pozostali odzyskali wkrótce dobre humory; baron użył wszelkich znanych sobie sposobów na zatarcie przykrych wrażeń.

W kwadrans po wyjeździe hrabiego rozpoczęła się na dziedzińcu zamkowym hu- czna zabawa ludowa.

X.

Od godziny dziesiątej rano, na dziedzińcu wydałowskiego zamku zaczęli się byli zbierać szlachta-czynszownicy.

Wilią jeszcze tego dnia dwóch kozaków dworskich, z rozporządzenia samego pana, objechali wszystkie znaczniejsze sadyby szlacheckie i roznieśli rozkaz pański, ażeby się nazajutrz rano zbrali wszyscy w zamku, gdzie pan w dzień swych imienin ogłosi obniżenie czynszów i położy koniec sporowi istniejącemu od trzech prawie lat pomiędzy dworem a szlachtą.

Poselstwo to sprawiło ogromne wrażenie; nikt nie spodziewał się tak szczęśliwego zakończenia procesu. Byli tacy którzy niedowierzali słowom dworskich kozaków; jednakże ci byli w znacznej mniejszości; większość przywykła zdawna do tego, że słowo pańskie

bywało świętem i wiernie zawsze dotrzymanem — oddali się ogólnej radości.

Noc cała przeszła wśród traktamentu i opowieści o dawnych czasach; Jojna arendarz „na taborzysku“ miał tej nocy targ niezwykle obfity: baryłkę wódki, beczkę miodu.. i trzy beczki piwa wyszynkował przez noc.... Przywiązanie do dworu i do osoby młodego dziedzica wzrosło wśród tych libacyj do tego stopnia, że gdy Kociurbów ośmielił się przestrzegać „panów braci“ żeby nie dali się łapać na plewy i nie szli do zamku, bo ich tam okpią i oszukają; — to wpadła szlachta w taki gniew, że pan adwokat z trudem za ledwie zdołał ujsć przed kijami, kryjąc się do żydowskiej piwnicy.

Ambroży i Szaruga widząc na co się zanosi, opuścili karczmę zawczasu i rozważnie nie próbowali protestować wiedząc, że każde słowo wyrzeczone dziś przeciw dziedzicowi wywoła wprost przeciwny skutek.

Równy ze świtem, karczma opróżniała; szlachcice rozbiegli się po domach, ażeby się godnie przyodziać na tak radosną uroczystość....

Deputacya złożona z kilku najstarszych i najpoważniejszych udała się do Jana Zurkowskiego z prośbą, by dziś raczył szlachcie przewodniczyć i w jej imieniu do dziedzica przemawiać. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu, wydelegowani zastali starego Jana pogrążonego w dziwnym smutku, w czarnej prawie melancholii. Siedział na ławie pod ścianą, opuściwszy głowę i ręce bezwładnie; czoło miał ponuro zmarszczone, a oczy przesłonięte niby mgłą jakąś, niby chmurą szarą, gromami ciężarą.

Po przeciwnej stronie izby siedziała Hanka, biała jak chusta, którą nieboszczykom twarz do trumny obwiązują; z oczu jej rozgorączkowanych buchały żary jakieś nieludzkie; usta miała spiekłe, jak ludzie w długiej gorączce pogrążeni.

Milezeli oboje.... Najemnica tylko krzątała się w około ogniska warząc strawę.

Ambrożego od dwu dni w chacie nikt nie widział.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — przemówili razem wchodzący posłowie.

— Na wieki wieków. Amen! — odparł stary jak echo, nie podnosząc nawet oczu ku mówiącym.

Ci postali chwilę zmieszani i oniesmie-
leni, wreszcie najtrzeźwiejszy ze wszystkich
Teodor Ziobrowski podstąpił bliżej do starca,
pochylił się ku niemu i całując go z naj-
głębszym szacunkiem w ramię, cichym, nie-
śmiałym głosem przemówił:

— Ojczy Janie, radę nam dajcie! Dzie-
dzie przez kozaków ogłosił wielki opust
w czynszach.... Do zamku na ostateczne ugo-
dzenie wzywa.... Bankiet, słyszę, po dawnym
obyczaju, chce szlachcie w dzień swoich imie-
nin sprawić.... Co robić?... Co każecie robić,
ojczy?

Stary podniósł leniwo głowę, popa-
trzył osowiałym błędnym wzrokiem na mó-
wiącego i z widocznym przymusem wykona-
nym na własnej istocie odparł, bezdzwięcz-
nym głosem:

— Idźcie!... Zgodę z panem uczynicie!...
Z dworem żyjcie w zgodzie.... Krew.... Krew
nas łączy!

I znowu opuścił głowę i pograżył się
w dawnej zadumie.

Deputaci spojrzeli na siebie ze zdumieniem; od śmierci nieboszczki Janowej nikt starego w takim stanie nie widział.

— Mankolia go gnębi! — szepnął przez zęby gruby Błażej i wysunął się przed swych towarzyszków.

— Ojcie Janie! — zawołał grubym swym, basowym głosem — ojcie Janie, wszystka szlachta przysłała nas tu, byśmy was prosili o przewodnictwo na dzisiejszy dzień.... Tak jak zawsze, tak i dziś raczcie za nas do dziedzica przemawiać.

Stary rzucił się na te słowa, jakby się gadu wstrętnego dotknął; mgła z jego oczu usunęła się nagle i spojrzął na obecnych ogniście, po dawnemu.

— Pójdźcie z Bogiem! — zawołał głosem, w którym czuć było hamowaną wściekłość. — Idźcie sami! Radźcie już sobie sami.... My.... my.... my zrobiliśmy już wszystko, co zrobić mogliśmy.... Więcej, więcej niż się godziło.... niż można było.... Idźcie, godźcie się, droga utarta!... Zgoda kupiona!

Zaśmiał się sucho, boleśnie i padł znowu bezwładnie na ławę, pogrążając się w letargu duchowym.

Szlachcice nie chcieli jednak dać za wygraną; okrążyli go w koło i wszyscy razem poczęli go błagać:

— Ojcie Janie, nie opuszczajcie towarzystwa waszego.... Ojcie Janie, przemówcie jeszcze raz, może ostatni za okoliczność całą.... Ojcie Janie! Ojcie Janie!

Stary milczał; siedział jak skamieniały, nawet nie drgnął.... Józek Suchocki znudzony znać milczeniem i uporem starego, pochwycił go za ramię i potrząsając niem wołał:

— Janie Żurkowski, stary kompanie, chodź spełnić twój obowiązek, ksiądz nas tu po ciebie przysłał.

W tej chwili stała się rzecz dziwna; Hanka, siedząca dotychczas bez ruchu, nie zwracająca — jak się zdawać mogło — najmniejszej uwagi na przybyłych, zerwała się nagle, jak ranna wilczyca i podbiegłszy ku Suchockiemu, odtrąciła go od swego ojca z taką siłą, że stary, podehmielony szlachciec aż zatoczył się ku drzwiom i omal nie runął pod ławę.

— Ostawcie go raz w pokoju! — zawołała tak rozpaczliwie, że obecni ze zdumieniem najwyższym spojrzeli na nią.

— Ostawcie go! — wołała raz po raz, a twarz jej płonęła, oczy sypały całe pęki promieni, włosy powstały na głowie, niby grzywa lwa rozjuszonego.

— Ostawcie starego! Ostawcie nas wszystkich! — dodała niższym trochę głosem, mitygując widocznie gniew. — Do zamku biegnijcie, łaskę pańską bierzcie, ciescie się, radujcie się!... Nam pokój dajcie! Pokój!... Zapomnienie!

Szlachta zdumiona wyszła.

Ojciec z córką pozostali, pogrążeni w głębokim milezeniu; nie patrzyli nawet na siebie....

Tylko najemnica krzątała się cicho i os'roźnie po izbie i tylko zapóźnione muchy brzęczały, tłukąc się o małe szybki okna, drąc się do jasności słonecznej, panującej na dworze; i tylko stary pies podniósłszy leniwo głowę, wył jak zawsze żałośnie . . .

Okolo godziny dziesiątej zaczęli się czynszownicy zgromadzać na zamkowym dziedzińcu.

Nocna uczta pozostawiła była znaczne ślady na ich marsowych wydatnych twarzach;

policzki u większości były zaczerwienione, oczy błyszczały, gwarzyli głośniej i z większym zapalem niż zazwyczaj.

Wiść, przyniesiona przez niefortunnych posłów, że Jan Żurkowski do zamku nie przyjdzie, przyjął tłum zrazu ze smutkiem; przygnębiła go ona. Wkrótce jednak pogodzili się z tym faktem.

— Teodor Ziobrowski przemawiać będzie! — zawołało kilku naraz.

— Nie! Nie! Teodor za młody! Niech gada Józko Suchocki! — wołali inni.

— Co? Suchocki? Co ta tyka, ten klarynet ma gadać? Nie doczekanie jego! Niech przemawia Błażej Wymiot! Osoba przynajmniej.

— Teodor Ziobrowski najgodniejszy!...

— Głupiście! Józko, choć milczy ale rozum ma za trzech Teodorów.... Zwyczajnie stary człowiek.

— Nie ma do gadania jak Błażej! każdy go na pół mili usłyszy.

Krzyżowały się zdania z niezwykłą zaciekłością i zdawało się, że utarczka ta na słowa musi się zakończyć ogólną bójką.

Wśród hałasu tego, z pośród rozognionych twarzy wysunął się z tłumu ciemnozielony kaszkiet Kociurbowa.

— Panowie! — zawołał, jak mógł najgłośniej. — Poczekajcie! Zastanówcie się! Zdrada jakaś się robi.... Pomyślcie tylko, co to musi być, kiedy nawet stary Jan Żurkowski, największy przyjaciel dworu, nie chce swej ręki do tego dzieła przyłożyć.... Sprzedać was tu chcą jak baranów.

— Precz z nim! Precz z żydowskim adwokatem! Precz ze smokiem, co ludzką krwawicę ssa! — rozległy się gwałtowne wołania ze wszech stron.

— Milez pan, panie Kociurbów! — zawołał porywco Teodor, któremu udało się zapanować nad ogólnym krzykiem. — Jan Żurkowski, chory dziś jest, nam kazał.... rozumiecie — kazał, zgodę z dworem uczynić, kazał z dziedzicem dobrze żyć, kazał, bo powiada, że krew jedna nas z sobą łączy.

— Stary zgłupiał i zbałwaniał z wieku! — krzyczał Ambroży, przeciskając się gwałtem do środka kupy, zebranej w około delegatów i Kociurbowa. — Co wiatr wieje, a on gada to jednaki walor może mieć....

Ludzie — wrzeszczał co raz głośniej — zgody nie czynicie! Krzywdy nasze są bardzo ogromne.... Czekaście! Czekaście! Słuszny czas już nadejść musi! Czekaście! Czekaście!

— Czekaj sam, aż cię do *tiurmy* wezmą! — przerwał mu ostrym syczącym głosem Ziobrowski. — Starego wara ci spotwarzać;... mądry on był i jest i do końca swego wieku mądrym zostanie.... Z nędzy cię gadzino na człowieka wyniósł, do naszego towarzystwa doprowadził.... Wara! Wara na starego Jana tu psy wieszać.

Ambroży odsunął się od Teodora i jakby słów jego nie słyszał, zwrócił się do innej grupy i wołał z rosnącym zapalem:

— Czekaście! Czekaście! Słuszny czas nadchodzi!...

Szaruga pijany jak bela, włóczył się krok w krok za Ambrożym i powtarzał jego słowa:

— Czekaście! Czekaście!...

Hałas, wrzask piekielny i zamęt nieopisany rósł z każdą chwilą; szlachcice kłócili się z sobą co raz zawzięciej; zdawało

się, że lada moment wybuchnie generalna bójka.

Nagle gwałt ustał — zapanowało chwilowe milczenie: oczy wszystkich skierowały się ku bramie, z kąd dochodził odgłos dzwonek i turkot lekkiego węgierskiego wózka. Na wózku ujrzeli wszyscy postać pana Kazimierza Odrowąża; sam powoził ognistymi końmi.

Co żyło poskoczyło ku młodemu panu; cisnęli się do wózka, pehali pod konie i wszyscy razem, głusząc jeden drugiego opowiadali o nowo zaszłych wypadkach.

— Co robić, jaśnie wielmożny panie? Co robić? — rozlegały się ze wszech stron zapytania....

— Ugodę podpisywać, póki czas — odparł Kazimierz pospiesznie i zbierając konie lejcami zawołał: — Rozstąpcie się? Drogę dajcie! I tak się spóźniłem.

Pojechał i wnet znikł w ciasnych drzwiach zamkowego gmachu. Gwar między szlachtą nie ustawał; przeciwnie rósł z każdą chwilą: Kociurbów, Ambroży i Szaruga zwiłali się pomiędzy zebranymi i prosili a zaklinali na wszystko, żeby ugody nie podpi-

sywać, żeby nie dać się złapać na fałszywe słówka i kłamliwą łaskę dziedzica.

— Zobaczycie, co z tego wyjdzie! Zobaczycie! Kontraktami was skrepuje; w poddaństwo się zapiszecie.

Nikt jednak nawoływań tych nie słuchał; życzliwość tłumu była dziś stanowczo po stronie dworu. Wkrótce nawet podżegacze zupełnie musieli umilknąć, bo zjawił się niespodzianie *urządnik*¹⁾ i swą powagą sprawił, że hałas się uciszył; w obec *uradnika* propaganda wydała się Kociurbowowi zbyt ryzykowną; nakazał więc swym poplecznikom milezenie, a sam podszedł do uradnika przywitać się z nim po dawnemu.

Dygnitarz ten jednak coś półgębkiem odpowiadał na czułe słowa pana adwokata; Kociurbów przypisał to tej przyczynie, że dostojnik pełnił służbę, nie wypadało mu więc zdradzać przed tłumem serdecznych stosunków jakie go z adwokatem łączyły.

Klucznica zamkowa tymczasem, kazała porozstawiać stoły i ławy przed oficyną;

¹⁾ funkcyonaryusz policyjny najniższego stopnia.

całe makutry sera, pierogów dymiących i kwaszonych ogórków, były tak silną przy-
nęta, że wkrótce całe zgromadzenie obsiadło
ciasno ławy i zajęło się spożywaniem darów
bożych tak hojnie podanych. Baryłka spiry-
tusu, beczka miodu i kilka pół beczek piwa
były okrasą tej obfitej przekąski.

Sprawa dworu była stanowczo wygrana; nawet nieprzejednany Szaruga pił dworski spirytus i zagryzał go pierogami. Wprawdzie szeptał od czasu do czasu: „Czekajcie! czekajcie!“ ale czynił już to bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania; traktament wpłynął olbrzymio na złagodzenie jego rewolucyjnych dążeń.

Tylko jeden Ambroży nie tknął ustami ani strawy, ani napitku; chodził w koło dziedzińca, ponuro rozglądając się w około. Gdy zbliżył się do budki, gdzie psy podwórzowe leżały poprzypinane na łańcuchach, wyjął z kieszeni kawał chleba, i krawiec go na drobne kawałki, rzucał je psom; brytany warczały zrazu nieufnie i podejrzliwie, wkrótce jednak dały się udobruchać i jadły chleb, kręcąc wesoło ogonami.

Wielkie, lecz chwilowe tylko wrażenie zrobił na biesiadnikach nagły wyjazd pana Odrowąza.... Szlacheccie pozrywali się z ław i biegli do ganku, żeby z nim jeszcze trochę porozmawiać; nie zdołali jednak dobiec; Odrowąż machnął tylko ręką w ich stronę, niby na pożegnanie, i jak kamień z procy wyleciał jego wózek przez bramę z dziedzińca.

Biesiadnicy powrócili wnet do pełnych jadła stołów i za chwilę zapomnieli zupełnie o Odrowązu.... Pili zdrowie dziedzica, zdrowie wszystkich ofycjalistów, nawet zdrowie zacnego Błażnickiego, który właśnie w tej chwili ukazał się na zamkowym ganku.... Pan pełnomocnik był czerwony, siny prawie, usta jego trzęsły się jak w febrze, a ręce zaciskał w kułaki; ujrawszy tłum szlachty i usłyszawszy swe imię, wykrzykiwane przez kilkuset szlacheiców, wzdrygnął się zrazu trwożliwie, zrozumiawszy jednak o co chodzi, uśmiechnął się ironicznie, i podchodząc do uietujących, dziękował im w układnych i bardzo grzecznych słowach za zaszczyt mu sprawiony.

— Brat rodzony, ojciec najczulszy, nie życzy wam lepiej, panowie bracia, jak ja — mówił — kłaniając się na wszystkie strony — też ja przecież sam ze szlacheckiego staniku wyszedł, pod słomianą strzechą-m się rodził, w tej kondycyj-m rósł... Dziękuję wam za honor, który mi czynicie! Dziękuję! Mało za co! Com mógł, tom zrobił; dziedzica m przekonał, do ugody przyprowadził... Grosza od was nie chcę, tylko słowa dobrego i wspomnienia miłego.

— Wiwat! Wiwat! Niech żyje pan Błażnicki dobrodziej! — wołali podchmieleni szlachcice. — Niech żyje nasz opiekun! Nasz orędownik! Nasz ojciec!

Długi czas przeszedł nim zdołał Błażnicki wyrwać się objąć rozczulonych panów braci. Opuściwszy tłum spostrzegł nasamprzód *uradnika*, przechadzającego się w milczeniu w około biesiadujących; podszedł ku niemu i prosił go by raczył wziąć udział w śniadaniu; *uradnik* jednak wymówił się, tłómacząc się tem, że przysłany tu jest umyślnie „po służbie“ w celu strzeżenia porządku, pić więc nie nie może....

Pożegnawszy się z *uradnikiem*, tak dzielnie spełniającym swoje obowiązki, wniósł się Błażnicki znowu w tłum i rzucał oczami badawczo na wszystkie strony, jakby szukając kogo pilnie. Wreszcie oczy mu się rozjaśniły; ujrzał Ambrożego siedzącego opodal biesiadujących na dębowej kłodzie, która służyła stróżowi zamkowemu jako podkładka do rąbania drew. Błażnicki dał ręką niemy znak Pinkasiewiczowi i obaj wkrótce, kołując z dala jeden od drugiego, zniknęli w ciemnych zaroślach parku....

W kwadrans później Błażnicki wracał do swej izby z twarzą pełną tryumfu; Pinkasiewicz zaś blady jak trup, z osłupiałym wzrokiem i kureczowo zaciśniętymi pięściami przemykał się przez gąszcze zamkowego parku, ku jarom, ku lasom ciemnym, ku głuchej puszczy.... Trucizna, wlana słowami przewrotnego adwokata w dziką duszę ciemnego szlacheica, zaczęła już swe rozkładowe działanie; Ambroży wił się jak w najstraszniejszych bólach fizycznych, gryzł własne ramiona, rwał na sobie koszulę. Jakby skorpion otoczony zewsząd płomieniem, tarzał się nieszczęśliwy człowiek po bujnych paprociach,

w cieniu dębów w niebo strzelających; usta jęku już wydać nie były zdolne, oczy łyzy nie puściły; — truł się jadem we własnej piersi stworzonym.... Wpadł w stan, o którym nikt z czystym sumieniem nie jest zdolny decydować: czy obłęd to już zupełny, czy tylko bolesć nadmierna?

W zamku tymczasem uroczystość dochodziła kulminacyjnego punktu.

Panowie po ukończonem śniadaniu wyprowadzili na ganek odjeżdżającego hrabiego i jego satelitów, a pożegnawszy ich dość zimno, zwrócili się do otaczających już ze wszystkich stron zamkowy ganek szlacheiców.

Pomiędzy swarzącą się dotychczas szlachtą, o to, kto ma do dziedzica przemawiać? nastąpiła nagle zgoda; gwar i hałas przemienił się w ciszę zupełną; Teodor Ziobrowski, pomuskując z fantazją siwiejący wąs, wystąpił naprzód i rozpoczął oracyę. Mówił długo i szeroko, ale z sensem i związkiem; sięgnął pamięcią wstecz: wspominał dawne czasy, wspominał rodziców i dawniejszych jeszcze przodków dzisiejszego dziedzica; nie było w słowach jego ani zbytecznego po-

chlebstwa lub służalstwa, nie było również
zuchwalstwa, ni zarozumiałości.

Wszakże kiwając głowami, słuchali
z uwagą — o ile im poprzedzająca mowę
uczta na to pozwalała — i gestami zdradzali,
że są z mowcy zupełnie zadowoleni.

— Jaśnie wielmożny dziedzicu — mó-
wił pod koniec Teodor — ręka rękę myje...
Dobra wam życzymy, dobra i szczęśliwości
wszelkiej, życzieź i wy nam panie tego...
Za dawnych panów, waszych dziadów, pra-
dziadów, jaśnie wielmożny panie, w przyja-
cielstwie prawie żyła szlachta z dziedzicami,
teraz inny czas nastał: pan nie ma po co
dbać o szlacheica, ale dziedzic musi dbać
o robotnika, który mu jego ziemię obrabia...
Za łaskę pańską, za zmiłowanie i obniżenie
czynszów dziękowanie tu składamy i życzymy
jaśnie wielmożnemu, żeby jeszcze długie roki
w ten imieninowy dzień i my i nasze dzieci
i poczem nasze wnuki winszowania tu skła-
dali... Życzymy, żeby po dawnemu obyczaju
za rok mogliśmy powinszować jaśnie wiel-
możnemu i dziedziczki nadobnej, a z wiel-
kiej rodziny się wywodzącej.

— Dość stary, dość! — zawołał tracąc przybraną powagę pan Aleksander. Dziękuję wam serdecznie, dziękuję.

— Przyszłej dziedziczki winszujemy! Dzieciątek jaśnie wielmożnym winszujemy!

Wołali ze wszech stron czynszownicy, cisnąc się do kolan pańskich, całując pana w białe dłonie, w ramiona, w kolana; któryś nawet ucałował pobożnie szosę od fraka.

— Sto lat panowania! Zdrowia najteższego! — krzyczeli coraz głośniej.

— Jaka postawa! Jaka mina! — szep-tali starzy — istka w istkę, kostka w kostkę dziad nieboszczyk pan pułkownik.

— Hej! hej! czasyż to były inne i naród inny — jęknął jakiś dziad siwowłosa, na kulach oparty — i on by był inny — dodał z westchnieniem — gdyby mu tak pułk dać wysztytowany, a na wroga poprowadzić.... Znana rzecz, krew pańska w spokojności burzy się, jak w tureckim ogierze, którego w stajni raz na raz trzymają.... Puściec no go, niechby się wyhulał, niechby mu kule koło tych liliowych uszu poświsłały....

Hałas zagłuszył utyskiwania i wspomnienia starca; tłum odtrącił go od schodów zamkowego ganku; co żyło, cisnęło się tam, i ci sami ludzie, którzy dwa dni temu byliby z największą przyjemnością widzieli dziedzica na pal wbijanego, za szczęście dziś sobie mieli dotknąć się jego odzienia, słowo do niego przemówić lub usłyszeć tylko głos jego.

Po godzinę prawie trwającym przywitaniu, po przemowach i toastach, skinął pan Aleksander na służącego i kazał przywołać Błażnickiego, który miał głośno odczytać nowo ułożony kontrakt dzierżawny; po przeczytaniu mieli czynszownicy przez wybranych ku temu delegatów umowę tę podpisać...

Błażnicki kazał dość długo na siebie czekać; zanim się pojawił, to z drzwi wiodących ku pokojom, przez niego zajmowanym, wysunęli się chyłkiem: Kociurbow i Szaruga. Wreszcie ukazał się i sam pan pełnomocnik. Szedł powoli, niezwykle powoli, rozglądał się bezustannie po tłumie zebranej szlachty, i od czasu do czasu przystawał na chwilę, jakby namyślając się nad czemś gęboko. Zwłoka ta zniecierpliwiała wreszcie

dziedzica tak, że zawołał rozdrażnionym głosem:

— Błaźnicki, a prędejsze, wszyscy czekamy!

Pokątny doradca uśmiechnął się złośliwie, i nie przyspieszając ani trochę kroku, tylko nie zatrzymując się już nigdzie, doszedł wreszcie do ganku; doszedł, papier rozwinął, chrząknął znacząco, i powiódł badawczem okiem po zgromadzeniu.

Tymczasem wśród tłumu zaczęły się tworzyć nowe grupy w około Kociurbowa i Szarugi; obaj oni zgromadzili w około siebie gromadki najmocniej pijanych szlachciców i coś im prawili, gestykulując namiętnie... Błaźnicki chrząknął raz wtóry — hałas wzmógł się jeszcze.

Równocześnie na twarzach, tak dziedzica, jak i Teodora Ziebrowskiego wykwitło zniecierpliwienie, i mimowolnie obaj zawołali:

— Cicho! Uciszcie się!

Cisza chwilowo zapanowała; Błaźnicki zaczął czytać tekst umowy... Początkowe słowa: datę zawarcia umowy, wymienienie stron ją zawierających, wreszcie opisanie

czynszowych gruntów — wysłuchano w ciszy i z uwagą.... Nareszcie Błażnicki, chrząknąwszy wpierw znacząco, zaczął powolnym głosem wygłaszać: „za obopólną zgodą ustanowiona cena: po pięć rubli za dziesięcinę ornej ziemi, a po dziewięć, za dziesięcinę ziemi pod ogrodami i budynkami — ma obowiązywać święcie przez przyszłych lat dwanaście“....

— Lat dwanaście! — powtórzył z naskiskiem Błażnicki.

W tejże samej chwili kilkanaście głosów zawołało:

Nie chcemy! Nie potrzebujemy! Ziemia i tak będzie nasza!

— Cicho głupcy; cicho pijaki — wołał zrozpaczony Teodor, drąc sobie włosy z głowy.

— Cicho bądź ty sam! — ozwał się jakiś pijany, zachrypły głos. — Cicho bądź, pański zauszniku! Powiedz, wieleś *chabaru* wziął? Powiedz!

Hałas wzmagał się do tego stopnia, że trudno już było rozpoznać pojedyncze głosy wołania:

— Podpisujmy! Kończmy zaraz! — mięszały się z rozpaczliwymi krzykami: —

Czekajcie! Nie podpisujcie! Ziemia i tak będzie naszą! *Słuszny czas* nadchodzi! Nadchodzi.

Milezący i tylko przypatrujący się tłumowi dotychczas *urządnik*, wyprostował się nagle, rozkazującym gestem skinął na kilku ludzi z mosiężnymi blachami na piersiach i szepnąwszy im coś z cicha, wkroczył w tłum, który rozstępował się przed nim z uszanowaniem i obawą....

Za kilka chwil hałas ustał zupełnie; Błażnicki drżącym i niepewnym głosem kończył czytanie punktów nowej umowy a dzieciętnicy pod okiem policyanta zakuwali *w dyby* wielce szanownego Kociurbowa i pijanego jego sojusznika szlacheica Szarugę.

— Puść brat! — wołał Kociurbów mrugając lewym okiem i czyniąc różne zabawne znaki porozumienia w stronę *uradnika*. — Puść! My przecież dawni znajomi, przyjaciele!

— Skrop go tam kijem, takiego to a takiego syna — krzyknął policyant do chłopca, który przytrzymywał ręce schwytanego adwokata podczas bolesnej operacji „brania w dyby“. — Skrop go porządnie!

— dodał uśmiechając się wesoło. — Przyjaciel!... Patrzaj jaki mi do przyjaćielstwa! w katorgę pójdiesz psi synu! w katorgę!... Dawno ja już za wami śledzę, dawno!...

— Żartuj zdrów! Żartuj, przyjacielu! — przedrzeźniał jego głos Kociurbów. — Śledzisz! śledzisz... Nie gadaj głupstw! Ot każ lepiej niech mi dyby lżej nabiją. — *Jej Bohu* za ciasno, przyjacielu... za ciasno! Hi! hi! hi! Za ciasno przyjacielu!

Przestał się śmiać w tejże chwili, bo zniecierpliwiony jego żartami policyant przyskoczył porywczco ku niemu, wyrwał z rąk dziesiętnika sękaty kij, i zaczął nim okładać bez miłosierdzia ramiona, boki i plecy leżącego na ziemi zuchwalca.

— Dam ja ci tu żarty z władzy stroić! Dam ja ci tu przyjaciele!... Masz przyjaciele! Masz kolegę!

Kij z błyskawiczną szybkością wznosił się w górę i spadał na nieszczęśliwego; policyant wpadał w coraz bardziej rosnącą furę! Napróżno Kociurbów wznosił ręce w górę, starając się w ten sposób zasłonić twarz i głowę — napróżno wołał rozpaczliwie, nie to nie pomagało — kij w rękę

wprawnego policyanta, niby cep w dłoni doskonałego młocka, dotąd się wznosił i opadał, dopóki ofiara, pozbawiona sił, nie opuściła głowy do ziemi i nie zamilkła zupełnie.

— Wody na łajdaka nalać! — zakomenderował *urządnik* i zwrócił się do Szarugi, który bladej i drżący cały, przypatrywał się operacyi uskuteczniejszej na swym przewodniku.

Tymczasem tłum szlachty odszedł od ganku, gdzie pozostali tylko delegaci wybrani do podpisywania ugody, a zgromadził się w około miejsca doraźnej egzekucyi.

— Dobrze mu tak, dobrze! — wołali szlachcice chórem. — A kto to nam pieniądze, naszą krwawicę gwałtem z kieszeń wyciągał?! A kto do buntu, do procesów namawiał?!

— A kto zwierzynę truł? A kto drzewa podcinał? A kto psoty i szkody robił? — wołał za nimi *urządnik*, zwracając się do dygoczącego ze strachu Szarugi.

— Przysięgam Bogu najświętszemu — jęknął zakuty w dyby szlachcic — że mi to zrobić kazał pan Kociurbów.... Przysięgam Bogu w Trójcy jedynemu, że.... że....

— Czekaj! będziesz przy protokole gadał — przerwał mu policyant. — Do gminnej kancelaryi zaataszczyé mi obu — dodał, zwracając się do dziesiątnika i wskazując na obu delikwentów. — Tam pan *stanowy* i żandarmski oficer dowiedzą się od was wszystkiego.... Do kancelaryi....

Chłopi z widoczną przyjemnością zabrali się do przetransportowania obu winowajców na przygotowane dla nich wozy; do ruchu dopomagali im pięściami i kijami.

— *Socki!*¹⁾ — krzyknął jeszcze raz *urządnik* — za Ambrożym Pinkasiewiczem posłać mi zaraz trzech ludzi, zakuć w kajdany i na śledztwo, do *wołości*²⁾ *siej czas* dostawić.... Rozumiecie? w kajdanach go dostawić!...

— A gdzie pan Błaźnicki? — zwrócił się do lokaja zamkowego, który mu się w tej chwili nawinał.

— Na ganku — odpowiedział sługa.

1) *Socki* setnik, naczelnik wiejskiej policji.

2) *Wołość* urząd gminny.

Spojrzeni na ganek; Błaźnickiego już tam nie było. Zaczęto szukać za nim, nigdzie go znaleźć nie było można; nie doczekawszy końca podpisywania umowy, poszedł był niby to do swego pokoju i znikł jak kamień w wodę rzucony...

— Tego ptaszka także do śledztwa potrzeba! — rzekł do starego rządcy policyant — znaleźć go trzeba.

Rozbiegli się chłopci i dworscy ludzie po parku i po okolicznych lasach, napróżno jednak — Błaźnicki znikł bez śladu.

Smutny koniec wesoło zapowiadającej się uroczystości, wywarł przygnębiające wrażenie na wszystkich zamkowych gości... Zapowiadany przez gospodarza bal ludowy, którego urządzeniem miał zająć się Błaźnicki nie przyszedł do skutku — reżyser znikł.

Szlachta po podpisaniu dokumentu nowej umowy wyniosła się tłumnie z zamkowego dziedzińca; ciekawość ogółu skierowała się w inną stronę, absorbowwała wszelką uwagę — tłum pociągnął przed drewniany, od słot zczerniały ganeczek „gminnej kancela-

ryi“ gdzie odbywało się śledztwo z dwoma uwięzionymi uczestnikami tylko co szczęśliwie zakończonej wojny.

Z panów, którzy byli obecni przy śniadaniu, zaledwie kilku doczekało się przybycia pani Polankowskiej i wspaniałego imienninowego obiadu; większość pod pozorem najrozmaitszych spraw i interesów „niecierpiących zwłoki“ opuściła zamkowe mury. — Pani Zofia, znana okoliczna kokietka... ubiegająca się wszelkimi sposobami o to, by ludzie mówili o niej ciągle i czyniąca wszystko możliwe i niemożliwe, żeby uchodzić za „lwięcę guberską“ — była smutnie zdziwiona, zastawszy tak mało gości; wpadła w kwaśny humor, stała się nudną i sprawiła wielką radość gospodarzowi, gdy zaraz po obiedzie kazała konie zaprzęgać i opuściła zamek w towarzystwie reszty obcych gości....

— Dziękuję ci Knajpphoffie!... Dziękuję jeszcze raz! — szepnął serdecznie gospodarz do barona, gdy zostali sami. — Ty masz krew i charakter!... Ja to powinienem być uczynić, co zrobiłeś ty.... Głupstwo się stało.... Jutro pojedziemy obaj Kazia przeprosić....

— Jeśli się da — odparł niechętnie baron. — Nie! Pewno się da przeprosić, bo to szlachcic z sercem i rozumem.... A my wszyscy Olesiu.... to.... to.... bydlę.

XI.

Czerwona łuna zajaśniała....

Kazimierz Odrowąż powróciwszy z zamku, przez całą resztę dnia nie przemówił do nikogo słowa; chodził — jak zwierz zraniony po klatce — po swoim gabinecie i pogrążał się w najsmutniejszych rozmyślaniach. Słudzy znali swego pana — matka знаła swego syna, wiedzieli, że gdy wpadnie w atak pesymizmu, to każde słowo wyrzeczone doń wówczas sprawia mu olbrzymie cierpienie — zostawili go więc w samotności, nikt do gabinetu nie wchodził.

Okolo godziny jedenastej przez okno wychodzące na zachód wpłynął do gabinetu Kazimierza obfity potok światła.... Odrowąż zerwał się, podbiegł do okna, spojrzął i sam do siebie zawołał:

— Stało się.... Zamek płonie!

Wśród ciemnej nocy, na tle czarno szafrowego nieba widniały wyraźnie trzy jasne ogniska, niby trzy olbrzymie pochodnie, oświetlające całą rozległą okolicę.... Kres widnokręgu zdawał się łukiem wygiętym; na linii tego łuku buchały po krajach dwa olbrzymie płomienie; pośrodku zaś zaczynał jaśnieć trzeci, słabszy jeszcze, ale najjaskrawszy i najwyżej w górę buchający.

Odroważ ujrzawszy to, nie tracąc ani chwili, wybiegł na dziedziniec; sam na gwałt ludzi budził, sam posłał do cerkwi by tam na trwogę w dzwony uderzono....

Smętny, ponury, monotony dźwięk wielkiego dzwonu rozlegał się już po nad pogrążoną we śnie wsią, gdy przed ganek głuchowski podprowadzono kasztanowatego angielskiego wałacha, najszybszego i najpewniejszego z wierzchowców pana Kazimierza....

— Folwark, na prawo, gorzelnia na lewo, a sam zamek we środku — szeptał stary Grzegorz masztalerz, podając panu konia. — O to, jasnie panie, dogodzili.... Hej i ratunku pewno nie ma, bo to pijane dziś co do nogi....

Kazimierz nie słuchał nawet utyskiwań Grzegorza, zebrał konia krótko i rozglądał się po obszernym podwórceu, na którym teraz roiło się od ludzi i koni. Jedni wyprawdzali zaprzężne i robocze konie ze stajni, inni przygotowywali sobie na prędcę jakieś siedzenia, bo siodła dla wszystkich nie mogło wystarczyć; inni znowu zaprzęgali pańskie, zaprzężne, a jak wicher szybkie kaształy do małej, pożarnej sikawki...

Pan stał na środku, postać jego wyniosła i dumna, wysokością konia po nad tłum wzniesiona, oświetlona blaskiem kagańców i ponurem światłem łuny dalekiej — robiła wrażenie wodza jakiegoś naczelnego hetmana, przed bojem zaciekłym.... Nie ruszał się zupełnie; koń stał jak wkopany; z ust tylko zaciśniętych wrywały się od czasu do czasu nawoływania:

— Prędzej! prędzej!

W tejże chwili na wysokim ganku głuchowskiego dworu ukazała się słuszna, wiotka, biała postać; z wzniesionymi w górę rękoma, w których widniał, sadzony drogimi kamieniami obraz Matki Boskiej Częstochowskiej stała ta postać zwrócona ku łunie pożaru,

po między kolumnami, cienka i lotna niby jedna z kolumn.

W czerwonym świetle smolnych kagańców widać było jak usta mileżącej pani poruszały się rytmicznie, jak oczy z ufnością bezgraniczną wznosiły się ku niebu, prosząc o ratunek i zmiłowanie — to pani Odrowążowa błagała Najwyższego o pomoc w nieszczęściu.

— Jedźcie z Bogiem i nadzieją! — szepnęła wreszcie pani, skończywszy modlitwy i zwróciwszy oczy na syna....

— Ruszać, doj bramy stępo! — rozległ się w tej chwili głos młodego pana....

Wnet turkot dał się słyszeć, sikawka i kilka beczek, zaprężone w rwące się do biegu konie, ruszyły ku bramie, za nimi jechało w ściśniętych szeregach, po czterech, kilkunastu parobków....

Dziedzie skinął tylko głową na pożegnanie pobożnej pani, i krok w krok za beczkami i ludźmi ruszył za bramę; koń rwał się już teraz niecierpliwie, gryzł wędzidło i namiętnie grzebał grunt pod nogami.

Za bramą, gdy orszak się rozwinął na szerokiej drodze, Odrowąż wysunął się na-

przód i zawołał tak, że aż wszystkie konie zadrżały:

— Za mną, co konie ściągnąć potrafią!... Za mną!

I ruszył przodem, aż trakt jęknął pod końskimi kopytami.

Noc była ciemna, tylko na zachodzie płonęły owe trzy straszliwe pochodnie, a po nad niemi powstawała w oczach ludzkich chmura dziwnie ponura, odrażająca; chmura utworzona z rudawo-czerwonej atmosfery, ruchliwej i migającej, niby ognistego robactwa pełzającego pełnej. Chmura ta rosła, potężniała, rozciągała się coraz wyżej, coraz szerzej, pół nieba już zajmowała swym złowrogim całunem.

Po równym trakcie, wiodącym z Głuchowa do zamku, głuchy tylko tentent się rozlegał, tylko wiadra uderzały o beczki, przytłumiony krzyk wydając, tylko podkowy biły o ziemię zaschniętą, dudniąc smętnie.... tylko parobcy zachęcali konie do biegu pociśnieszszego, wołając:

— Wio ho! Wio ho! konie sokoły!
Nuż dalej, nuż prędzej, za panem.

Pan tymczasem odsadził się już daleko od całego orszaku.

Kasztanowaty anglik, wydostawszy się naprzód, pędził przed siebie jak huragan pustyni; szyję wyciągnął, głowę pochylił ku ziemi, i każdym skokiem krył kilkanaście stóp ziemi.... Jeździec nie kierował nim zgoła; zdał się zupełnie na instynkt i rozum doświadczonego wierzchowca; wzrok skierował przed siebie i starał się wśród tego oslepiającego blasku zapoznać ze stanem rzeczy. Dwa krańcowe pożary były teraz właśnie w kulminacyjnym swym punkcie; szerokie, rozlane, jak wzburzone ogniste jeziora, stanowiły u dołu rdzeń rozżarzonej masy, ciemno-czerwonej, strasznej potęgą rozszałatego żywiołu, pięknej, dzikim powabem niszczącej przyrody; górą tylko jasne języki płomieni ślizgały się swawolnie po nieobjętych jeszcze pożarem dachach lub wierzach stert ze zbożem. Środkowy pożar nie objął znać był jeszcze całego zamku, bo tylko wąski, jasny słup ognia strzelał w górę, pod niebo, i robił wrażenie wyniosłej wieżycy, pnącej się po nad szerokie masy poziomo rozbudowanego miasta.

Koń pod Odrowążem mknął jak jelen w puszczy, gnany przez sforę ogarów; drzewa przy drodze migwały tylko; sadył po nierównej drodze, nie utknąwszy, nie zachwiawszy się ani razu; tentent podków i przyspieszony oddech zręcznego konia tylko zdradzały, że to przesuwwały się żywe istoty; gdyby nie one, przesadni chłopi, spieszący do pożaru i uciekający z lękiem przed tym dzikim jeźdźcem, mogli byli sądzić, że to nadludzka jakaś istota wyprawiała harce w tę straszną i ciemną noc sierpniową.

Właśnie w tej chwili, gdy brama zamkowa pod naciskiem siekier i toporów, spieszących na ratunek chłopów z hałasem upadła, dając wolny przystęp na dziedziniec, Odrowąż, wstrzymując rozhukanego konia podjeżdżał pod mury starego zamczyska.

Dziwnie uroczy, wspaniały widok uderzył jego oczy: korpus zamku, wszystkie stare ciosowe, łupkiem lub dachówką kryte budowle, stały nietknięte, poważnie, uroczyście malujące się na czerwonym tle pożaru szalejącego poza zamkiem; od strony parku, nowo zbudowany drewniany pawilon płonął.

Za gromadą chłopów, cisnącą się przez wązką szyję sklepionej bramy, wjechał Kazimierz na dziedziniec zamku; konia co rychlej oddał pierwszemu lepszemu chłopakowi; wydał rozkaz, ażeby ludzi głuchowskich do zamku skierowano, gdy nadjadą, i sam pędem przez furtkę w murze poskoczył do parku, ku płonącemu pawilonowi. Pierwszą osobą, którą ujrzał, był baron; strasznie wyglądał, włosy miał popalone doszczętnie prawie, koszulę porozdzieraną, a przez dziury i wypalone miejsca widniały na białem ciele sińce i rany; stał w miejscu, gdzie wiał najstraszniejszy prąd rozżarzonego powietrza; oczy miał utkwione w otwarte okna jadalnej sali, do których były poprzystawiane drabiny.

— Gdzie Oleś? — spytał Odrowąż.

— Tam! — odparł baron, wskazując płonący budynek.

Kazimierz w tejże chwili chwycił rękoma za szczeble drabiny i zamierzał pięć się do góry.

— Czekaj! — zawołał baron chwytając go w pól. — Byłem tam.... Próżno pój-

dziesz, nie wytrzymasz.... Polazł już tam...
Polazł czart nie człowiek, jeżeli wróci....

Kilkunastu wystraszonych sług zamkowych zaczęło na wyścigi opowiadać:

— Stary Jan polazł.... Płachty mokre ponaciągał i polazł... Pierwszy tu był, okna powyrąbywał, bo je był ktoś popodpierał.... złodziej jakiś.... podpalacz....

Zamilkli nagle wszyscy; w oknie płonącego budynku ukazała się postać starego szlachcica z bezwładnym dziedzicem na rękę.

— Weźcie go! Weźcie! — rozległ się głos Jana ochrypły i dymem zaduszony — weźcie go, bo nie udźwignę dłużej.

Odrowąż poskoczył po drabinie i ot o czywszy omdlałego silnem swem ramieniem, zniósł go na ziemię.

Wszyscy podbiegli do młodego pana; stracił on był przytomność, był srodze popieczony, ale żył; po wylaniu nań kilku wader wody odetchnął ciężko, oczy otworzył i cichym głosem zapytał:

— Kto mnie wyniósł?

Dopiero w tej chwili przypomnieli sobie wszyscy o starym Żurkowskim; Kazi-

mierz podbiegł znowu do drabiny; lecz głos z góry ostrzegł go:

— Ustąpcie się, obrazy rzucam.

I jeden po drugim zaczęły się zsuwać po szczeblach drabiny portrety rodu Woydałowskich, które zawieszono były na ścianach jadalnej sali.

— Złaźcie Janie! — wołał wściekłym głosem Kazimierz — życie ludzkie ważniejsze niż obrazy.... To grzech, to obraza boska....

Podlaził mimo protestów starego aż do samego okna i schwyciwszy go za rękę, przemocą prawie wyrwał z płonącego budynku.

Stary okropnie wyglądał; zmoczone płachty zwęglaly były prawie zupełnie; białe wąsy i włosy opalił w ogniu, tylko cuchnące ogarki na tych miejscach sterczały; ręce i ramiona pokryte były rosnącymi w mgnieniu oka białymi pęcherzami; z piersi wydobywał się krótki, gwałtowny i nierówny oddech.

— *Ah! braver Kerl!* — zawołał z prawdziwym uniesieniem baron, obrzucając starca spojrzeniem pełnym podziwu i uwielbienia....

— Dychawica go zabije! — szepnął złowieszczo stary zamkowy kucharz — znam go z dawności, jeszcze z wojaczki z nieboszczykiem chorącym był tę dychawicę przyniosł.

— Ratować starego, ratować! — wołał osłabionym głosem dziedzic, który powrócił już zupełnie do przytomności i usiadłszy na ziemi, osłupiałym wzrokiem spozierał w okóło.

— Ratować! ratować! — wołali wszyscy razem.

Starzec tymczasem leżał na murawie bez ruchu; pierś mu się wznosiła i opadała gwałtownie, płuca pracowały jak maszyna parowa; widocznie coś chciał mówić do obecnych, nie mógł jednak przez gardło słów przekrzusić.... Wreszcie wyszeptał:

— Wody.... wo....

Sam Kazimierz podał mu pełny kubek wody, którą pił chciwie, pił długo i w pierśiach mu wówczas charczało strasznie, śmiertelnie. Wreszcie odsunął kubek od ust, głowę opniął na murawę i szepnął cicho, tak cicho, że tylko Kazimierz i baron dosłyszec mogli:

— Pana ratujcie.... ostatni z rodu....
Portretów kilka zostało w sali.... zostało!...
Pana ratujcie!

Aleksander, sycząc z bólu podczołgał się ku starcowi i mileżąc pochwycił jego dłoń i złożył na niej długi, przeciągły pocałunek.

— Przebacz! — jęknął cicho.

W tej chwili dach na pawilonie runął i jasny pęk płomieni buchnął prosto w niebo; deszcz iskier obsypał wszystkich, chociaż byli dość od pożaru oddaleni.... W jasności tej strasznej wyraźnie widzieć można było złamaną bolem duchowym twarz młodego dziedzica, i poważne, pogodne oblicze konającego starca.

Drugi sufit się zawalił, krokwie na pawilonie z trzaskiem się łamały i padały w straszny żar.

— Zamek stary bezpieczny — szepnął, niby pocieszając stary. — Drzwi żelazne od środka sam pozamykałem.... ściany ciosowe, dach kamienny, tylko okna popekają.... Nie trzeba było tego szatru tu kłaść.

Nowy atak duszności strasznej zatamował mu mowę; chwil kilka przeszło, zanim

zdołał znowu przemówić; słowa jednak teraz wychodziły już urywane, niezwiązane w zdania; oczy przygasać zaczynały, członki sztywniały. Nagle rzucił się naprzód, chciał powstać, usiadł tylko z trudem wielkim i chwytając Kazimierza za rękę, jęknął raczej niż wyszeptał:

— Do chaty.... do mojej chaty.... dziecko moje jedyne.... gołąbka biedna.... ten zbój.... ten zbrodniarz.... biedne dziecko.... Śmierć.... śmierć.... księdza!

Rękoma chwycił się za piersi, rwał na sobie strzępy zwęglonej koszuli, jak gdyby miał nadzieję, że w ten sposób wyrwie z piersi słowa, które przez usta przejść już nie mogły.

Ludzi już było koło pożaru więcej, gromada woynałowska zbiegła się prawie cała; służba głuchowska nadjechała z sikawką i beczkami; pożar pod działaniem mądrze prowadzonego ratunku przygasał stopniowo; głównej, starej części zamku nie groziło już żadne niebezpieczeństwo.... Za to folwark i gorzelnia płonęły bez żadnego prawie ratunku.

Kazimierz przywołał najrozważniejsze go ze swoich ludzi, kazał mu wyprządz ko-

nie z sikawki i jechać jak można najspieszniej po księdza; sam powrócił do konającego Jana i nachyliwszy się nad nim starał się wytłómaczyć choremu, że stało się za-
dość jego życzeniom, że ksiądz lada chwila nadjedzie. Słowa jego jednak nie zdołały Jana zupełnie uspokoić; rzucał się niespokojnie, rękoma wykonywał niecierpliwie jakieś ruchy, martwiącemi oczami pragnął wyrazić to, czego już powiedzieć nie mógł — nikt go też dokładnie zrozumieć nie mógł.

Do głuchowskiego woźnicy, który jechał po księdza, przyłączył się przerażony nieszczęściem, rozczarowany i niemogący sobie przy pożarze znaleźć stosownego zajęcia — Piórkowski. Zapomniał był teraz o swem poetycznem powołaniu, o wyszukanych słowach; wzruszonym głosem i z wyrazem prawdziwego smutku na twarzy prosił Kazimierza, żeby mu po księdza jechać pozwolił:

— Oh! nieszczęście, nieszczęście — lamentował biedny poeta. — Pozwól pan, że choć w ten sposób przydam się na coś... Cóż za straszna noc, żadne natchnienie nie byłoby w stanie usposobić człowieka do opisanania podobnej okropności... Próbowałem

leże tam — tu wskazał dogorywający pawilon — pozostały tam, w gabinecie pana Aleksandra, bardzo cenne książki... Chciałem uratować... nie mogłem... Oh! jak tam gorąco, jak gorąco!

Turkot wózka, który zaprzężono, by jechać po księdza, przerwał słowa Piórkowskiego; poskoczył z niezwykłą u niego lekkością i w ciemniejszym blasku pożaru, widzieli wszyscy, jak usadowił się na koźle obok furmana i kazał jechać, co konie wyrwać mogą....

Inżynier Poślisko, z narażeniem własnego życia kierował ratunkiem; chodziło o to, ażeby co rychlej obalić drewniane wiązanie płonącego pawilonu i oddalić ogień od dachu głównego zamkowego gmachu; ludzie zamkowi i chłopci hakami rozrywali dopalające się krokwie, a Poślisko z kilku najodważniejszymi cieślami, własnoręcznie rąbał słupy narożne budynku narażając się na to, że lada chwila cały zrab mógł nań runąć i pogrzebać go wraz z kilku towarzyszami w strasznej masie węgla i gorejących głowni.

— Za mną, chłopcy! — wołał dla dodania otuchy — za mną! Chłop się niczego bać nie powinien! Z małym do tego przy-

wykł, mój ojciec był kominiarzem.... Za mną!
Raz, dwa, trzy! Tak! tak!...

Sam dziedzie, pan Kazimierz i baron, wszyscy popieczeni w okrutny sposób, wposzarpanych ubraniach i zasmoleni jak węglarze, stali — pochyleni nad konającym Żurkowskim. Wyraz oczu pana Aleksandra zmienił się dziwnie; dawna obojętność i nuda znikły z pięknych tych oczu zupełnie; teraz tryskały z nich: boleść głęboka, wielka, zapal jakiś nieokreślony a niemogący znaleźć drogi do działania i troskliwość dziwnie czuła, z jaką spoglądał na leżącego bez życia już prawie Żurkowskiego.

— Fortunę całą oddam za uratowanie życia temu człowiekowi! — wołał chwytając się gwałtownie i rozpaczliwie rękoma za głowę. — Ratujcie go! ratujcie! Doktora! Wieś za doktora!

Odrowąż i baron milczeli smutnie, widzieli już wyraźnie, że chyba cudu by potrzeba, żeby Jan mógł wyzdrowieć.

Gwałtowny turkot, zwiastujący przybycie księdza, uspokoił na chwilę Aleksandra; zwrócił oczy w stronę furtki wiodącej na dziedziniec.... Pierwszy ukazał się Piórkow-

ski, biegł, leciał raczej wołając coś głośno i gestykulując żywo rękami.

— Dzielny ksiądz! — dochodziły do uszu słuchaczy, urywane i głuszone przez gwar panujący w koło pożaru, słowa niezwykle ożywionego dziś poety. — Dzielny!... Zastałem go na stanowisku, ludzie na kościelnym dachu, on sam na drabinie, strzegł powierzonego sobie przybytku bożego, od strasznego żywiołu....

— Gdzie ksiądz? gdzie? zapytali wszyscy razem: Aleksander, Kazimierz i baron.

Zaraz idzie! — odpowiedział, wskazując ręką po za siebie. — Powiedziałem mu: „Jan stary kona“ — zerwał się, omal z drabiny nie spadł, zeszedł ku mnie i płakać jak małe dziecko zaczął.... Dzielny ksiądz!... Oto i on....

W tej chwili w ciemnym otworze furtki ukazał się chłopak niosący nie wielką latarkę na dość wysokim drążku; światło latarki w blasku pożaru bladło dziwnie, ni-
knęło prawie. — Zdawało się żółtą plamą na niezmierzonej, krwawo-czerwonej przestrzeni.... Dzwonek ministranta się odezwał

i — dziwna rzecz — hałas, krzyk, swary ustały nagle, jakby za dotknięciem różeczki czarodziejskiej, wszyscy obecni padli na kolana.

Wspaniały to był widok: ludzie ci, dziś bardziej do potępieńców piekła dantejskiego niż do żarliwych wyznawców wiary swych ojców podobni, na cichy, ledwie do słyszalny jęk dzwonka przybierający korną postawę penitentów, stanowili dziwnie potężny kontrast z tym rozszalałym żywiołem, srożącym się jeszcze ciągle w koło nich; haki żelazne, siekiery, drągi osmolone, wznoszące się po nad pochylonemi ku ziemi głowami, zdawały się fantastyczną jakąś bronią przedhistorycznych pokoleń; czarne poszarpane odzienia dodawały jeszcze większej siły złudzeniu.

W chwilę po tem z czarnego otworu wysunęła się biała postać sędziwego kapłana; szedł cichy i spokojny, szedł z Przenajświętszym Sakramentem; biała jego komża zdawała się nieziemską jakąś szatą — robiła wrażenie sukienki anielskiej.

Wszyscy ci klęczący uderzyli głowami o zrytą, węglem i ogarkami pokrytą ziemię,

dzwonek w ręku kościelnego chłopaka brzmiał teraz uroczyście, tryumfalnie.

Nawet pan Aleksander i baron, którzy od lat już wielu nie znali zupełnie uczucia prawdziwego wzruszenia religijnego, uczuli nagle w piersi dziwne ściśnięcie i wraz z całym tłumem pochylili czoła przed symbolem nieśmiertelności dusz, przed zapowiedzią zmiłowania boskiego, grzechów przebaczenia; — obaj oni zrozumieli nicosć życia doczesnego — ujrzeni niezmierzone przestwory wieczności.

Nawet inżynier Poślisko przykląkł na jedno kolano, a na jego twarzy nikt nie dostrzegł uśmiechu sarkastycznego, jaki miewał zawsze, gdy kto w jego obecności mówił o religii; nie — oblicze miał w tej chwili poważne, a sfałdowane podłużnymi zmarszczkami czoło, świadczyło, że zamyslił się nad czemś głęboko.

Ksiądz nie spojrział nawet na płonący pawilon, nie rzucił okiem na klęczących, oczami szukał umierającego Jana; gdy go dostrzegł, zwrócił się ku niemu pospieszniej a na jego obliczu obecni po raz pierwszy tej nocy dostrzegli ból i niepokój.

Mileżąc stanął nad spoczywającym na zlanej wodą murawie Janem, i oczy jego spojrzwały w około, jakby chciały dać jakiś rozkaz, usta jednak bezprzestannie poruszały się rytmicznie — kapłan szeptał modlitwy za konających.

Stary kucharz, który także nie odstępował na krok chorego, zrozumiał niemy rozkaz kapłana i zwracając się do obecnych zawołał:

— Wziąć go ztąd potrzeba!... Dusznemu strasznie!... Przeniesiemy go w głąb ogrodu, pomiędzy drzewa.... odetchnie tam może....

Sam dziedzic przy pomocy Odrowąża i barona złożyli bezwładnego już prawie starca na osmolonej opończy, własności jednego z ratujących chłopów i odnieśli go o kilkanaście kroków w głąb parku.

Widoczna zmiana w wyrazie twarzy Jana uderzyła od razu wszystkich; odetchnął zaraz swobodniej, dłużej, a w gasnących przed chwilą oczach błysnął teraz dziwny ogień; spojrzął na księdza z niepodobną do opisania wdzięcznością i po raz pierwszy od godziny prawie szepnął:

— Wina!... Do spowiedzi sił... sił...
potrzeba....

Kilku służących rzuciło się natychmiast ku nietkniętej pożarem piwnicy zamkowej i w kilka sekund zaledwie wrócili z omszoną butelką węgierskiego wina.... Baron z rąk ich odebrał wino, uderzeniem siekiery odrył szyjkę tak zręcznie, że ani śladu szkła nie wpadło do butelki i pochyliwszy się nad Janem, zaczął powoli, ostrożnie wlewać gęsty, złocisty płyn w zaciśnięte usta. Zwolna i chory dopomagał mu w tem trudnem zadaniu, stary kucharz podparł mu plecy, głowa Jana znalazła się w pionowem prawie położeniu; spieczonemi, zczerniałemi ustami z chciwością pociągnął kilka łyków starego wina. — Skutek był widoczny i podziw w obecnych budzący. — Stary usiadł o własnych siłach na opończy, przeżegnał się i pewnym głosem odmówił modlitewkę przepisaną penitentom.

Ksiądz ukląkł obok i rozpoczęła się spowiedź.

Wśród tłumu chłopów i służby zamkowej rozlegać się zaczęły coraz głośniejsze szepty:

— Wyjdzie!... Będzie zdrow!... Sakrament go wyleczy...

Spowiedź nie długo trwała, a w samej rzeczy mogło się zdawać, że uzdrawiająco podziałała na chorego; dla przyjęcia Komunii św. o własnych siłach ukląkł, z siłą wielką bił się w piersi i opłatek Przenajświętszego Sakramentu przełknął jak zdrowy człowiek...

Był to ostatni nadludzki wysiłek tego człowieka o żelaznej sile woli; wnet po tem padł znowu na oponczę; w piersiach znowu straszliwie coś zazgrzytało; z ust wyrwało się jedno tylko słowo:

— Dziedzica!

Aleksander poskoczył ku niemu, ukląkł obok i poranione jego ręce zaczął okrywać gęstymi, gorącymi pocałunkami; przemówić nie mógł, lecz oczy jego zalane łzami wołały wyraźnie, zrozumiale:

— Przebacz! Przebacz!

Stary zrozumiał, i przebaczył, bo dłoń jego wzniosła się po nad głowę młodego pana, a usta poruszały się zwolna; błogosławił, choć nie mógł mówić.

Nić życia w tym niezwykłym starcu, to rwała się już zupełnie, to zdawała się nawiązywać na nowo; jak ów płomyk w dogasającej świecy, to niknie już całkiem to znowu buchnie jasnym, olśniewająco jasnym blaskiem. I w życiu Jana płomyk ten błysnął raz jeszcze.... na mgnienie oka wprowadzie tylko.... Jeszcze raz usiadł, jeszcze raz zwołał:

— Wina!

Podano mu go znowu i pił, pił aż póki mu oczy nie zaświeciły płomiennie, póki z ust nie popłynęły wyrazy.

— Panowie — zawołał — u śmierć! Zostawcie mnie księdzu!... Tam jedźcie do mej chaty.... Tam moje dziecko.... córka.... Hanka.... ofiara — tu spojrział błagająco na Aleksandra. — Ratuście, zabić nie dajcie!... Z rąk oprawcy, szaleńca wyrwijcie.... Jedźcie!... Jedźcie.... Jedź.... Śmierć.... księżę....

I padł bezsilny; tylko prądy jakiegoś straszliwego przez ciało bezwładne przechodziły; tylko twarz mu kureczyło i wyraz oczu zmieniał tak, że nikt, kto go znał za życia, w młodości, nie byłby w tych wykrzywio-

nych rysach rozpoznał dawnego Jana Żurkowskiego.

Książdz z pospiechem zabrał się do udzielania ostatnich namaszczeń, z trudem mu to przychodziło, musiał przyzwać pomocy zamkowej służby; umierający rzucał się okrutnie, wił się w strasznych przedśmiertnych konwulsjach, usta jego nie zamykały się ani na chwilę, głos jednak żaden, oprócz grozy jakiejś pełnego charczenia nie wydobywał się już z nich.... W charczeniu tem jednak, w wyrazie postawionych już w słup oczu młody dziedzic zamku czytał wyraźny rozkaz:

— Jedź! Jedź! Ratuoj moją córkę! Ratuoj ofiarę twej zbrodni!

Rozkaz ten odczuwał on dokładnie, stał jednak, jakby skamieniały na miejscu, groza konania przykuwała go do siebie; błądy, osłupiały, stał nad konającym starcem i z cheiwością żadnego wiedzy studenta medycyny wpatrywał się w gasnące oczy, w drętwiejące członki, w powlekające się żółtością wosku ciało....

Jeszcze jeden kurez straszliwy, okropny, wstrząsający całym organizmem konającego niby prąd galwaniczny martwym trupem;

jeszcze jeden jęk, zgrzyt raczej rozdzierający uszy, mózg, serce słuchaczy, i tonący w głębi ich duszy, by tam pozostać na zawsze; jeszcze jedno spojrzenie błagalne — i koniec, cisza grobu, spokój powierzchni wodnej, nieporuszonej najdrobniejszym wiatru podmuchem — śmierć.

Jan Żurkowski umarł; ksiądz zaintonował „Anioł Pański“.

Nuta tej żałobnej pieśni oprzytomniła od razu młodego dziedzica: jak dziki zwierz rzucił się przed siebie, wołając:

— Koni! koni!

Wózek, który przywiózł księdza, stał jeszcze zaprzężony na dziedzińcu; słudzy natychmiast uwiadomili o tem pana.... Nie zwracając już uwagi na żałobne modlitwy, pobiegł na dziedziniec, i wskakując na wózek, drżącym, wzruszonym, lecz dziwnie gwałtownym głosem zawołał:

— Do chaty Żurkowskiego!.... Co konie wyskoczą!

Kazimierz i baron biegli krok w krok za nim.

— Czekał sekundę — krzyknął rozpaczyliwym prawie głosem baron, który już

zorientował się zupełnie w sytuacji — z mego pokoju wezmę coś ciepłego do okrycia się i rewolwer.... Czekaj!

Kazimierz tymczasem usadowił się na koźle obok furmana, i wziął lejce w swe pewne i doświadczone dłonie. Korzystając z chwilowej zwłoki, koniuszy wsadził na konia jednego ze stajennych kozaków i dał mu do ręki rozpalony przy pożarze jasno świecący, smolny kaganiec.

Horyzont zczerniał był zupełnie i z gęstych ciężkich chmur puścił się był drobny, lecz gęsty i przejmująco zimny deszcz.

Aleksander dygotał jak w paroksyzmie febry, niecierpliwił się bezprzestannie i wołał co chwila:

— No ruszaj już raz!... Jedź bez barona!... Po co on nam?

Po kilku chwilach zbiegł i baron, wynosząc z nieobjętego pożarem skrzydła zamku długi płaszcz i dwa rewolwery; płaszczem okrył sprzeciwiającego się temu Aleksandra; rewolwery nabijał, siedząc już na wózku.

Rozpoczęła się dzika, szalona jazda; konie, kierowane wprawną ręką Kazimierza ruszyły z miejsca wyciągniętym galopem; wózek skakał jak piłka po nierównej drodze; czterej ludzie siedzący na nim, ująwszy się za ręce, starali się wszystkimi siłami utrzymać równowagę i nie dać się wyrzucić szalonym podrygom, które co chwila wstrząsały lekkim wózkiem.

Koń pod kozakiem zaledwie dotykał kopytami ziemi; rozpalony, pełny gorejących smolnych gałek koszyk żelazny migotał jak fantastyczne jakieś zjawisko, jak straszna jakaś, mityczna pochodnia, przelatująca wśród nocy cichej przez wsie uspione, zwiastująca groźne jakieś zdarzenia....

Pędzili przed siebie w ciemność bezgraniczną, czarną i ponurą; za nimi widniały trzy wielkie ogniska, wspaniałe i ohydne zarazem, zawsze wielkie i potężne.... Co kilka minut jedna z płonących stert zboża zapadała się i z jej łona wybuchał krwawy snop iskier i gnał w górę, w niebiosy, by tam zginąć w bezbrzeżnej łunie, niby w płomiennem morzu.

Drzewa przy drodze, krzyże i kapliczki migały tylko; w szalonej tej jeździe oko nie miało czasu pochwycić ich kontur dokładnie — zmieniały się w długą pstrą linię, oświetloną blaskiem kagańca, a ciągnącą się bez przerwy, po obu stronach, wzdłuż całej drogi.

Pomimo szatańskiej raczej niż ludzkiej jazdy, Aleksandrowi zdawało się ciągle że jadą za wolno. Dygotał coraz mocniej, zębami dzwonił tak, że mimo stukotu kół dźwięk ten chorobliwy dochodził uszu jego towarzyszy, i wołał uparcie, rozpaczliwie:

— Kaziu spiesz!... Spiesz!... Te konie wloką się jak z mazią... Spiesz!

Dzielne bieguny wydobywały ostatki sił, pędziły szybkością swych ojców, które tryumfowały nieraz na światowych arenach; a mimo to rodząca się w ciele Aleksandra gorączka kazała mu wołać bez przestanku:

— Pędź! Pędź!... O resztki spokoju mego sumienia tu chodzi!...

Nagle kozak wiozący kaganiec wstrzymał konia i z czwału wprowadził go od razu w stęp zupełnie wolny; migotliwy blask kagańca stał się teraz jaśniejszy, a jadący

ujrzeli wyraźnie wąski mostek, po którym zjeżdżać mieli z szerokiego traktu na wąską wyboistą drożynę; — o sto kilkadziesiąt kroków od traktu zarysowały się niewyraźne kształty Janowej sadyby. I Kazimierz mimowolnym prawie ruchem, doświadczonego woźnicy, powstrzymał rozhukane konie i noga za nogą przejechał mostek i podjechał pod wrota szlacheckiej zagrody.

Cisza tam panowała niezmacona niczem, dopiero na odgłos turkotu kół, stary bury pies powstał leniwo ze swego legowiska pod szopą i wzniosłszy mordę w górę, zawył ponuro, złowieszczo.... Głos ten nad wszelki wyraz niemiły wstrząsnął Aleksandrem do głębi węzłów nerwowych, dreszcz jeszcze silniejszy szarpnął wszystkimi jego mięśniami, bezwiednie otulił się szczelniej szerokim płaszczem.

Kozak zlął z konia, otworzył szeroko wrota i świecąc kagańcem podsunął się pod same drzwi chaty.

Panowie, zostawiwszy zziąjane konie pod opieką furmana, cicho i ostrożnie szli za światłem kagańca; — pies wył coraz przeźliwiej.

Baron z rewolwerem w rękę podsunął się pierwszy pod drzwi i zastukał w nie z całej siły; — milczenie głucho było jedyną odpowiedzią; zastukał powtórnie — toż samo, tylko echo od budynków gospodarskich odpowiedziało na to gwałtowne dobijanie się... Podszedł więc do małego okienka i w nie zaczął stukać tak silnie, że drobne szybki trzęsły się w ramach i zadzwoniły zgrzytliwie — i tu nie znalazł odpowiedzi...

Kazimierz i Aleksander stali milczący, zadumani; kozak zaś drzewcem kagańca bił z całych sił we drzwi.

— Ani żywego ducha! — szepnął baron.

— Drzwi musimy wywalić! — odpowiedział Aleksander.

— Czekaj! Strzelę, może się pobudzą!

Mówiąc to baron wyciągnął jeden rewolwer i strzelił z niego w powietrze, drugi wręczył Kazimierzowi.

Echo kilkakrotne rozniosło strzał po całej okolicy, wśród ciszy nocnej rozgrzmiał on po jarach i lasach, nie zmącił jednak ani trochę ciszy panującej wewnątrz chaty.

— Drzwi wysadzić! — zawołał powtórnie Aleksander i silnem ramieniem oparł się o grube dębowe drzwi; baron i Kazimierz poszli za jego przykładem.... Pod naporem trzech młodych i silnych ludzi zgrzytnęło żelazo zawiasów; była chwila wielkiego wysiłku, wreszcie drzwi poddały się, zrazu zwolna, później zachwiały się i nagle z łoskotem runęły do środka chaty; spłoszone kury i prosięta podniosły lament straszliwy, ogłuszający....

— Kozak z kagańcem wszedł przodem, za nim wkroczyli Kazimierz i baron z rewolwerami w rękę; ostatni szedł dziedzie zamku chwiejnym i niepewnym krokiem.

Drzwi wiodące do izby mieszkalnej były otwarte, blask kagańca rzucił odrazu cały potok światła do cichej, grobowo cichej izby.

Widok przerażający, okropny przedstawił się oczom wchodzących; widok taki, że skamienieli wszyscy i nikt zrazu nie miał odwagi przekroczyć progów tej strasznej izby.... Stali patrząc drżący i przerażeni.

Na pościeli stojącej pod ścianą na przeciw drzwi leżało bezwładne ciało Janowej

córki... Twarz jej nietknięta i zawsze klasycznie piękna, pokryta już była woskową białością, trupom właściwą; oczy nie przyknięte w chwili śmierci, straszliwie wykrzywione i skrzepłe przysłonięte były białą jakąś ohydną powłoką.... Z pomiędzy dwu śnieżnych, cudownie pięknych piersi wytryskał strumień krzepnącej już, ciągnącej się, czarnej krwi, która z łóżka spływała obfitą strugą na ziemię i tworzyła na środku izby całą kałużę, pokrytą stygnącą rumianą pianą....

Nad kałużą tą siedział kotek mały, biały cały, tylko koniec pyszczka i łapki miał na czerwono poplamione; znać próbował niedawno smaku krwi ludzkiej.

— Zabił! — przemówił pierwszy baron, tak cicho, trwożliwie, że towarzysze raczej domyślili się, niż usłyszeli jego słowa.

— Za późno! — jak echo, szepnął Kazimierz.

— Szkoda młodycy, śliczna psia krew była! — zakonkludował filozoficznie kozak.

Aleksander stał milezący, wyprężony, stężały prawie; oczy utkwiał w trupa Hanki,

lecz w oczach jego nie malowała się myśl żadna, uczucie żadne; — zmysły jego w tej chwili straciły były siłę odbierania zewnętrznych wrażeń; zmienił się był w bryłę bez uczucia.

Po minut kilka trwajacem milczeniu, pierwszy ozwał się znowu baron:

— Trzeba dać znać policji!... Trzeba zbrodniarza wyszukać.

Kozak tymczasem posunął się na środek izby i omijając ostrożnie kałużę krwi, podniósł kaganiec wyżej i oświetlił nim całą izbę; nagle drzewce zadygotało w jego ręku, koszyk z gałkami zachwiał się i omal nie umoczył się w krwawej kąpieli; przerażonym wzrokiem i drżącą ręką wskazał w kąt izby, gdzie od pieca do ściany były pomurowywane żerdzie przeznaczone do wieszania odzienia.

— Ot, on tam! — zawołał przerażonym głosem i wnet, żegnając się, z wyrazem przesadnego strachu, cofnął się po za panów.

— Gdzie? Co? — zawołał baron i odciągając kurek rewolweru poskoczył we wska-

zonym kierunku; inni poszli za nim.... i ujrzeli Ambrożego Pinkasiewicza.

Trup jego, krzepki i rozrosły chwiał się zawieszony na czerwonym pasie, przywiązanym do dębowej mocnej żerdzi; usta miał wykrzywione śmiechem strasznym, oczy otwarte skierowane w stronę trupa żony, z ust płynęła ślina zimna, odrażająca; na koszuli i dłoniach widniały świeże ślady krwi.

Sam się osądził! — syknął baron.

W tejsze chwili Aleksander zachwiał się i bezwładnie zatoczył się ku ziemi, byłby niechybnie upadł w owo krwawe jeziorko, gdyby go w czas nie był pochwycił Kazimierz w swe silne, żyłaste ramiona.

— Ogień!.... krew!.... czerwono!.... Śmierć!... Śmierć! — wydobywały się z ust młodego pana, niezwiązane, trudne do odgadnięcia słowa.

— Wody! — wrzasnął Kazimierz i pospiesznie przeniósł bezwładnego młodzieńca na ławę stojącą pod oknem.

Kozak począł szukać wody; baron nacierał skronie chorego wódką, którą znalazł

na półce w izbie, a Kazimierz podtrzymywał kłoniącą się ku ziemi głowę Aleksandra.

— *Satana czy szczo!* — wrzasnął nagle kozak, który w sieni robił poszukiwania za wodą. — No leż że raz — wołał — leż!... Czyś czart, czy człowiek chrzczony, leż!...

I popychając przed sobą, wtrącił do izby stworzenie jakieś ludzkie.

— Między świńmi tam w kącie siedziało — wołał zaaferowany kozak — prosto drzwi tych od izby siedziało, skulone, opończą okryte niby kupa gnoju.... kagańcem temum w ślepie zaświecił, mozem trochę i przypiekl, to się ruszyło.... Odmiana jakaś, czy co?

Była to dziewczka, najemnica Janowa, z natury upośledzone i prawie całkiem głupkowane stworzenie, wypadkami dzisiejszej nocy zteroryzowana do reszty; milczała i trzęsła się ze strachu cała....

— Wody daj! — zakomenderował jej w samo ucho baron.

Jak automat zwróciła się ku drzwiom i z beczki po za drzwiami ukrytej zaczerpnąwszy dzbanek wody, podała go baronowi.

Po kilku minatach uczenia, Aleksander oczy otworzył i odechnął powoli, z trudnością.... Obaj jego towarzysze, zasłaniając swemi ciałami widok trupów, podnieśli go z ławy i ująwszy pod ramiona wyprowadzili przemocą z izby ku wrotom, gdzie czekał na nich wózek.

Dziewka nie wołana ani odpędzana wlokła się za nimi, jak wlecze się wierny, stary pies za swym panem.

Gdy z trudem umieścili rzucającego się i potrząsanego dreszczem Aleksandra na wózku, baron przypomniał sobie, że dziewczka musiała być świadkiem zbrodni, zwrócił się więc do niej i zapytał:

— Jak to było?... Powiedz!

Z razu mówić nie chciała, tylko zaniosła się płaczem i przez łkanie szeptała:

— Nie ja!.... Bóg świadkiem, że nie ja!

Dopiero, gdy kozak przemówił do niej ludowem narzeczem, zaczęła pospiesznie bezładnie opowiadać:

— Gospodarz zarznęli gospodynię.... Przysięgam Bogu, zarznęli.... Nożem ją wiel-

kim zarznęli.... Przyszli, późno, koło północy, nóż z sobą przynieśli.... Ona siedziała i płakała, na pożar się spoglądała.... Oni, gospodarz, zaśmiali się straszno, i tylko do niej powiedzieli: „Z niego węgiel, popiół — z ciebie będzie trup“.... I zaraz taki zarznęli ją jak jałówkę!

— Cóż z tobą się zrobiło? — pytał kozak.

— W sieniach siedziałam, między prosiętami przysiadła.... Lęk mnie wziął, żeby i mnie nie zarznęli.... Och! Straszniż bo byli, straszni.... Po tem wzięli, i powiesili się, ale ja tego nie widziałam.... Przysięgam Bogu, że nie widziałam.... Że charczeli, słyszałam, ale myślałam, że tak ze złości.... Chciałam uciekać, ale nogi mi podrętwiały.... Boże! Boże!

I jęczeć zaczęła.

— Na sądzie to wszystko powiedzieć musisz.... — przerwał opowiadanie baron — Teraz chaty pilnuj, aż warta przyjdzie.

— Za nic! — odparła przerażonym głosem dziewczka. — W świat wolę iść.

Wreszcie baron wskoczył na wózek; noga za nogą ruszyli z powrotem do zamku.

Chory dostawał już gorączki, zaczynał majaczyć, co chwila szeptał :

— Ogień.... krew.... czerwono! Śmierć!....

Za powolnie toczącym się wózkiem wlokła się Janowa na przemian powtarzając z zaciekłością idyotki ;

— Nie ja! Przysięgam Bogu! nie ja! gospodarz zarznęli gospodynię.

XII.

Jak echo gromu po górskich załomach, tak rozniosły się po okolicy wieści o strasznych wypadkach woynałowskiich.

Co żyło spieszyło dowiedzieć się prawdy; za nim następny po pożarze dzień upłynął przyjechali z Kamieńca: prokurator sądu okręgowego i żandarmski pułkownik; sprawą tą zajęli się teraz z gorączkową skwapliwością, dochodzenia prowadzono na miejscu i z wielką energią; do zrozumienia całej, dziwnie zakłóconej sprawy potrzebował prokurator zeznań pana Aleksandra a tych nie rychło mógł się spodziewać, bo dziedzic woynałowski natychmiast po pożarze zapadł w bardzo złośliwy i długo trwający tyfus.

Gdy go Kazimierz i baron przywieźli do zamku, po owej strasznej wycieczce do Janowej chaty, musieli go natychmiast położyć do łóżka; w pięć minut później stracił

już był zupełnie przytomność, zaczął majaczyć, gorączka dochodziła do czterdziestu stopni. Wezwany doktor załamywał ręce i tracił nadzieję wyleczenia tego niezwykłego pacyenta.

— Dziwny chory — utyskiwał stary lekarz przed panią Odrowążową, która na wieść o chorobie siostrzeńca natychmiast do zamku na dłuższy pobyt zjechała — dziwny! Przy takiej gorączce inny leżałby już jak kłoda, a on ciągle pracuje wyobraźnią, ciągle zachowuje pół przytomności i to mnie najbardziej przeraża....

Pani Odrowążowa, Kazimierz i baron nie odstępowali na krok łoża chorego, a ciężki to był obowiązek; czasami wpadał w ataki takiej furii, że służba z trudnością mogła go w łóżku utrzymać; innym razem znowu opanowywała go żalność jakaś straszliwa, płakał wówczas, jak małe dziecko, słowa modlitwy wydobywały się z ust, żegnał się poważnie.

W pierwszych dniach choroby, tylko wrażenia z ostatnich dni nawiedzały zboliałą tą wyobraźnię; bez przestanku tylko wołał;

Ogień.... krew.... czerwono.... Śmierć!
Śmierć!

Po kilku dniach choroby budzić się w nim zaczęły dawniejsze, coraz dawniejsze wspomnienia, wypadki, na które patrzył w dzieciństwie, kojarzył chorobliwie ze zdarzeniami ostatnich czasów; doświadczenia życiowe ze szkół i uniwersytetu mieszał z opowieściami zasłyszanemi od nianiek wtedy, gdy zaledwie wychodził z niemowlęstwa. W głośnych tych marzeniach postaci Hanki i staro Jana odgrywały ważną bardzo rolę; wszędzie je widział, do każdego zdarzenia wplótł.

Kazimierz, który siadywał zazwyczaj przy chorym od godziny jedenastej w nocy do szóstej rano wsłuchiwał się w te dziwne, fantastyczne, dzikie poematy.... To grzmącym, niby surma bojowa głosem, to znowu cichym, ledwie dosłyszalnym tęsknym i rozmodlonym, opowiadał chory godzinami całemi dziwnie jakieś dzieje, na pół prawdziwe, na pół bajeczne; w opowieściach tych usłyszeć można było wszystko, co ród jego przeżył i doświadczył przez długich ostatnich sto lat; bohaterstwa i enoty plątały się tam w mistyczny jakiś związek z wadami i błędami, grzechami rodowymi. A wszędzie....

czy to na pobojowiskach, czy w przyciemnionych gotyckich kościołach, czy wśród gór śnieżnych lub na tle nadmorskich dolin balsamicznie wonnych i... wszędzie: czy w ojczyźnie czy zdala od niej... była ona — postać biednej ofiary w szalonym biegu życia zdeptanej; — była ona, Hanka, wyanielona jakaś, do nadziemskich istot zaliczona; był i Jan stary, opiekun i doradca, karciciel i dobrodziej.

— Przebaczenie ojcowie, przebaczenie dziadowie, pradziadowie! — wołał nieraz zrywając się z posłania. — Przebaczenie Janie stary, przebaczenie i ty bladolico, zakrwawiona... Inaczej, inaczej już będzie, inaczej! Na wojnę pójdę... na wojnę ciężką... krew przelewać będę... krew rumianą... krew rycerską... Za grzechy odpokutuję w niewoli ciężkiej... bezlitosnej... I ty spłyniesz wówczas ku mnie... ty bladolico... ty ofiario... i przebaczenie mi przyniesiesz... przebaczenie, krzywdy odpuszczenie... I weźmiesz z sobą, z sobą... do nieba jasnego...

Majaczenia takie trwały godzinami całymi, mieniły się kameleonowymi blaskami i sprawiały to, że Kazimierz sam słuchając uczu-

wał jakiś zawrót głowy, jakąś chorobliwą rozbujalność fantazyi...

Dziewiątego dnia choroby spostrzeżono w chorym straszny upadek sił i osłabienie, przechodzące wszelkie oczekiwania lekarza; zmienił się wprost w bezwładną bryłę; majaczenia ustały zupełnie, karmiono go prze-mocą.

Doktor tryumfował, twierdząc, że przesilenie nadchodzi, że jutro lub pojutrze znacznie się rekonwalescencya.... Tymczasem stan ten trwał drugich dni dziewięć i dopiero pod koniec ośmnastej doby choroby, Aleksander zapadł w sen dziwnie twardy, do letargu raczej niż do snu zwykłego podobny, z którego obudził się przytomny zupełnie ale osłabiony i bezsilny jak nowo narodzone dziecko.

Chociaż lekarz długo jeszcze nie pozwolił wspominać choremu o owych smutnych wypadkach, które poprzedziły jego chorobę i były jej bezpośrednią przyczyną; mimo to dochodzenia, prowadzone energicznie, i bez zeznań pana Aleksandra doprowadziły do nadzwyczajnie ciekawych rezultatów. Wykazały najdowodniej, że n. p. uwięziony Ko-

ciurbów *recte* Kociurba wygnany ongi ze służby diak, a poprzednio wydalony wychowaniec kamienieckiego guberskiego seminarjum duchownego, zbiegły wreszcie kandydat na mnicha w Ławrze — był w jak najściślejszem porozumieniu ze szlacheicem Błażnickim, dawnym urzędnikiem przy kasie skarbowej w powiatowym mieście Winnicy, który posądzony o skradzenie pięciu tysięcy rubli w tejże kasie, przez dwa lata trzymany był w areszcie, a z braku dowodów został wreszcie na wolność wypuszczony, miejsce rządowe jednak stracił był na zawsze.

Prokurator, młody i bardzo energiczny oraz zdolny człowiek, godzinami całemi rozmawiał z Kazimierzem i baronem, rozpytując się o dawniejsze stosunki dworu ze szlachtą... Dziś jasnym już było, że spółka dwóch łotrów zawzięła się była, ażeby harmonię panującą dawniej popsuć, wojnę wywołać i z tej wojny korzyści ciągnąć. Po dokładniejszych obrachunkach pokazało się, że Kociurba wyduślił ze szlachty około dwanaście tysięcy rubli w ciągu trzech lat — do dziesięciu wykpił Błażnicki od dziedzica.

— Żebym ja tego drugiego ptaszka złapał — szeptał półgłosem prokurator do barona w czasie poufnych pogadań — zagralbym mu ja kozaka, aż pod sufit by skakał...

Życzenia młodego prokuratora spełniły się rychlej, niż mógł się spodziewać; policya odeska zawiadomiła go telegraficznie: „że poszukiwanego Błażnickiego, który pod udaniem nazwiskiem Piórkowskiego zamówił był miejsce na tureckim statku, odpływającym do Konstantynopola — policyi ująć się udało; że prawdziwe jego nazwisko odkryto i znaleziono przy przestępcy dwadzieścia sześć tysięcy rubli, które złożono do czasu w depozyt do kas rządowych“.

Na żądanie prokuratora pana Błażnickiego przewieziono do Kamieńca, gdzie go wraz z Kociurką i Szarugą sądzono.

Dwóch „panów adwokatów“ zasądził sąd przysięgłych na trzyletnie więzienie i następnie osiedlenie dożywotnie w Syberyi.... Szarugę uznano winnym przestępstwa zaburzenia spokoju publicznego i skazano na trzy miesiące aresztu, z powodu jednak stwierdzonego w nim nałogu pijaństwa oddano po od-

byciu kary pod pilny nadzór miejscowej policji
.

Pan Aleksander nadzwyczaj powolnie przychodził do zdrowia, po tej strasznej i tak przewlekłej chorobie; zaledwie w pierwszych dniach listopada mógł wstać i o swych siłach przejść się po pokoju....

O pożarze i towarzyszących mu wypadkach od chwili powrotu do przytomności ani razu nie wspomniał; dopiero nieunikniona rozmowa z prokuratorem zmusiła go do przypomnienia tej smutnej i bolesnej sprawy....

Pomimo, że rozmowa z prokuratorem trwała z górą godzinę, powstał po niej nadspodziewanie spokojny i daleko mniej wzburzony, niż obawiali się tego baron i Kazimierz, który teraz z zamku nie wyjeżdżał prawie i ztąd administrował swoim i kuzyna swego majątkiem.

Od chwili rozmowy z prokuratorem stałe jakieś postanowienie zrodziło się w umyśle Aleksandra; Kazimierz czuł, że od owego czasu Aleksander pragnie rozmówić się z nim

w jakiejś ważnej sprawie, nie ma jednak odwagi rozpocząć raz tej rozmowy; czuł, że szuka sposobności pozostania z nim sam na sam, jednakże, gdy znaleźli się sami, mówił o obojętnych sprawach, pomimo, że Odrowąż kilka razy starał się zachęcić go do zwierzeń. Aż pewnego poranku grudniowego, gdy baron i inni zamkowi goście, którzy nudzili się teraz okrutnie, wyjechali spróbować myśliwskiego szczęścia po świeżej „ponowie“, a pani Odrowążowa udała się do Głuchowa dowiedzieć się, co robi się w domu podczas nieobecności państwa — Aleksander przystąpił do odkrycia przed Kazimierzem swych projektów.

Siedzieli obaj w obszernej sklepionej izbie zamkowej, którą wybrano w czasie choroby dziedzica na jego sypialnię; blask odbijający od świeżo spadłego śniegu i zimnych, martwych promieni grudniowego słońca, klócił się z odblaskiem płomieni suto rozłożonego ognia na kominie; Kazimierz siedział zamysłony i wodził oczyma za przechodzącym dziś jakoś raźniej i szybciej Aleksandrem.... Nagle ten stanął przed swym kuzynem, oparł mu wychudzone ręce na ramieniu i patrząc mu badawczo w oczy, zaczął mówić:

— Kaziu! Co robić?... Abdykować muszę!... — tu zaśmiał się smutno. — Tak! tak!... Muszę abdykować.... wynieść się ztąd... ..

— Jaktó rozumiesz? — zapytał zaniepokojonym głosem Kazimierz.

— No, z oczu ludziom zejść — brzmiała zimna i zrezygnowana odpowiedź.

— Nie możesz! — szepnął, zamysłając się znowu głęboko Kazimierz. — Obowiązkiem twoim świętym jest: na gruncie, na posterunku, na wyłomie stać, zamku i włości pilnować.... winy i błędy naprawiać....

Przerwał na chwilę i spojrzał swemi badawczemi oczami na milczącego Aleksandra; poznał od razu, że jego słowa nie czynią rekonwalescentowi przykrości, że trafiają mu do przekonania, mówił więc dalej:

— Błędy naprawić, obowiązek spełnić do dna, choćby on był przykry jak kielich goryczy, to twoja powinność.... Ojcowie nasi tak robili i ty tak zrobić musisz!... Musisz!...

Rumieniec nikły, zaledwie dostrzegalny, przebiegł po wybladłym i wychudzonem obliczu Aleksandra, usta złożyły mu się do lekkiego ironicznego uśmiechu, a wraz

z uśmiechem tym zabrzmiały smutne, żalością ciężarne słowa:

— Obowiązek!... Dawniej śmiałem się z tego słowa, dziś znam już całą jego bezlitośną doniosłość... Obowiązek! Tak, spełnić go muszę, ale zanim go spełnię, powinienem wiedzieć dokładnie, co do niego należy. Muszę się nauczyć spełniać obowiązki mego stanu, a tego nie umiem....

— Nauczysz się! — zawołał gorąco Kazimierz.

— Właśnie tego pragnę — mówił dalej Aleksander. — Tu, na miejscu byłoby to po nad moje siły; bałbym się, bym nie popełnił nowej jakiej omyłki.... Zresztą, te straszne wspomnienia.... oh! straszne.... straszne.

I przysłonił oczy dłonią, jakby pragnąc zakryć przykre jakieś obrazy, cisnące się gwałtem przed wzrok jego duszy; zamilkł, głucho i bezwładnie padł na fotel, stojący przed kominem.

Kazimierz zerwał się przerażony, zbliżył się do niego i zaczął przekonywującym głosem przekładać:

— Rzeczy już minione! Nie zatruwaj życia wspomnieniami! Z energią zabrać się należy do roboty, by stosunek z ludem, ze szlachtą poprawić.... Pomocnym ci będę.... We dwóch damy radę....

— Nie!... To jest nad moje siły! — przerwał mu żywo Aleksander. — Życ tu teraz nie potrafię.... Kiedyś, gdy czas zatrze te okropne wspomnienia — wrócę.... Teraz nie mogę, nie mogę.

— Cóż robić będziesz? — pytał z niepokojem Odrowąż.

— Do wuja Jana pojedę — odrzekł powoli z namysłem. — Prosić go będę, żeby mnie wprost na praktykanta gospodarskiego przyjął.... Uczyć mi się potrzeba.... Oni tam w Wielkopolsce przez ciężkie doświadczenia doszli do tego, że już umieją zlać się z tym ludem, żyć z nim, rozumieć jego potrzeby; umieją nim kierować.... Będę się uczyć, będę przypatrywać; gdy się poczuję na siłach wrócę.

Zrazu Odrowąż odradzał mu; twierdził, że lepiej na miejscu od razu zabrać się do pracy, czasu nie tracąc.

— Nie odradzaj! — odpowiadał. — Postanowienia nie zmienię.... Widzisz, ludzie mnie tu znają takim, jakim byłem, w tak nagłą zmianę nie uwierzą, ufności dla mnie nie nabiorą; będę miał cierniową drogę przed sobą, która mnie do zwątpienia doprowadzić może.... Później, gdy powrócę, będzie się im zdawać, że inny człowiek przybył.... Czas zaciera wspomnienia.

— Cóż z majątkiem będzie?

— Pełnomocnictwo ci zostawię; rób co uznasz za stosowne.... Wiem, że nie odmówisz mi tej przysługi.... Znam cię dostatecznie i wiem, że za dwa, trzy lata pogoisz te rany, które przez mą lekkomyślność pozadawałem.

Nie opierał się Kazimierz dłużej; wyjazd Aleksandra w zasadzie został postanowiony; postanowienia tego jednak Odrowąż nie brał na seryo, myśląc, że zmieni się ono z czasem, w miarę powrotu młodego dziecka do zdrowia i do dawnych sił....

Omylił się jednak; przed świętami Bożego Narodzenia jeszcze Aleksander polecił sprowadzić notaryusza i wydał Kazimierzowi

potrzebne do administracji majątku pełnomocnictwo.

W szary, ponury dzień grudniowy, nie pożegnawszy nikogo, tylko w towarzystwie starego kamerdynera, opuścił młody dziedzic Woydałowszczyzny rodzinny zamek i należne doń włości; uparcie nastawał na to, żeby nawet Kazimierz nie odprowadzał go; wyjazd był raczej do ucieczki podobny i w rzeczy samej była to ucieczka przed — widmami wspomnień.

Kazimierz pozostał na miejscu; wszyscy przyjęli to za fakt zupełnie naturalny; wódze zarządu olbrzymiej fortuny wziął od razu w silne ręce i zmiana uwidoczniła się w bardzo krótkim czasie: inny duch powiał po woydałowskich włościach.

Pierwszą zmianą było, że w tydzień może po wyjeździe Aleksandra pan Alfons Suchekomnaty-Konopiński, utalentowany mistrz pędzla pożegnał na zawsze opustoszałe i ocieśniałe mury zamku; wyjechał do młodego „lorda“ Cyganowskiego w celu stworzenia galerii portretów, złożonej z antenatów tego

starego a zawsze „liberalnego“ rodu; baron ze śmiechem utrzymywał, iż wyobraźnia pełnego talentu artysty dopiero teraz znalazła godne swej twórczości pole.... W miesiąc później odkryto na strychach nowego pałacu stary odwieczny portret, cały zadymiony i pleśnią pokryty, który wyobrażał hetmana kozackiego, protoplastę rodu Cyganowskich jeszcze z czasów Władysława Łokietka; był on — jak twierdził „lord“ — pierwszym opozycjonistą, pierwszym wrogiem polskim.... Hrabia Sępiński utrzymywał, iż musiał to być dawniejszy jeszcze portret, kto wie, czy nie współczesny Bolesława Chrobrego.... Zadzziwiający podobieństwo owego hetmana z dzisiejszym dziedzicem tego szlacheckiego i liberalnego rodu, nie pozwalało nikomu wątpić w autentyczność portretu.... Następnie, co kilka miesięcy zaczął wynajdować pracowity artysta, coraz to nowe portrety różnych dygnitarzy egzotycznych, noszących wspaniałe nazwisko Cyganowskich; regimentarze ziem zadunajskich, szli za nadzwyczajnymi posłami Rzeczypospolitej do wielkiego Mogoła lub do Dalaj-Lamy; udzielnicy wasalowie Korony polskiej na skandynawskich wy-

brzeżach mieszał się ze starostami-generalnymi prowincyj położonych na duńskiej granicy; był nawet jakiś „udzielny wojewoda Zanzibaru.“ Cyganowscy wszyscy byli skrajnie kresowymi rycerzami i działalność swą skierowywali tam, gdzie żaden inny ród nie odważał się nogą nawet stąpić.

Strych ów był niewyczerpany; w przeciągu dwóch lat sala jadalna w pałacu pana Cyganowskiego ozdobiona była trzydziestu sześcioma starymi portretami antenatów, a wszyscy mieli rysy i oczy podobne do ostatniej, bujnej co prawda latorośli prastarego szczepu.

Inni goście zamku woynałowskiego zostali nadal w zamku, role się ich tylko zmieniły.

Nazajutrz po niespodziewanym wyjeździe dziedzica, baron przyszedł do Kazimierza i rozmówił się z nim szczerze i otwarcie; opisał mu całe swe poprzednie życie, przyznał się do win i błędów.

— Widzisz — mówił — co miałem, to straciłem w pierwszej młodości; majorat mam wprawdzie, ale ten jest nieznaczny i w dodatku w sekwestrze na długie jeszcze

lata; do Olesia przyjechałem w zamiarze szukania w tej okolicy zajęcia; życie to ogłuszyło mnie; zostałem w zamku.... zostałem wprost parazytem.... pieczeniarem.... Ostatnie wypadki sprawiły, że przejrzałem, zobaczyłem całą ohydę naszego dawniejszego życia.... chcę zmiany jakiejś, chcę pracować.... Pomóż mi Kazimierzu.

Odroważ dopomógł człowiekowi, którego w ostatnich czasach nauczył się cenić — baron Kneipp von Kneiphoff został pomocnikiem starego, niedomagającego już rządu, i wkrótce stał się tak użytecznym, że po dwóch latach, gdy przełożony jego usunął się zupełnie od kierownictwa, został generalnym zarządcą gospodarstwa w woynałowskich dobrach.

Piórkowski, za radą Kazimierza, zabrał się zrazu do uporządkowania zamkowego archiwum; z czasem tak się w tej pracy rozmiłował, że zarzucił zupełnie romantyczną poezję i zajął się wydawaniem historycznych aktów, znajdujących się w bibliotece woynałowskiej; we dwa lata po wyjeździe młodego dziedzica wyszedł w Krakowie pierwszy tom ciekawych i dotychczas w ukryciu pozosta-

jących historycznych źródeł; świat naukowy z uznaniem przyjął pracę nieznanego dotychczas szperacza, i nazwisko Piórkowskiego przez dłuższy czas było na ustach mężów, pracujących w tej dziedzinie wiedzy.

Najdłużej nie mógł sobie znaleźć zajęcia pan inżynier Poślisko; przez cały rok prawie łaził bezcelowo po gruntach woynałowskich, szukając węgla i obiecując miliony; wreszcie wpadł na pokłady fosforytów; nakłonił Kazimierza do eksploatacyi tego drogiego środka nawozowego i znalazłszy dla siebie stosowne pole do pracy, wzmógł dochód klucza woynałowskiego o kilka tysięcy rubli rocznie.... O węglu nie zapomniał jednak; pozostał on zmorą jego wyobraźni, i nieraz jeszcze rozweselał swych towarzyszy obietnicami znalezienia nadzwyczaj bogatych pokładów „ducha przemysłu“ i milionów, milionów!

.
We trzy lata po strasznej katastrofie, wieść nagła z szybkością iskry elektrycznej przebiegała po gminach woynałowskich: że dziedzic z młodą żoną powrócił do zamku. Wieść ta różne wrażenie wywoływała: jedni

cieszyli się ze zmiany i obiecywali sobie złote góry z tego powodu, inni żalowali, że rządy Kazimierza skończyć się muszą, wszyscy jednak biegli w stronę zamku, dowiedzieć się o nowinach.

Dzień imienin młodego pana rozpoczął się nabożeństwem w grobowej kaplicy, gdzie spoczywały prochy kilku ostatnich pokoleń jego rodu. Pan Aleksander w towarzystwie młodziuchnej żony, o jasnych płowych włosach i modrych, jak niebo wiosenne oczach Wielko-polanki klęczał na murawie przed drzwiami kaplicy.... Po za parą kolatorów zajęli miejsce: pani Odrowążowa, panna Jadwiga siostra młodej pani, która wraz z siostrą przybyła na kilka miesięcy na nieznaną jej dotychczas podolską ziemię, Kazimierz, baron, Piórkowski i inni.

Po skończonej Mszy, staruszek proboszcz przemówiwszy kilka słów zabrał się do poświęcenia wspaniałego ciosowego grobowca, postawionego kosztem dziedzica na mogile starego Jana Żurkowskiego i jego nieszczęśliwej córki, pięknej Hanki....

Tłum ludu, nie uwiadomiony przez nikogo, nie wołany, zebrał się na cmentarzu

i brał udział w tej niespodzianie zaimprovizowanej uroczystości.

Po nabożeństwie odbyło się przyjęcie w zamku; szlachta i chłopci z entuzjazmem witali młodą panię, która od razu umiała schwyć wszystkich za serce. Kazimierz oprowadzał pannę Jadwigę, zajęłą do najwyższego stopnia nieznanym jej dotychczas ludem i jego oryginalnymi strojami i zwyczajami.

Z oblicza pana Aleksandra znikły były zupełnie ślady smutku i niepokoju; oczy jego jaśniały szczęściem i ufnością w przyszłość.

Kiedy przed wieczorem pani Odrowążowa i Kazimierz żegnali młodych gospodarstwa, życząc im szczęścia i powodzenia w starej siedzibie ich przodków, to w oczach Aleksandra zaświeciły dwie łzy perliste; rzucił się Kazimierzowi na szyję i ściskając go serdecznie, wołał do młodej żony:

— I tyś mu tak dziękować powinna; zrobił on dla mnie więcej niż brat rodzony, niż ojciec zrobić może...

Po wyjeździe matki z synem, panna Jadwiga długo stała zamyślona w oknie, pa-

trząc w bramę zamkową, gdzie przed chwilą znikł powóz głuchowski.

— Coś mi siostrzyczka rozmarzona — szepnęła żartobliwie pani Aleksandrowa — tak prędko?...

Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie i kryjąc twarz na piersi siostry, szepnęła:

— Podobał mi się ten kresowy rycerz.... Kocham go.

— Kochaj go, kochaj, wart tego — odpowiedział stojący za żoną Aleksander. — I on ciebie musi pokochać.

— Wątpię! — szepnęła smutnie dziewczyna

.....
We wszystkich wsiach woydałowskich nocy tej grała muzyka i lud tańcował i weselił się na cześć powrotu dziedzica.... Tylko w borze ciemnym, nad mogiłą samobójcy i mordercy Ambrożego puszczyk ponury siedział, wykrzykując złowieszczo:

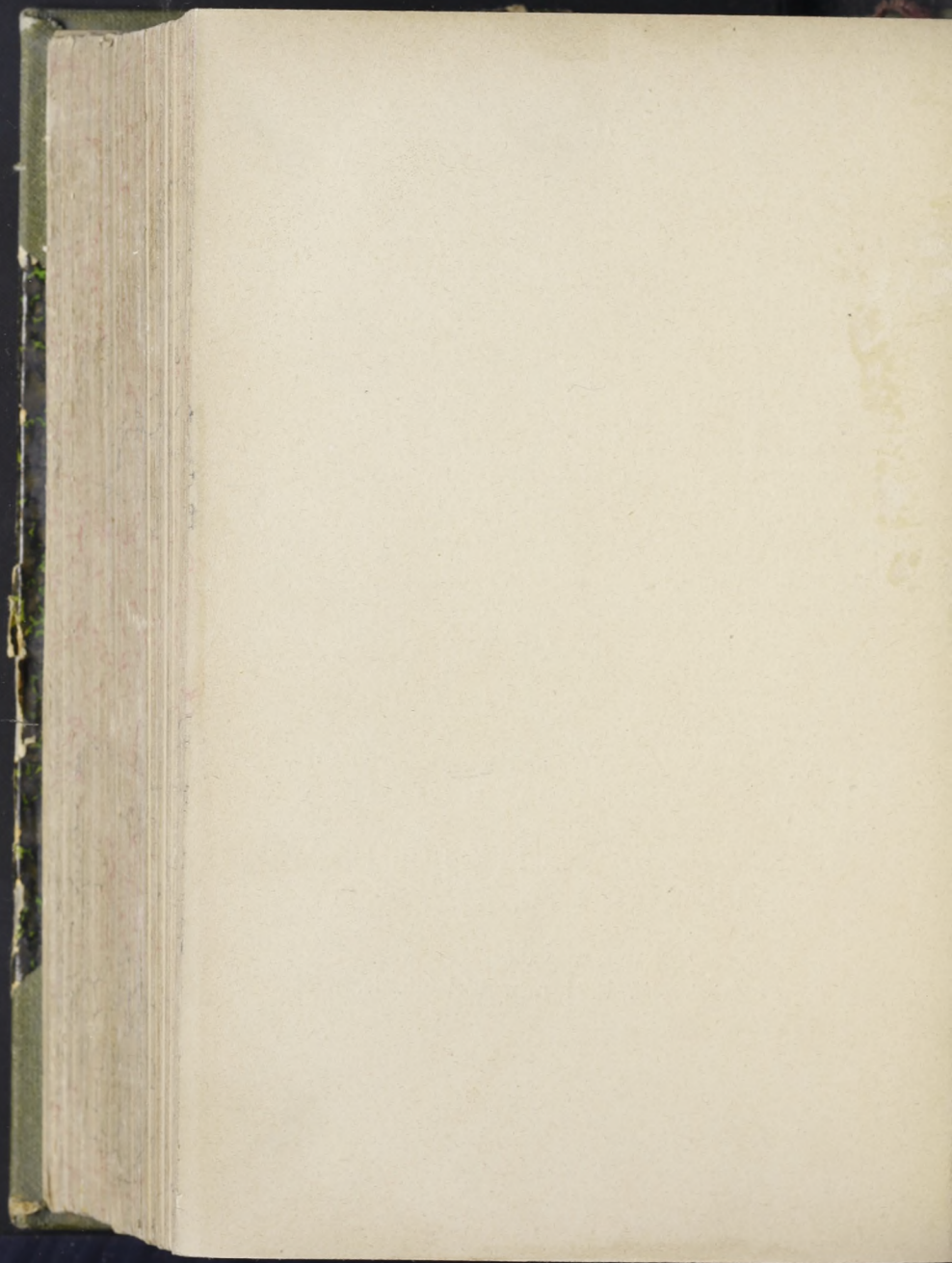
— Straszny czas idzie! idzie! idzie!

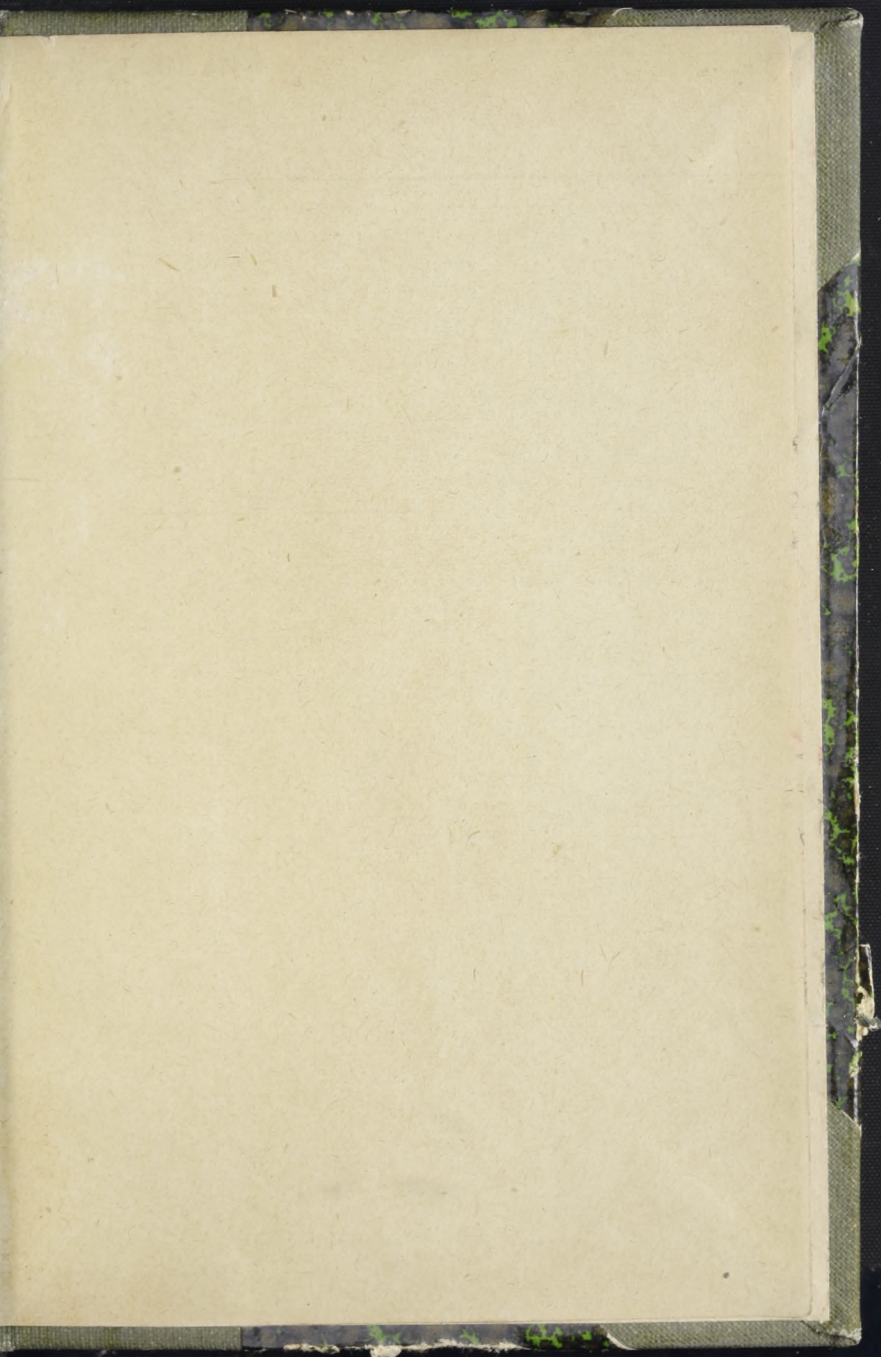
Głos ten ponury ginął w przestrzeni — bez echa.

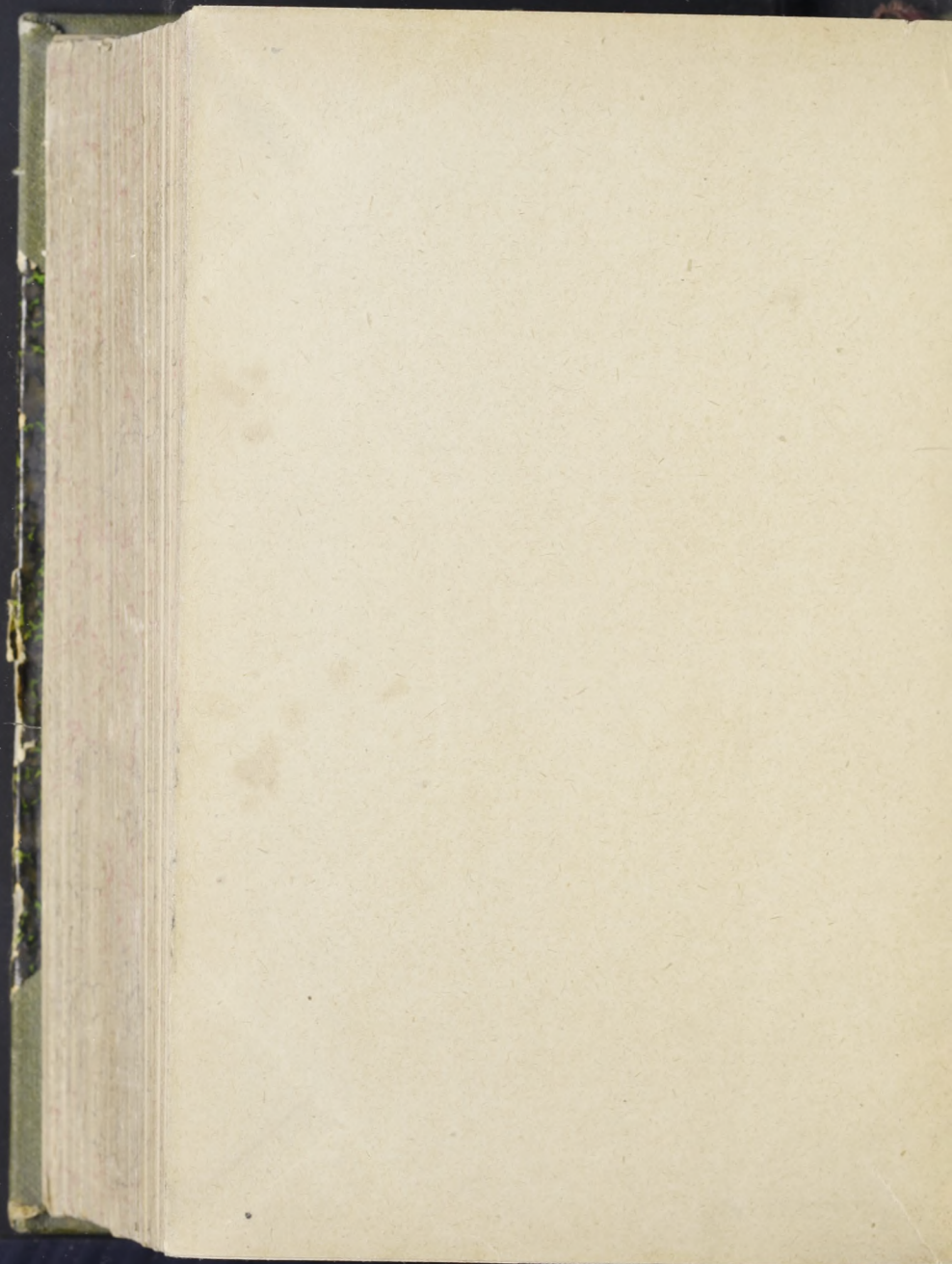
K O N I E C.

Maj-sierpień 1891 r. w Weleśniowie.









K.M.

V50-

3661/10

Ant. Hójtanicz

Wrocław

06.05.2013.

50 21-

b18924463



1456479

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001013497321